

Zbrodnia w południe

Edigey Jerzy



calibre 0.9.27

Jerzy Edigey

Zbrodnia w południe

Rozdział I

Tylko w niedzielę

Pierwszy przyszedł Zygmunt. Zresztą jak zwykle. Na jego widok kelnerka w barwnym stroju dawnych mieszczek szczecińskich uśmiechnęła się i spytała:

- Dostawiamy drugi stolik?

- Bo ja wiem? - zastanowił się przybyły. - Ostatnio jakoś mało nas się zbiera. Przeczuję, że pewnego dnia będę tutaj sam tkwił.

- Teraz, jak tylko nadejdzie niedziela, to leje od rana do nocy. Nie każdemu chce się wyjść z domu w taki dzień jak dzisiaj. Psa by nie wygonił.

- A - w piątek - zauważył Zygmunt - było tak ładnie! Zupełnie nie listopad, lecz początki maja. Za to w święto deszcz ze śniegiem.

- O, już idzie panna Krysia - kelnerka знаła doskonale wszystkie dziewczęta i chłopców, którzy zawsze w niedzielę zajmowali przed południem ten sam stolik, położony w samym kącie sali, z pięknym widokiem na płynącą w dole Odrę. Kelnerka pracowała w kawiarni Zamku Szczecińskiego już czwarty rok i wiedziała, że w niedzielę pojawi się choć troje z tej paczki. A często zjawiało się ich tyle, że trzeba było zestawiać trzy stoliki. Nie byli to goście, którzy dadzą dużo zarobić lokalowi i obsłudze. Przeciwnie, mała czarna była tu najczęstszym zamówieniem. Niekiedy zjawiały się ciastka, rzadziej kieliszek wina. Chyba na jakąś specjalną uroczystość - jak imieniny.

Ale za to młodzi goście byli weseli. Obsługując ten kąt sali, kelnerka zawsze uśmieiała się do łez. Przychodzili jednakże wyłącznie w niedzielę. Siedzieli od jedenastej do drugiej. O tej porze wielka sala kawiarni i tak świeciła łysinami wolnych stolików.

Po Krysi przyszedł Stach. Zaraz po nim zjawił się Mietek.

Wszyscy mieszkali w okolicy Placu Grunwaldzkiego: na Buczka, Jaromira, Alei Jedności Narodowej, Jagiellońskiej czy Wielkopolskiej. Chodzili razem najpierw do powszechniaka, później wylądowali w tej samej klasie w liceum. Jeszcze w szkole podstawowej chłopcy utworzyli coś w rodzaju klubu czy tajnego związku - nazywali siebie „Nasza maszoperia”. Wiadomo, Szczecin - choć nie leży nad morzem - jest portem morskim i wszelkie nazwy wywodzące się z tradycji marynarskich lub rybackich nie brzmiały tutaj obco.

Ani się spostrzegli, kiedy w ich życiu nastąpił pierwszy wielki dzień - rozdanie matur. Zbiegło się to jakoś z odbudową północnego skrzydła Zamku Szczecińskiego i otwarciem w dawnych salach rycerskich pierwszej w tym mieście wielkiej kawiarni z prawdziwego zdarzenia. Więc z maturami w kieszeni cała paczka powędrowała na zamek, by tu, przy butelce wina, godnie uczcić zdobytą „dojrzałość”.

Któryś z nich, bodajże Stach, rzucił wtedy projekt, żeby zawsze w niedzielę spotykać się na zamku przy tym samym stoliku. Projekt przyjęto z entuzjazmem i co dziwniejsze - wykonano. Minęło już przeszło trzy lata, a paczka dotrzymywała sobie wierności. Wprawdzie tylko w niedzielę, ale zawsze w tym dniu w kącie sali można było spotkać jeżeli nie całą dziewiątkę, to w każdym razie jej większość. A przecież najgorętsze nawet przyjaźnie szkolne szybko zazwyczaj rozwiewa czas.

Przychodzili tutaj sami albo w towarzystwie. Dziewczeta przyprowadzały i prezentowały „paczce” chłopców, z którymi aktualnie „chodziły”. Koledzy z paczki chwalili się dziewczętami, które, jak im się zdawało, „poderwali” - choć wiemy, że najczęściej jest odwrotnie. Pułapka wprawdzie nie biega za myszami, ale przecież to pułapka łapie myszy...

- Mało nas dzisiaj - zauważyła Ewa witając się z siedzącymi przy stoliku.

- Taka psia pogoda - stwierdził Mietek.

- Danką na pewno nie przyjdzie. Nie będzie się jej chciało tłuc w taki deszcz z Żydowic - dodała Krysia.

- Ale Jaś mógłby przywlec się z Jagiellońskiej.

- Chyba to on - Ewa słynęła w szkole z najlepszego wzroku w całej klasie. Stojąc przy tablicy bez trudu odczytywała ściągę w czwartym rzędzie ławek. - Mignął mi przed chwałą w szatni.

Dziewczyna nie myliła się. Za chwilę Jaś szedł do nich po marmurowej posadzce sali, prowadząc swą flamę Elżbietę.

- Hanka znowu nie przyjdzie - stwierdziła Ewa.

- Wiadomo. Opłakuje Andrzeja - złośliwie rzucił Zygmunt.

- Daj spokój! - rozgniewała się Krysia.

- A swoją drogą - powiedział Stach - ten Andrzej to skończona świnia.

- Gorzej niż świnia. Po prostu tchórz i łajdak - dołożyła Ewa.

- Trzy lata chodził z Hanką. Byli nierozłączni. Zawracał głowę dziewczynie. A potem skończył Politechnikę, wyjechał na Śląsk i nie raczył nawet słówka napisać, chociaż się wytłumaczyć.

- Co tu można się tłumaczyć - Zygmunt był nieprzejednany. - Łobuz i tyle.

Mnie on nigdy się nie podobał. Od początku nie ukrywałam, że go nie lubię. Zupełnie do nas nie pasował.

- Przecież Hanka przyprawiała go prawie co niedzjela - uśmiechnął się Stach - a czy ktokolwiek wypił choć małą kawę na jego rachunek?

- To on pił na nasz! Pamiętacie? Nigdy nie miał drobnych i Hanka zawsze za niego płaciła.

- W ubiegłym roku z okazji jego imienin Hanka też zapłaciła za całe wino i za torty. Bo Andrzejek „zapomniał” wziąć pieniędzy z domu! Ciekawe, czy jej zwrócił?

- A przecież nie powodziło mu się źle. Miał stypendium. Z domu dostawał paczki i forszę.

- Jego ojciec jest kierownikiem tartaku w Koszalińskim. Andrzej był zawsze najlepiej z nas ubrany.

- A matka Hanki jest tylko urzędniczką w Radzie Miejskiej. U nich się nie przelewa. Gdyby nie to, że matka wszystko Hance sama szyje...

- Wiesz, muszę Hanke poprosić, żeby mi jej mama uszyła sukienkę. Kupiłam wełenkę. Bardzo ładna. Po sto siedemdziesiąt złotych za metr.

- Jaka? - zainteresowały się pozostałe dziewczęta.

- W kolorze ciemnego wina z białym włoskiem. Bardzo ładna. Pokażę wam. Specjalnie przyniosłam - Krysia sięgnęła do dużej torby i wyjęła paczkę w szarym papierze.

- Świat się kończy - zauważył Zygmunt - z kawiarni robią rewię mody.

- Zrób garsonkę. Starczy? Wciętą w talii - radziła Ewa przykładając materiał do swojej figury.

- Myślisz, że dobrze mi będzie?

- Tylko garsonka - Stach powiedział to z miną człowieka” który całe życie decydował o kreacjach mody.

- Chciałabym, żeby uszyła mama Flanki. Hanka ma niewiele rzeczy, a ubrana jest najlepiej z nas wszystkich.

- Bo stroiła się dla swojego Jędrusia. Głupia była. Miała czas dobrze go poznać i musiała wiedzieć, że to tak się skończy.

- Przestańcie pytlować, to coś wam powiem. Nie można do iść do słowa, kiedy zaczynacie o tych waszych ciuchach.

- No wiesz, Mietek! - Ewa zamilkła, udając obrażoną.

- Wczoraj na Politechnice widziałem... Andrzeja.

- Ooo!

- Tak, Andrzeja - przytaknął Mietek rad z efektu swoich słów - szedłem na wykład, a on stał przed dziekanatem.

- Rozmawiałeś z nim?

- Nie. Spieszyłem się na wykład. Tylko się przywitaliśmy. Ubrany jak lord Gallux. Nowy, czarny płaszcz prosto z komisji, za trzy tysiące. Koszulka i krawat w najlepszym gatunku, garniturek jak spod igły. Słowem pan inżynier całą gębą.

- Widzicie, tak go obmawialiście, a on przyjechał do Hanka - Elżbieta w ogóle nie знаła Andrzeja.

- Do Hanka? - ironicznie roześmiał się Zygmunt. - Trzymam zakład, że ona nawet nie wie o jego pobycie w Szczecinie. Pewnie odbierał dyplom z uczelni albo przyjechał na rozmowę do profesora, bo przecież mówił, że chce robić doktorat.

- O, jest Hanka - Ewa jak zwykle pierwsza zauważyła nowego przybysza. - Zdałaś kolokwium? - pytała już z daleka.

- Nareszcie zdałam, ale tylko na trójkę.

- Grunt, że masz spokój - Hanka i Krysia razem chodziły na czwarty rok medycyny.

- Zepsuł mi cały indeks.

- Jest się czym przejmować - roześmiał się Mietek - U mnie w ogóle więcej trój niż czego innego. Byle zaliczyć. Reszta nieważne.

- W naszej kamienicy popełniono wczoraj morderstwo! - Hanka usiadła pomiędzy Zygmuntem i Stachem.

- Coś ty... Przy Buczka? Pod dziewiętnastym?

- Tak. Na tej samej klatce schodowej, gdzie mieszkam. Tylko na pierwszym piętrze. Ktoś zabił panią Rosińską. Matkę Legatowej.

- Ten Legat pracuje w „Wulkanie”?

- Ma czerwonego wartburga?

- Ona taka tęga blondynka? Ile razy szłam do ciebie, zawsze ją spotykałam na schodach.

- To nie ją zabito. Jej matkę. Nauczycielkę z Goleniowa.

- Na śmierć? Dlaczego?

- Czy złapano mordercę?

- Chyba w nocy?

- Dajcie pokój - zauważył Zygmunt - w ten sposób niczego się nie dowiemy. Niech Hanka opowie od początku.

Rozdział II

Musisz się tym zająć, Hanka!

Oznaczona numerem dziewiętnastym posesja przy ulicy Buczka to duża, pięciopiętrowa kamienica w pobliżu Placu Odrodzenia. Na parterze są dwa sklepy i piwiarnia, a od podwórza mieści się prywatna piekarnia. Frontowa Wątka schodowa tej kamienicy ma szerokie schody z białego marmuru, tu i ówdzie nadgryzione zębem czasu. Drzwi prowadzące do mieszkań mają przemyślnie kute w mosiądzu klamki. Dzwoni się do mieszkań, podnosząc metalowy wieniec trzymany w pysku przez lwa. Sufity mieszkań, jak i klatki schodowej, zdobne są gipsowymi stiukarni.

To wszystko świadczy, że dom ten budowano pod koniec dziewiętnastego wieku, w epoce panowania stylu zwanego secesją, a przeznaczono go na lokale dla bogatego kupiectwa i lepiej zarabiającej klasy urzędniczej.

Stosunkowo bez większego szwanku dom przetrwał burzę wojenną. Od czterdziestego piątego roku zappełnił się nowymi lokatorami - od parteru aż po dach. Tutaj właśnie, na czwartym piętrze, w mieszkaniu przerobionym później z pięciopokojowego lokalu, mieszkała w pokoju z kuchnią pani Wróblewska, wdowa pa aptekarzu, wraz z córką, Hanką.

Tutaj też do dużego mieszkania na pierwszym piętrze wprowadził się w dwa lata po wojnie inżynier Józef Legat. Najpierw pracował w jakiejś spółdzielni, a kiedy ruszyła odbudowa stoczni „Wulkan”, tam się przeniósł. Inżynier był widocznie dobrym fachowcem i miał głowę na karku, bo szybko awansował i po paru latach został kierownikiem jednego z oddziałów produkcyjnych stoczni. Zarabiał dobrze, a nawet uchodził za bogatego człowieka. Przed czterema laty kupił sobie auto - czerwonego „wartburga.

Legatowie mieli trójkę dzieci. Kiedy najmłodszy synek skończył siedem lat i poszedł do szkoły, Janina Legatowa wróciła do pracy. Podobnie jak jej matka, była ona nauczycielka. Wykładała matematykę w pobliskim liceum.

Zarówno Hanka, jak i cała jej paczka, skończyła wprawdzie inną szkołę, ale nietrudno o znajomość w jednej kamienicy, zwłaszcza przy chodzeniu tymi samymi schodami. Legatowie byli zresztą bardzo mili i gościnni. Kiedy przed paru laty kupili telewizor - bodaj pierwszy w całym domu - często zapraszali do siebie sąsiadów. Później, gdy na dachach szczecińskich kamienic pojawiło się coraz więcej anten telewizyjnych, te sąsiedzkie wizyty ustały. Z jednym wyjątkiem, bo Hankę nadal zapraszano do domu Legatów i chętnie korzystała z tych zaproszeń. Wydatek na telewizor, nawet

kupiony na raty, przekraczał, zdaniem pani Wróblewskiej, jej możliwości finansowe.

Łucja Rosińska, matka Legatowej, była nauczycielką w pobliskim Goleniowie, gdzie również mieszkała. W ubiegłym roku przeszła na emeryturę, ale mimo zaproszeń córki i zięcia wcale nie kwapiła się do tytułu i obowiązków babci. Nie chciała być, jak mawiała, na łaskawym chlebie córki. Wolała samodzielność. Pozostała więc nadal w swojej szkole w Goleniowie, a tylko ograniczyła ilość godzin pracy. Dlatego też częściej niż przedtem przyjeżdżała do Szczecina w odwiedziny do wnuków.

Tego dnia, w sobotę osiemnastego listopada, Łucja Rosińska nie miała wykładów w szkole, więc już rano zjawiała się w Szczecinie. Wiedziała, że w mieszkaniu nikogo nie ma. Oboje Legatowie w pracy, a dzieci w szkole. Stała sprzątaczką, Maria Popiela, przychodzi tylko dwa razy w tygodniu: we wtorki i piątki. Wobec tego Rosińska poszła do córki, do liceum.

Matka widziała się z córką w czasie pauzy, tuż przed godziną dziesiątą. Pani Janina dała mamie klucze i prosiła ją o załatwienie kilku sprawunków. Lekcje w tym dniu kończyła o drugiej, umówiła się więc z matką, że najpóźniej wróci do domu o pół do trzeciej. Po drodze miała wstąpić do świetlicy szkolnej po najmłodszego synka. Starsze dzieci kończyły zajęcia po drugiej. Zresztą każde z nich miało swoje klucze.

Kiedy zgodnie z umową Janina Legatowa dwadzieścia minut po drugiej otworzyła drzwi do swojego mieszkania, ujrzała straszny widok.

Oto w długim korytarzu, pod drzwiami łazienki, na posadzce leżała Łucja Rosińska. Głowę miała dziwnie podkurzoną. Na podłodze przy ciele wielka kałuża krwi.

Legatowa z przeraźliwym krzykiem wybiegła na klatkę schodową. Na alarm zbiegli się sąsiedzi. Ktoś zaopiekował się bliską omdlenia kobietą. Ktoś inny zadzwonił po milicję i pogotowie ratunkowe. Nie upłynęło i dziesięć minut, jak przed domem stanął milicyjny radiowóz. Po nim zjawiała się karetka pogotowia.

Niestety lekarz nie miał tu nic doroboty. Mógł stwierdzić jedynie zgon. Jego kolega-lekarz milicyjny, który zjawił się razem z ekipą śledczą, ustalił, że śmierć nastąpiła najwcześniej przed godziną jedenastą trzydzieści, a najpóźniej o trzynastej. Powodem śmierci był cios w tył czaszki, zadany jakimś ciężkim metalowym przedmiotem. Prawdopodobnie łomem lub kawałkiem rury. Przy tej sile uderzenia zgon musiał nastąpić bezpośrednio po ciosie. Napad zaskoczył ofiarę, bo nic nie świadczyło o tym, aby w przedpokoju rozegrała się walka między kobietą a jej mordercą.

Prawdopodobnie, tak ustaliły oględziny milicji, Rosińska przyszła do mieszkania nieco przed napadem. Świadczyły o tym paczki leżące w kuchni na stole i palto wiszące w przedpokoju na wieszaku. Bandyta zapewne zadzwonił i pod jakimś pretekstem wszedł do mieszkania. Korzystając z chwili nieuwagi, zadał morderczy cios, a potem splądrował cały lokal.

Mieszkanie przedstawiało opłakany widok. Jak gdyby szalał w nim huragan. Zawartość wszystkich szaf poniewierała się na podłodze. Nawet obrusy i ścierki, znajdujące się w szufladach dużego kredensu, wyrzucone zostały na posadzkę. Zamknięte na klucz szuflady biurka bandyta

wyłamał siekierą, którą znalazł w kuchni. Zawartość szuflad także powędrowała na podłogę. Rabuś, rozwścieczony widocznym tym, że nie może znaleźć łupu, podarł i zniszczył część dokumentów, znajdujących się w biurku.

Nie darował też i książkom. W pokoju inżyniera Legata stały dwa duże regały wypełnione zarówno fachową literaturą, jak i beletrystyką. Teraz wszystkie te książki poniewierały się na wielkim stosie wysokości przeszło metra. Wiele z nich wyrwano z okładek. Na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że panoszył się tu nie tylko morderca i złodziej, ale również i wandal. Po co zbił lustro w toalecie i dlaczego cenny obraz Masłowskiego wyrwał ze złotych ram, aby rzucić płótno pod stół i rozbić oprawę?

Ochłonawszy nieco ze straszego przeżycia, Janina Legatowa zatelefonowała do męża. W kilkanaście minut potem inżynier przyjechał taksówką. Mógł do tragedii morderstwa dodać jeszcze i poważną stratę materialną. Oto przed tygodniem sprzedał swojego wartburga. Całe pieniądze - przeszło osiemdziesiąt tysięcy złotych - schował do jednej z książek stojących na półce. Tradycyjny męski schowek. Panie uważają, że ich skarby najbezpieczniejsze są w szafie, na półce, pod bielizną. Toteż doświadczeni złodzieje szukają gotówki i biżuterii tylko w tych dwóch miejscach - w książkach i pod bielizną. Rzadko kiedy spotyka ich zawód. Inżynier Lenał miał właśnie kupić nowe auto. Uważał więc, że na kilka dni nie warto powierzać pieniędzy PKO. Teraz nie stanowiło to problemu. Pieniądze zniknęły razem z mordercą.

Napastnik nie pozostawił po sobie żadnych śladów. Widocznie operował w rękawiczkach. Nikt też z mieszkańców dużej kamienicy nie spostrzegł nikogo obcego, kto by wchodził do domu. Milicja ustaliła jedynie, że pani Rosińska weszła do mieszkania po godzinie jedenastej. W tym bowiem czasie na schodach spotkała ją żona piekarza. Akurat schodziła z drugiego piętra do męża, do piekarni mieszczącej się w suterenie, i niosła mu dzbanek kawy. Jeden z pracowników piekarni potwierdził, że „szefowa” weszła do zakładu czterdzieści minut po jedenastej. Pamięta to dobrze, bo właśnie spojrzał na zegarek i przypomniał sobie, że rano go nie nakręcił.

Milicja próbowała również znaleźć jakiś ślad, pytając Legatów, kogo ewentualnie oni podejrzewają o zbrodnię i rabunek. Nie umieli odpowiedzieć. Wśród mieszkańców kamienicy wszyscy byli, jak to się mówi, „porządnymi ludźmi”. Nic tu nigdy nie zginęło. Jedyna obca osoba w domu, Maria Popiela, sprzątała to mieszkanie od przeszło ośmiu lat. Nieraz na wierzchu leżały i pieniądze, i biżuteria. Nigdy nie zginął najmniejszy drobiazg.

Niemniej milicja natychmiast odszukała i przesłuchała Marię Popielę. Na wiadomość o wypadku biedna kobiecina aż się rozplakała. Bardzo bowiem lubiła matkę swojej pani. Sprzątaczką miała niezbite alibi. Tego dnia pracowała od ósmej rano aż do trzeciej po południu w pewnym mieszkaniu przy ulicy Jagiellońskiej. Jak stwierdzili właściciele tego lokalu, w tym czasie Popiela ani na moment go nie opuściła. Milicja sprawdziła też, że Mieczysław Popiela, mąż sprzątaczkę, zatrudniony jako hydraulik w Rejonie Administracji Domów, pracował w tym dniu normalnie. Od siódmej rano wymieniał pękniętą rurę w piwnicy domu przy ulicy Mazurskiej. Praca ta zajęła mu cały dzień.

Kto wiedział, że inżynier Legat sprzedał swój wóz i może w domu posiadać większą sumę gotówki?

Tu sprawa była zupełnie otwarta. Wprawdzie inżynier nie chwalił się tym, ale też nie ukrywał sprzedaży czerwonego wartburga. Poza tym wóz znikł z garażu znajdującego się na podwórku kamienicy. To musiało zauważyć wiele osób, zwłaszcza młodzież. A skoro wiedziały dzieci, wiedzieli i rodzice.

Ponadto inżynier Legat zwierzał się swoim przyjaciołom z zamiaru kupienia innego auta. Radził się ich, jaki wóz kupić w miejsce wartburga. Rozmowy z pewnym właścicielem samochodu renault były już dość daleko posunięte. Tak więc grono osób orientujących się w transakcji było spore i, co gorsza, trudne do ustalenia. Zdawało się zresztą, że ci ludzie są poza wszelkimi podejrzeniami.

A jednak fakty temu przeczyły. Morderca doskonale wiedział o gotówce, jaką inżynier rozporządzał po sprzedaży samochodu, i wyraźnie jej szukał. Świadczyło o tym przede wszystkim to, że z mieszkania nie wzięto żadnych innych cennych rzeczy, chociaż były tam i wartościowe srebra, i w szafie wisiało futro pani domu. Bandyta miał w rękę i rzucił na podłogę kupon angielskiego materiału, który niedawno inżynier kupił od znajomego marynarza. Zabił, bo wiedział że w mieszkaniu schowano gdzieś większą gotówkę. Szukał jej i znalazł. Nic innego poza pieniędzmi nie budziło jego zainteresowania.

Jedno było tylko zastanawiające. Mieszkanie, jak i inne w tej kamienicy, miało łańcuch. Trudno sobie wyobrazić, żeby Rosińska, osoba już starsza, otworzyła drzwi bez zachowania środków ostrożności i wpuściła napastnika do środka. Raczej najpierw założyłaby łańcuch i uchylając drzwi, prowadziła rozmowę przez szparę. Ale drzwi wejściowe nie nosiły żadnych śladów uszkodzeń. Świadczyło to, że matka pani domu wpuściła do mieszkania osobę sobie znaną lub taką, która musiała budzić jej zaufanie. Mógł to być na przykład listonosz albo inkasent elektrowni, a nawet... milicjant. Albo ktoś, kogo zmarła znała osobiście i do kogo miała pełne zaufanie.

Co do listonosza sprawdzono, że jak zwykle przyniósł on pocztę około godziny dziesiątej. Miał kilka listów poleconych, więc ustalenie godziny jego pobytu w kamienicy przy ulicy Buczka pod dziewiętnastym nie przedstawiało najmniejszych trudności. Również wyjaśniono, że doręczyciel listów normalnie obszedł cały swój rejon. A przecież spustoszenie w mieszkaniu było jednocześnie dowodem, że napastnik przebywał w nim co najmniej godzinę. I chyba bardzo musiał się śpieszyć, aby dokonać takiego pogromu. A więc, jeżeli nawet przyjąć, że Rosińska wpuściła go w kilka minut po przyjściu do mieszkania córki, to jest około godziny jedenastej minut trzydzieści, opuścił dom najwcześniej przed godziną pierwszą po południu. Tyle wolnego czasu listonosz nie mógłby wykroić z obchodu swojego rejonu, żeby milicja nie zdołała tego ustalić.

Inkasent - z gazowni i elektrowni. Tu przede wszystkim nasuwało się pytanie, czy jego wizyta w listopadzie nie wzbudziłaby od razu nieufności pani Rosińskiej? W tej dzielnicy miasta kontrolowano liczniki w miesiące parzyste. Poza tym stwierdzono, że tego dnia inkasent pracował w zupełnie innej części miasta i wiele osób to poświadczyło. A więc i on odpadł.

Dozorcą domu była starsza już kobieta, zresztą wywiązująca się ze swoich funkcji lepiej niż niejeden młody mężczyzna. Czy dozorczyni byłaby zdolna do zadania tak piekielnie silnego ciosu? Nie ulega wątpliwości, że nie. Wszystko wskazywało, że zabójcą jest mężczyzna.

Milicja opuściła dom przy ulicy Buczka dopiero późnym wieczorem. Przesłuchiowano

wszystkich lokatorów. Niektórych nawet dwukrotnie. Interesowano się stałymi bywalcami piwiarni i klientami obu sklepów - spożywczego i drogerii. Niemniej, po powrocie do Komendy Miasta, porucznik Roman Widerski musiał zameldować swojemu przełożonemu, że plon jego pracy równy jest zeru.

Wprawdzie Hanka, która swojej „paczce” zrelacjonowała przebieg zdarzeń tragicznego dnia, nie była przy rozmowie porucznika ze „starym”, ale wysnuła trafnie wnioski, że milicja nie rozporządza żadnymi śladami, które pozwoliłyby na szybkie odnalezienie mordercy.

- Prędzej czy później będą go mieli - stwierdził Stach.

- Gdyby wziął z mieszkania coś poza pieniędzmi, to mógłby wpaść - zaproponował Zygmunt - ale skoro wziął jedynie forszę, to mu niczego nie dowiodą. Pieniądze są do siebie podobne. Gdyby nawet u faceta znaleźli osiemdziesiąt tysięcy złotych, to w jaki sposób udowodnią mu, że ta gotówka pochodzi z ulicy Buczka? Ten bandzior to cwaniak dużej klasy. Dlatego nie połakomił się ani na rzeczy kosztowne, ani na takie, które mogłyby go kiedyś zdemaskować.

- Łapią i cwaniaków. Większych od tego - Stach w przeciwieństwie do Zygmunta miał bardziej pozytywną opinię o pracy służby śledczej.

- Nie ich łapią, tylko oni sami dają się złapać. Każdy robi jakiś błąd i w rezultacie wpada. A ci, którzy nie popełniają błędów, chodzą na wolności.

- Bardzo mi żal pani Rosińskiej. Taka miła starsza pani. Że też musiało ją to spotkać. Kiedy dowiedziałam się o tym, nie mogłam powstrzymać łez. I pomyśleć, że mogłam przechodzić koło drzwi państwa Legatów wtedy, kiedy morderca popełniał swoją zbrodnię.

- Ty?! - wykrzyknęła Elżbieta.

- Miałam zdawać kolokwium o dwunastej, więc wyszłam z domu po jedenastej. A może nawet pół do dwunastej. Do Akademii mam zaledwie dziesięć minut drogi. Egzamin trwał niecałą godzinę. Około pierwszej byłam z powrotem.

- Nikogo nie widziałaś?

- O to samo wypytywała mnie milicja. Nic nadzwyczajnego nie zauważyłam. Nic też nie słyszałam przechodząc koło drzwi na pierwszym piętrze.

- Przecież kiedy tłukł lustro od toaletki, to narobił hałasu.

- Tego i tak nie byłoby słyszeć na klatce schodowej. U nas mieszkania mają grube ściany. Poza tym najpierw jest duży, długi przedpokój. Z niego wchodzi się do łazienki, tuż przy samym wejściu. Dalej, po lewej stronie, jest niewielki pokój, zaś po prawej drugi, znacznie większy. Na drugim końcu korytarza drzwi na wprost wejścia prowadzą do dużego, przejściowego pokoju. Dopiero stamtąd wchodzi się do sypialni państwa Legatów, gdzie właśnie stoi toaletka. Ze schodów nie można usłyszeć, co dzieje się w sypialni, nawet głośnego brzęku szkła.

- A te książki, gdzie schowane były pieniądze?

- Inżynier ma swój gabinet w małym pokoju przy łazience. Tam pod ścianą znajdują się dwa regały. Poza tym stoi biurko, jakiś stoliczek i parę foteli.

- A telewizora nie potłukł?

- Nie.

- To jakiś oblatany gość - zauważył Mietek, który studiował na wydziale łączności Politechniki Szczecińskiej. - Wiedział, że lampa kineskopowa eksplodowałaby z hukiem armaty i mogłaby porządnie go pokaleczyć.

- Pamiętasz. Hanka - przypomniał Jaś - jak w ósmej klasie złapałaś złodzieja, który kradł palta w szatni?

- To nie ja złapałam, to woźna.

- Woźna złapała, ale ty poddałaś pomysł, żeby ukryć się w ramie wieszaka i umówiłaś się z woźną, w jaki sposób zasygnalizować, kiedy złodziej będzie wychodził z paltem. Jeżeli dobrze sobie przypominam, wisiałaś na tym wieszaku coś ze trzy godziny.

- Chyba nawet parę dni z rzędu - zauważyła Krysia. - Bardzo jej wtedy zazdrościłam, że ja muszę siedzieć na lekcjach, a ona nie.

- Tylko dwa dni czatowałam na złodzieja - sprostowała Hanka - i wcale nie po trzy godziny. Tam dyżurowały i inne dziewczynki z sąsiednich klas.

- Ale pomysł był twój. Temu nie zaprzeczysz.

- Pomysł był stosunkowo prosty. Ponieważ złodziej dostawał się do szatni tylko wtedy, kiedy nikogo tam nie było, należało urządzić zasadzkę tak, aby jej nie spostrzegł. Niewielka w tym moja zasługa.

- Ale gdybyś teraz wykryła mordercę pani Rosińskiej, to byłaby dopiero sensacja. Już widzę te tytuły w gazetach: „Dzielna medyczka demaskuje mordercę”. Albo: „Hanka Wróblewska, studentka medycyny, najlepszym detektywem Szczecina” - śmiał się Zygmunt.

- Musisz się tym zająć, Hanka! - stwierdził Mietek.

- Ja? Dlaczego? Przecież od wykrywania morderstw jest milicja - Hanke speszły słowa Mietka.

- Koniecznie, Haniu - wszyscy poparli wnioskodawcę.

- Ale głupstwa mówicie.

- To nie są wcale głupstwa - przekonywał dziewczynę Mietek - masz przecież w tym kierunku zdolności. Najlepiej tego dowodzi historia ze złodziejem w szatni. Niby to było proste, ale nikt prócz ciebie nie wpadł na ten pomysł. Poza tym mieszkasz w domu, w którym popełniono przestępstwo. Znasz dobrze zarówno państwa Legatów, jak i pozostałych lokatorów kamienicy. Rozmawiając z nimi dowiesz się więcej, niż może dowiedzieć się milicja. Inaczej rozmawia się z milicją niż z przystojną córką sąsiadki.

- Dziękuję za przystojną. Cieszę się, że po piętnastu latach znajomości zdołałeś to w końcu zauważyć.

- Ty sobie kpisz, a ja mówię zupełnie poważnie.

- Też sobie wymyśliłeś. Nawet gdybym zgodziła się zająć tą sprawą, to niczego nie zrobię bez wiedzy i zgody milicji.

- Ależ nie musisz rozwiązywać tej zagadki bez zgody milicji. - Zygmunt również zapalił się do projektu Mietka. - Przeciwnie, idź jutro do komendy i zaproponuj im naszą pomoc.

- Naszą? - zdziwił się Jaś.

- Przecież w razie potrzeby wszyscy będziemy Hance pomagali - poważnie oświadczył Zygmunt.

- O tak - przytaknęła Elżbieta. - Gdyby potrzeba było kogoś śledzić, możesz, Haniu, na mnie liczyć.

- Zwłaszcza jeżeli to będzie jakiś przystojny chłopak - dodał Mietek.

- No, czas na mnie - Hanka spojrzała na zegarek - dochodzi druga. Obiecałam mamie, że dzisiaj nie spóźnię się na obiad.

- Więc jutro idziesz na milicję - Mietek nie ustępował.

- Oszalałeś? Żeby mnie wyrzucili na zbitą twarz?

- Na pewno nie wyrzucą. Będą zachwyceni, że ktoś zgłasza się z pomocą. Koniecznie musisz iść.

- Tak! Idź. Daj słowo, że pójdziesz.

- Wy naprawdę macie trochę przestawione meble na poddaszu.

- Kto jest za tym, żeby Hanka poszła na milicję? - zapytał Mietek?

Siedem rąk podniosło się do góry.

- A więc przegłosowane. Musisz iść - oświadczył z tryumfem Mietek.

W „paczce” panował zwyczaj, że wyniki głosowania decydują.

- Dobrze, pójdę - zgodziła się Hanka - ale nadal twierdzą, żeście zwariowali, i że mnie natychmiast stamtąd wyrzucają.

- Na pewno cię nie wyrzucają. Będą bardzo zadowoleni. Tyle przecież mówi się teraz o współpracy społeczeństwa z milicją przy zwalczaniu przestępczości.

Rozdział III

Wizyta w komendzie milicji

Wcale nie byli zachwyceni! Kiedy Hanka weszła do gmachu komendy milicji, podoficer służbowy, starszy sierżant, długo dopytywał się, w jakiej sprawie i z kim dziewczyna chce się zobaczyć. Hanka orientowała się, że opowiadanie całej historii o ich „paczce” i uchwale kolegów, że ona, studentka medycyny, ma zgłosić się do współpracy z MO, brzmiałoby tutaj bezsensownie. Wyjaśniła więc jedynie, że mieszka w domu, w którym popełniono zbrodnię, i ma coś ważnego do zakomunikowania prowadzącemu śledztwo.

Sierżant nakręcał kolejno numery telefonu, by wreszcie za trzecim razem znaleźć kogoś kompetentnego. Naciskając guzik otworzył elektryczny zamek drzwi prowadzących na korytarz i powiedział do Hanki:

- Obywatelka będzie musiała zaczekać z dziesięć minut.

Z dziesięciu minut zrobiło się pół godzinki. Hanka już miała zamiar wycofać się z całej imprezy, kiedy wreszcie usłyszała głos podoficera MO.

- Pójdziecie, obywatelko, na pierwsze piętro, do pokoju numer sto szesnaście, do porucznika Widerskiego.

Był to niewielki pokoik. Znajdował się w nim tylko stół i trzy krzesła. Z boku stała metalowa szafa na akta. Jediną ozdobą stołu był telefon. Za stołem, na wprost wejścia, siedział oficer MO z dystynkcjami porucznika. Wstał na powitanie dziewczyny. Hanka zauważyła, że jest wzrostu więcej niż średniego. Ciemne włosy rozdzielał przedziałkiem z lewej strony a la Kennedy. Hance nie podobał się taki sposób uczesania mężczyzny, wołała włosy gładko zarzucone do góry. Porucznik miał jasnoniebieskie oczy, cienki, prosty nos. Usta nieco zagryzał, o czym najlepiej świadczyły dwie bruzdy w kącikach warg. Mimo listopada, twarz zachowała jeszcze letnią opaleniznę. Był szczupły i robił wrażenie silnego, wysportowanego mężczyzny.

Nawzajem oficer MO obrzucił ciekawym spojrzeniem wchodzącą. Była wysoka i zgrabna. Miała ładną nogę, może ciut przygrubą w kostce. Ale przy tym wroście to nie raziło. Ciemna blondynka, włosy krótko obcięte. Nie można powiedzieć, żeby była piękna. Usta, jak na klasyczne wymogi piękności, nieco za grube, nosek odrobinę zadarty. Największą ozdobą tej twarzy były oczy. Nie niebieskie i nie zielone, tylko jak gdyby w odcieniu fioleto. W oczach tych coraz zapalały się błyski.

Ubrana była dość skromnie, ale z gustem. Spod rozpiętego płaszczyka widać było jasny sweterek, doskonale harmonizujący ze spódniczką w szkocką kratę. Porucznikowi najbardziej jednak podobało się, że dziewczyna nie ma „zrobionych” oczu. Nie uznawał tego rodzaju makijażu w godzinach przedpołudniowych. Teraz z przyjemnością stwierdził, że interesantka ma jedynie nieco przyciemnione rzęsy i brwi, a usta pociągnięte jasną pomadką.

- Proszę niech pani siada - wskazał krzesło po drugiej stronie stołu.

Hanka usiadła.

- Pani? Przepraszam, nie zanotowałem, kiedy zatelefonowano z dołu...

- Anna Wróblewska.

- Aha - oficer dobrze orientował się w sprawie, którą prowadził, gdyż wyrecytował bez zagładania do teczki, którą wyjął z szuflady. - Pani Wróblewska. Mieszka pani na czwartym czy piątym piętrze przy Buczka pod dziewiętnastym. Razem z matką?

- Tak jest. Ja właśnie w sprawie tego morderstwa.

;- Słucham panią. Jeżeli się nie mylę, wywiadowca Kardaś przesłuchiwał obie panie w sobotę. Prawda?

- Tak jest. Któryś z panów rozmawiał ze mną aż dwa razy.

- A pani dopiero teraz przypomniała sobie coś, co mogłoby nas zainteresować? - Porucznik starał się jak najbardziej ułatwić dziewczynie zadanie.

- Ja... Właściwie niczego sobie nie przypominałam. Przyszłam... - Hanka zająknęła się. Nie wiedziała, co dalej mówić. Była zła na siebie, że dała się wciągnąć w tę całą kabałę. Jeżeli powie powód swojego przyścia temu przystojnemu oficerowi MO, to wyjdzie w jego oczach na skończoną idiotkę.

- Niech się pani nie denerwuje - Widerski źle zrozumiał zmieszanie dziewczyny. Był zresztą przyzwyczajony, że ludzie zgłaszający się do milicji i składający zeznania, które mogą kogoś obciążyć, robią to zazwyczaj bardzo niechętnie. Nic dziwnego, że nieraz przy tym się jękają.

- Ja się nie denerwuję, tylko nie wiem, jak to panu powiedzieć.

- Może papierosa? - Oficer podsunął dziewczynie paczkę.

- Dziękuję. Nie palę.

- Słucham panią.

- Ja... Ja przyszłam tutaj, żeby panu pomóc.

- Bardzo się cieszę. Zawsze chętnie korzystamy ze współpracy społeczeństwa przy zwalczaniu przestępczości. Przecież gdyby nie społeczeństwo, milicja sama nic by nie mogła zrobić. Proszę więc opowiedzieć szczerze wszystko, co pani wie w tej sprawie.

- Kiedy... Kiedy - Hanka jąkała się beznadziejnie - ja naprawdę nic jeszcze nie wiem.

- Nie rozumiem. - Oficer z lekka zaczął tracić cierpliwość.

- Powiem panu porucznikowi wszystko. Mam kilkoro przyjaciół. Taką paczkę, która trzyma się razem od pierwszych lat szkolnych. W każdą niedzielę spotykamy się na kawie w zamku. Wczoraj - Hanka brnęła dalej, zdając sobie sprawę, że jej słowa brzmią w uszach oficera głupio i naiwnie - kiedy im opowiedziałam o morderstwie w naszej kamienicy, wszyscy postanowili, że powinnam zgłosić się do milicji i ofiarować naszą współpracę przy wykryciu zbrodni. Ja - zawahała się nieco - kiedyś już złapałam złodzieja. Kradł w szatni szkolnej palta dzieci. Koledzy twierdzą, że mam pewne zdolności w tym kierunku.

Porucznik słuchał tych słów z wyrazem rozbawienia na twarzy.

- To ładnie z waszej strony - powiedział - że chcecie pomagać milicji. Bardzo, jesteśmy wam wdzięczni za dobre chęci. Niestety, nie widzę jednakże, w czym moglibyście nam być pomocą?

- Mieszkam w tej samej kamienicy - Hanka znowu użyła znanego argumentu.

- No tak, ale pani, jak i inni mieszkańcy domu przy Buczka, niczego nie zauważyła w krytycznym dniu.

- Znam wszystkich mieszkańców tej kamienicy. Znam też wiele innych ludzi z sąsiednich domów. Cała nasza paczka mieszka w pobliżu Placu Grunwaldzkiego.

- Przyznam się, że nie widzę żadnego związku z morderstwem.

- Morderca znał panią Rosińską. Dlatego wpuściła go do mieszkania. Stąd wniosek, że musi mieszkać gdzieś w pobliżu. Może udałoby się nam odnaleźć taką osobę, która nie ma alibi albo kręciła się w pobliżu domu, kiedy pani Łucja wracała do mieszkania.

- Na pewno pani Rosińska знаła mordercę. Obcego nie wpuściłaby do mieszkania. Ale to nie znaczy, że ten, który ją zabił, mieszka przy ulicy Buczka lub w pobliżu Placu Grunwaldzkiego. Mógł, na przykład, przyjechać za swoją ofiarą z Goleniowa.

- No tak - Hanka przyznała rację porucznikowi.

- Pani sama orientuje się, że jej pomoc niewiele nam się przyda.

Hance przyszedł do głowy nowy, ważny argument. Przypomniała sobie słowa Mietka: „Z przystojną córką sąsiadki rozmawia się inaczej niż z milicją. Ludzie starają się jak najmniej powiedzieć milicji. Każdy obawia się, że później będzie wzywany na świadka albo nawet, że będą jego podejrzewali o przestępstwo. Co innego rozmowy z sąsiadami, mieszkańcami tej samej lub

sąsiedniej kamienicy. Wtedy ludzie są i bardziej szczerzy, i mają lepszą pamięć”.

- Panie poruczniku, mogłabym niby przypadkiem nawiązywać rozmowy na temat tego morderstwa. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego. I tak od dwóch dni na Buczka o niczym innym się nie mówi. Może udałoby mi się zebrać coś ciekawego? Pan przypuszczał, że przyszedłem do was, bo przypominałem sobie coś ważnego już po oficjalnych przesłuchaniach. Może rzeczywiście ktoś coś sobie przypomni, ale do was z tym nie przyjdzie, za to chętnie podzieli się ze mną taką wiadomością. Cóż w tym dziwnego, że młoda dziewczyna i to mieszkająca akurat dwa piętra nad mieszkaniem, gdzie popełniono zbrodnię, jest ciekawa i wypytuje o wszystko sąsiadów.

Porucznik zamyślił się.

- To jest dosyć przekonujące. Ale niech pani sobie nie wyobraża, że przesłuchaliśmy mieszkańców domu i uznaliśmy, iż na tym nasza rola się skończyła. Milicja ma swoje różne sposoby. A może teraz zajmujemy się tym samym, o czym pani wspominała, właśnie dyskretnym zbieraniem informacji? Dlatego też bardzo dziękujemy pani i jej miłym przyjacielom, ale raczej nie skorzystamy z waszej propozycji.

Hanka była wyraźnie zawiedziona i nieco zła.

- Rozumiem - powiedziała - żeby tu przyszedł jakiś stary piernik, a choćby tylko mężczyzna, pan porucznik inaczej by z nim rozmawiał. Szybko byście doszli do porozumienia i pewnie byłby pan zachwycony jego propozycją. Ale ponieważ jestem tylko kobietą i na nieszczęście jeszcze młodą, więc pan pomyślał: „Głupia gęś, trzeba ją jak najszybciej spławić”. Typowo męski sposób rozumowania.

Porucznik roześmiał się, tak go bowiem rozbawił widok coraz bardziej rozgniewanej dziewczyny.

- Dobrze. Nie chce pan mojej współpracy? Nie trzeba! Ale nie może pan mi zabronić dalszego zajmowania się tą sprawą. Udowodnię panu, że wy, mężczyźni, nie jesteście najmądrzejsi na świecie i że młoda dziewczyna też może na coś się przydać.

- Oczywiście, że może - porucznik wpadł w doskonały humor - zwłaszcza taka przystojna. Doskonale pani z tym rumieńcem gniewu.

- Jest pan wstrętny - odpaliła Hanka.

W tym momencie dziewczyna naprawdę ślicznie wyglądała. Coraz bardziej podobała się porucznikowi. Szczególnie te złote ogniki w oczach...

- Przepraszam pani... Anno.

- Nazywają mnie Hanką - automatycznie poprawiła dziewczyna.

- Przepraszam panno Haneczko, pani argumenty są druzgocące. Przekonała mnie pani. Oczywiście nie mogę pani zaangażować do współpracy ani też zabronić zajmowania się na własną

rękę tą sprawą. Zawrzyjmy jednak pokój. Nie będę pani dawał żadnych zleceń, ale chciałbym wiedzieć o wszystkim, co pani robi w tej sprawie. Dlatego prosiłbym, aby pani codziennie mnie odwiedzała i - nazwijmy to tak: - zdawała mi raport ze swoich czynności. Dobrze?

- A pan mi również powie, co robiła milicja, żebyśmy nie dublowali swojej pracy.

- Obawiam się, że będę związany tajemnicą śledztwa.

- A więc współpraca, ale tylko jednostronna? Nie na równych prawach?

- Tak już jest u nas. Jeżeli mój szef każe mi zebrać jakieś informacje, nigdy mi nie mówi, do czego mu to potrzebne.

- Trudno. Muszę się zgodzić. Zobacz pan, że przydam się bardziej niż ci wszyscy pana wywiadowcy - mężczyźni.

- Znowu się pani myli. W milicji pracują również kobiety.

- Aha. Teraz nareszcie zrozumiałam, dlaczego i milicji udaje się czasem coś wykryć.

- A ja za to przekonałem się, że na medycynie ostrzą języczki.

- Znowu się kłócimy - stwierdziła Hanka. - Kiedy mam się zameldować?

- Jutro. Tak koło trzeciej po południu. Odpowiada pani?

- Skoro zgodziłam się na współpracę, musi odpowiadać. Dobrze, będę punktualnie o trzeciej.

- Proszę na dole podać tylko swoje nazwisko. Będą uprzedzeni i natychmiast panią wpuszczą.

Porucznik chwilę wahał się, czy pocałować wyciągniętą do niego zgrabną rękę. Poprzestał jednak na koleżeńskim uścisku. Kiedy za dziewczyną zamknęły się drzwi, zamyślił się głęboko.

Sprawa była, jak to się mówi, naprawdę „cholerna”. Żadnego zaczepienia. Morderstwo i rabunek dużej sumy pieniędzy. Zarówno komendant, jak i prokuratura będą naciskali na jak najszybsze wyjaśnienie sprawy. Prasa już się na ten temat rozpisala zbyt szeroko. A tu najmniejszych śladów. Żadnej nitki przewodniej.

To był właściwie główny powód, dla którego w końcu zgodził się na dość dziwną propozycję tej zwariowanej dziewczyny. Kiedy inne drogi zawiodły, może ta coś da. Żeby chociaż znaleźć punkt zaczepienia. A poza tym - porucznik przyznał się sam sobie - fakt, że dziewczyna podobała mu się i była taka miła, nie pozostawał bez znaczenia przy podjęciu tej niecodziennej decyzji. Gdyby miała szerszy nos czy krzywe nogi, cała rozmowa miałaby zapewne inny przebieg. Odwieczna prawda, że uroda i wdzięk nigdy nie szkodzą, znalazła jeszcze jedno potwierdzenie.

- Ale prokurator da mi ochrzan, kiedy dowie się o tej Hance - powiedział głośno, włożył akta do teczki i poszedł na ulicę Sambora, do gmachu prokuratury.

Z ramienia prokuratury szczecińskiej śledztwo w sprawie zabójstwa przy ulicy Buczka prowadził wiceprokurator Witold Szczerbiński. Uchodził on za jednego z najzdolniejszych w całej prokuraturze wojewódzkiej. Na swoim koncie Szczerbiński zapisał już niejedną poważną sukces. Fakt, że teraz właśnie jego wyznaczono do prowadzenia tej sprawy, świadczył dobitnie o wadze jaką władze przykładają do szybkiego wykrycia przestępcy. Szczerbiński od dawna znał Widerskiego i również był zadowolony, że właśnie porucznik otrzymał prowadzenie skomplikowanego śledztwa. Uważał bowiem, że Widerski, chociaż młody, miał otwartą głowę i tzw. „szósty zmysł”, potrzebny każdemu funkcjonariuszowi milicji.

- No, jak tam? Co nowego, poruczniku?

- Na razie niczego nie mamy - rozłożył ręce Widerski.

- To niedobrze. Były dzisiaj telefony. Od prokuratora wojewódzkiego, a potem od samego przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej. Sprawa narobiła cholernie dużo szumu.

- Aż za dużo - zgodził się porucznik.

- Co pan teraz robi?

- Posłałem w teren tylu wywiadowców, ilu tylko mogłem zebrać. Staramy się też uzyskać pewne wiadomości drogą konfidencjonalną.

- Obawiam się, że to nic nie da. Nie przypuszczam, żeby morderca pochodził ze świata przestępczego. Podejrzewam raczej działanie amatora.

- To bardzo sprytny gość.

- Tak. Dlatego myślę, że właśnie amator. Przestępca zawodowy raczej by nie mordował. A poza tym zabrałby z mieszkania wszystko, co tylko przedstawia jakąkolwiek wartość. Ten wziął tylko pieniądze.

- Przyszedł dla pieniędzy, więc brał jedynie gotówkę.

- Miałem trochę dziwną propozycję - zaczął niezbyt pewnym głosem porucznik - zgłosiła się do mnie przed chwilą pewna studentka medycyny, która mieszka w tym samym domu, i zaproponowała współpracę.

Wbrew obawom Widerskiego, prokurator słuchał z zainteresowaniem.

- To ciekawe - powiedział. - Trzeba było zaakceptować. W takiej sprawie jak ta, musimy próbować wszelkich możliwych dróg. Nawet tych niezupełnie formalnych.

- To samo pomyślałem, panie prokuratorze - porucznik stwierdził z ulgą, że „numer przeszedł” - i dlatego umówiłem się, że dziewczyna będzie zbierała plotki na temat tej zbrodni, jakie tylko wpadną jej w ucho. Ma mi codziennie dostarczać wiadomości.

- Codziennie? - zdziwił się prokurator. - Bardzo dobrze, że dziewczyna jest ładna. To jej pomoże w uzyskiwaniu informacji.

- Ma bardzo ładne fiołkowe oczy. Ze złotymi iskierkami - powiedział porucznik i dopiero wówczas spostrzegł, że prokurator wziął go „na fundusz”. Chciał się ugryźć w język, ale było już za późno. - Kupiłem!

Prokurator śmiał się.

- No, udało mi się złapać porucznika. Od razu pomyślałem, że z brzydką nie umawiałby się pan codziennie. Więc powiada pan, że złote iskierki?

Widerski zmieszał się.

- Pan prokurator próbuje na mnie różnych nowych chwytów, a później stosuje je przy przesłuchaniach podejrzanych. To ładnie tak mnie z mańki zażyć?

- Jednakże, poważnie mówiąc, ta dziewczyna może nam się przydać. Jeżeli jest sprytna, potrafi wyciągnąć jakieś wiadomości lub choćby plotki od ludzi, od których my niczego byśmy się nie dowiedzieli.

- Chyba jest sprytna. Podobno jeszcze w szkole złapała złodzieja.

- A propos. Trzeba byłoby zbadać, czy w tym rejonie nie zdarzały się przedtem jakieś podobne przestępstwa.

- Morderstwa nie było żadnego. O tym bym wiedział. A co do zwykłych kradzieży, poleciłem jednemu z naszych ludzi, żeby zbadał, co działo się w okolicy Placu Grunwaldzkiego w ciągu ostatnich pięciu lat. Najdalej jutro będę miał te dane. Szukam wszędzie. Po omacku, ale szukam.

- No cóż - stwierdził prokurator - nie pozostaje nam nic innego, jak czekać na wyniki naszych poszukiwań.

- Najwięcej nadziei przywiązuję do pracy wywiadowcy Maliniaka.

- Maliniak? Nie słyszałem o nim.

- To młody chłopak. Pracuje u nas dopiero od dwóch lat. Duży cwaniak. Przy tym prawdziwe „dziecko Szczecina”. Kiedy miał dwanaście lat, uciekł od jakiegoś bogatego chłopca, który zaopiekował się sierotą przede wszystkim dlatego, żeby mieć bezpłatną „pasionkę”. Pętał przyjechał do Szczecina i włóczył się po porcie. Pewnie by marnie zginął, gdyby nie zatrzymał go patrol milicji. W ten sposób Maliniak dostał się do Domu Dziecka w Szczecinie-Zdrojach. Wychowawcy nie mieli z nim łatwego życia. Parę razy usiłował bryknąć. Wreszcie jakoś się ustatkował, skończył szkołę i nabrał ochoty do służby w milicji. Dzisiaj to nasz najsprytniejszy wywiadowca. Zna chyba wszystkich w mieście. I ze wszystkimi umie jakoś żyć na dobrej stopie. Co ciekawe, nawet z tymi, których już nieraz przyskrzypił. Po prostu nie można nie lubić tego chłopaka. Od wczoraj rana Maliniak rzucił wszystkie inne sprawy, aby kręcić się po mieście i zbierać wiadomości na temat

zbrodni przy ulicy Buczka.

- To samo ma robić wasza z iskierkami.

- Maliniak jest dobrym fachowcem, a Hanka jest tylko amatorem.

- Powoli wyciągam z was różne szczegóły. - Prokurator był bardzo zadowolony ze swojej przebiegłości. - Już dowiedziałem się, że bóstwo o fiołkowych oczach ma na imię Hanka. Może dowiem się i nazwiska?

- Znowu wpadłem. - Porucznik tym razem potraktował to z humorem. - Trudno, kiedy powiedziało się „a”, trzeba klepać cały alfabet do końca. A więc Anna Wróblewska, córka Jana i Wandy, urodzona w 1945 roku, studentka czwartego roku Akademii Medycznej. Panna, nie karana.

- A jednak ta Hanka musiała wpaść panu w oko. Coś za dużo pan o niej wie - pokręcił głową prokurator.

Rozdział IV

Dwie sprytne dziewczynki

Pierwsze próby podjęte przez Hankę dla zdobycia jakichkolwiek wiadomości o morderstwie nie przyniosły żadnego rezultatu, chociaż bardzo łatwo można było nawiązać na ten temat rozmowę zarówno w obu sklepach, jak też i w piekarni lub z sąsiadami. Ludzie mówili dużo i chętnie, ale nic nie wiedzieli. Jeden z pracowników piekarni utrzymywał, że koło godziny dwunastej słyszał jakiś hałas na górze, lecz powiedział to samo już i przesłuchującemu go wywiadowcy. Milicja zrobiła nawet próbę. Wypadła ona negatywnie. Okazało się, że głośnie okrzyki, stukanie i inne hałasy w mieszkaniu państwa Legatów nie dochodzą do piekarni. A więc albo typowy przejaw historycznej fantazji, albo ten człowiek słyszał jakiś odgłos z ulicy lub z podwórza.

Oczywiście plotka szalała. W pobliskiej kawiarni, bo i tam Hanka wstąpiła, kelnerka opowiedziała jej mrozącą w żyłach historię, jak to morderca gonił nieszczęsną panią Łucję Rosińską po całym mieszkaniu, zadając jej ciosy wielkim i bardzo tępym nożem kuchennym. A spotkany w Alei Wojska Polskiego kolega poinformował studentkę o wymordowaniu całej rodziny. Wprawdzie nie na Buczka, ale w pobliżu, bo w Alei Piastów.

Hanka szybko się przekonała, że chleb wywiadowcy jest znacznie bardziej gorzki, niż przypuszczała, a praca dużo cięższa. Kilkadziesiąt rozmów i cały dzień stracony - z gorliwością neofity panna Wróblewska nie zajrzała na Akademię Medyczną, a tylko cały czas polowała na różnych informatorów. Rezultat - kompletne zero. Nic, z czym można byłoby pójść do gmachu milicji.

Nazajutrz z rana Hanka zadzwoniła do drzwi mieszkania państwa Legatów. Wiedziała doskonale, że w każdy wtorek Maria Popiela sprząta tutaj. Jakoż po chwili rozległy się kroki w przedpokoju i drzwi zostały ostrożnie uchylone. Sprzątaczką nie spuściła jednak łańcucha, lecz przezornie sprawdzała, kto dzwoni.

- A, to Haneczka - ucieszyła się - proszę bardzo. Niech pani wejdzie, złociutka.

Szczęk łańcucha i Hanka znalazła się w przedpokoju. Mimowolnie spojrzała w stronę drzwi prowadzących do łazienki, ale tam nie było już żadnych śladów tragedii. Posadzka świeciła świeżą pastą. Jej zapach dominował w przedpokoju.

- Pani tu patrzy - Maria Popiela była rozmowną kobietą - tak, właśnie w tym miejscu leżała biedaczka. A rączkę miała podgiętą pod głowę. Jak gdyby spała.

Hanka aż wzdrygnęła się, słuchając tej makabrycznej opowieści.

- Pani ją widziała?

- Broń Boże - oburzyła się sprzątaczką - nie mogłabym spać i bałabym się zostać sama w - tym mieszkaniu. Kiedy przybiegłam do państwa Legatów, już ją, nieboraczkę zabrali. A pogrzeb będzie, kochana, jutro o godzinie jedenastej, na cmentarzu „Ku Słońcu”. Na co jej, nieszczęsnej, przyszło. Może żeby tych zakupów nie robiła, żyłaby do dziś dnia.

- Jakie zakupy? - zdziwiła się Hanka, która nie знаła szczegółów ostatnich chwil życia Lucji Rosińskiej.

- Pani profesorka, kiedy przyjechała do miasta, poszła do pani inżynierowej, do szkoły - objaśniała sprzątaczką - a potem wracając wstąpiła do „Delikatesów” na rogu Jagiellońskiej i Wojska Polskiego. Kupiła tam kurkę na niedzielę, szynkę, parówki, masło, nawet i makaron.

- Nawet i makaron - machinalnie powtórzyła dziewczyna.

- Właśnie, złociuteńka, makaron. Czterojajeczny. Wszystko przyniosła i położyła w kuchni na stole. Tak leżało, jak przyszłam. Dobrze, że ten zbrodniarz chociaż tego nie wziął.

- Dlaczego?

- Bo czy to pani inżynierowa miała w takim czasie głowę, aby pomyśleć, że dzieci są głodne i bez obiadu? Dopiero kiedy przybiegłam i znalazłam to wszystko na stole, ugotowałam makaron i dałam sierotkom z parówkami. Bo co miałam zrobić?

- Miała pani rację -. poważnie przytaknęła Hanka.

- Zjedli wszystko, chociaż ten najmłodszy Michaś taki wybredny. Ale zrobiłam im do tego sos pomidorowy. Puszka z pomidorami i butelka ze śmietaną były w lodówce. Pani tylko płakała i mówiła: „niech Maria robi, co chce”. A pan był taki bledziutki jak opłatek.

- Takie nieszczęście i duża strata.

- Właśnie - przytaknęła pani Popiela - całe pieniądze łajdak zabrał. Wszystko, co pan inżynier dostał za samochód.

- Dobrze o tym wiedział.

- Ale skąd? Państwo inżynierowie nikomu nie mówili. Przecież ja sprzątam tu w każdy wtorek i piątek, a też ani słówka nie słyszałam. A on wiedział i wiedział, gdzie szukać?

- A dlaczego pani powiedziała, że gdyby pani Rosińska nie robiła zakupów, to żyłaby do dzisiejszego dnia?

-«- W „Delikatesach” zawsze tyle ludzi. Różni tam bywają. Pewnie ktoś ją przyuważył w ogonku i poszedł za nią.

- Może i tak było - Hanka nie chciała spierać się ze sprzątaczką, chociaż jej teoria wydawała się dziewczynie mało prawdopodobna. Gdyby jakiś opryszek przyszedł ze sklepu za matką Legatowej, to po prostu nie wpuściłaby go do mieszkania. Nie mówiąc już o tym, że obcy człowiek, z ulicy, nie mógł wiedzieć o pieniądzach za sprzedany samochód.

- Ten, kto to zrobił, musiał dobrze wypatrzeć moment i wiedział, do kogo wejść - zauważyła studentka.

- Pewnie, że wypatrzył - zgodziła się Popieła. - Mało to różnych na przeszpiegi chodzi. Przecież mam oczy otwarte i widzę. I w tej kamienicy, i gdzie indziej, gdzie też sprzątam. Włóczą się takie i tylko patrzą, jak przyjść później i coś ukraść, albo, nie daj Boże, i zabić.

- To pani mówi, że i tu chodzili na przeszpiegi?

- A pewnie, że chodzili - przyświadczyła sprzątaczką - nie dalej jak w piątek.

- W piątek? - Hanka naprawdę była zaintrygowana. - Przecież to w przeddzień. W sobotę to wszystko się stało.

- W piątek, moja pani. Sprzątałam jak dzisiaj. Właśnie zaciągałam posadzkę w sypialce, słyszę dzwonek. Podeszłam do drzwi i otwieram. Ale nie z łańcucha. Patrzę, stoją dwie dziewczuszki. Nawet grzeczne. Dygnęły i powiadają: „Może ma pani butelki albo makulaturę, albo skórki z pomarańczy”. U pana inżyniera zawsze na taborecie w gabinecie leżą stare gazety. Cały stos, nikomu niepotrzebne. Więc mówię tym dwóm: „Zaczekajcie” i przyniosłam im. Było tego ze dwa kilogramy. Podziękowały grzeczniutko, ukloniły się i poszły. Ja dalej sprzątam. Zapastowałam i w jadalnym. Potem wyfroterowałam w gabinecie pana i zabieram się do sypialki, bo już przeszło. Zawsze do pasty dodaję trochę rozpuszczalnika. Lepiej się zaciąga i bardzo szybko schnie. A tu wchodzi moja pani i pyta: „Pani Mario, co robią te gazety przed naszymi drzwiami”? Niech sobie panna Hania wyobrazi, że smarkule, tylko drzwi zamknęłam, rzuciły całą makulaturę pod progim. Na co tu przyszły, jeżeli nie na przeszpiegi?

- A jak wyglądały te dziewczynki?

- Zwyczajnie, jak to dzieci. Miały po dwanaście lat. Jedna wyższa, druga nie taka duża.

- Z gołymi głowami? Blondynki czy czarne?

- Ja tam im się za bardzo nie przyglądałam. Za dużo mam tu roboty, żeby patrzeć. Chyba coś miały na głowie. Ta wyższa była w zielonym paletku. A ta druga może w popielatym? Nie pamiętam.

Hanka starała się zręcznymi pytaniami wydobyć od swojej rozmówczynie jeszcze jakieś szczegóły, dotyczące wizyty dwóch dziewczynek, ale nie dało to żadnego skutku, więc zmieniała temat.

- Teraz pani ma dużo roboty - stwierdziła.

- Roboty nigdy nie brakuje. Troje dzieci. A każde brudzi. Z posadzką najwięcej kramu, bo błota naniósł. A pani inżynierowa lubi, żeby wszędzie błyszczało jak lustro. Dobrze, że chociaż w przeszłym roku pan inżynier kupił froterkę elektryczną.

- Podobno ten bandyta wszystko powyrzucał z szaf i szuflad?

- Wszyscyutko, złociutka. Tak szukał tych pieniędzy. A znalazł je w książkach, u pana w gabinecie. Pokazać pani?

- Nie wiem, czy pan inżynier by się nie pogniewał?

- A co ma się gniewać? Przecież panna Hania tu jak swoja. Tyle lat przychodzi, czy to zatelefonować, czy na telewizję.

Sprzątaczką otworzyła drzwi do gabinetu. Książki znajdowały się już na regałach. Papiery schowano widocznie z powrotem do biurka, które nosiło ślady uszkodzeń siekierą.

- Tu były pieniądze - Maria Popiela pokazała na książki stojące na lewym regale. - Ale tę księgę, w której pan inżynier schował taki majątek, milicja zabrała ze sobą. Taka strata. Pan inżynier mówił, że osiemdziesiąt sześć tysięcy złotych.

Hanka jeszcze przez parę minut słuchała opowiadania poczciwej sprzątaczkii. Widząc jednak, że nie dowie się niczego nowego, pożegnała ją, by za chwilę zadzwonić do mieszkania państwa Deublów, mieszczącego się naprzeciwno.

Drzwi otworzył sam pan domu.

- Witam pannę Haneczkę. Czym możemy służyć?

- Mam taką głupią sprawę. W piątek dwie dziewczynki zbierały makulaturę. Mama dała im różne gazety i nie zauważyła, że wśród nich był mój podręcznik, niedrogi wprawdzie, ale nie można go kupić, bo nakład wyczerpany. Szukam tych dziewczynek, żeby dowiedzieć się, co zrobiły z makulaturą. Może uda mi się odzyskać moją książkę. Niestety, nie znam ich. Może ktoś z państwa zna ich adres?

- Proszę, niech pani wejdzie. Zaraz sprawdzimy - pan Deubel zaprosił dziewczynę do środka i zawołał córkę.

- Danusiu, chodź tutaj.

W drzwiach stanęła sympatyczna, młoda dziewczyna, nieco młodsza od Hanka. Znały się zresztą doskonale, bo chodziły do tej samej szkoły, tylko Hanka o dwa lata wyżej. Teraz Danusia, która skończyła kursy elektrotechniczne, pracowała w telewizji.

- Czy w piątek były u nas dwie dziewczynki zbierające makulaturę? - zapytał ojciec. - Przez pomyłkę wzięły podręcznik panny Hani.

- Były. Dałam im dwie butelki, co to tatuś...

- Znasz je? - Pan domu uważał za stosowne przerwać zbyt szczegółowe wyjaśnianie pochodzenia pustych butelek.

- One mieszkają gdzieś w pobliżu. Często je widuję, kręcą się po Buczka i po Jagiellońskiej. Ta wyższa nosi zielony płaszcz i ma na imię Irka. Chyba chodzą do naszej szkoły. Spotkałam je kiedyś koło boiska.

- A makulatury im nie dawałaś?

- Nie, tylko butelki. A jaki podręcznik ci zginął? - zainteresowała się Danusia.

- Od interny - zełgała studentka.

- One nie miały żadnych książek ani w ogóle makulatury - stwierdziła Deublówna.

Wróblewska odwiedziła wszystkie mieszkania na tej klatce schodowej. Dziewczynki wszędzie dzwoniły i prosiły o stare gazfety, butelki, skórki od pomarańczy. W trzech mieszkaniach powtórzyła się podobna historia co u państwa Legatów. Otrzymaną makulaturę dziewczynki porzuciły pod drzwiami.

- Ale ja te smarkate jeszcze spotkam - odgrażała się pani Sosnowska. - Człowiek zbiera, trzyma, jeszcze im paczkę sznurkiem obwiązuje, a one wszystko prask na podłogę.

- Pani je zna?

- Znać, nie znam, ale wiem, że ta starsza mieszka na Jagiellońskiej. W tym domu, gdzie jest komis. Widziałam ją nieraz, jak stamtąd wychodziła.

Na Jagiellońskiej, w pobliżu tego domu, mieszkał właśnie Jaś, Krystyna zaś prowadziła czy też pomagała w prowadzeniu drużyny harcerskiej w dawnej szkole „paczki”. Mogła więc pod lada pozorem dowiedzieć się w kancelarii szkoły o nazwisko dziewczynki, która ma na imię Irka, nosi zielony płaszcz i mieszka w domu, gdzie jest komis. Pełni entuzjazmu Jaś i Krysia mieli się tym zająć następnego dnia. Jaś obiecał, że przed ósmą będzie czekał przed wystawą komis i gdy dziewczynka wyjdzie z domu, pójdzie za nią, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście chodzi do tej szkoły.

Asystując smutnej uroczystości na cmentarzu, Hanka zastanawiała się, czy jest prawdą, że

morderca zawsze wraca na miejsce zbrodni albo bierze udział w pogrzebie swojej ofiary. Panią Rosińską w jej ostatniej drodze odprowadziła najbliższa rodzina, trochę sąsiadów z kamienicy przy Buczka, jacyś przyjaciele pana domu i przybyli z Goleniowa koledzy. Była też delegacja ze szkoły, w której pani Rosińska wykladała aż do dnia swojej tragicznej śmierci. Wracając do tramwaju, Hanka musiała jeszcze raz wysłuchać z ust pani Marii Popiela całej historii zbrodni, nie wyłączając parówek z makaronem w sosie pomidorowym. Hanka ze zdziwieniem stwierdziła, że hydraulik, wysoki blondyn, który w ich domu stale konserwował i naprawiał wszystkie urządzenia wodociągowe, a także regulował centralne ogrzewanie, jest mężem pani Popiela. Dziewczyna знаła zarówno hydraulika, jak i sprzątaczkę przynajmniej od pięciu lat. Nigdy jednak nie widywała ich razem, aż dopiero na pogrzebie nieszczęśliwej nauczycielki. Zarówno Hance, jak i mężowi udało się tylko parę razy wtrącić jakieś słówko do monologu gadatliwej kobiety.

Kryśia i Jaś już czekali niecierpliwie na dziewczynę. Spisali się na medal. Kryśia z dumą położyła przed Hanką kartkę z notatką:

Irena Białas. Ojciec Henryk. Pracuje w stoczni „Wulkan”.

Jasio przechwalał się, jak to już od siódmej rano czatował przed domem na Jagiellońskiej i odprowadził dziewczynkę aż do samego budynku szkolnego, a nawet zaobserwował, do jakiej klasy weszła. Mając te dane, Kryśia już bez trudu ustaliła w kancelarii szkoły resztę. Zrobiła to pod pretekstem, że Irka chce się zapisać do harcerstwa.

- Białasówna harcerką? - zdziwiła się sekretarka, pani Jadwiga. - Przecież to najgorszy w całej szkole chuligan w spódnicy. Nie ma miesiąca, żebym nie musiała pisać wezwania do rodziców. Ostatnio, słyszałam, włóczy się razem z taką samą drugą nie z naszej szkoły, nachodzi mieszkania i żebrze.

- Podobno zbiera makulaturę - powiedziała Kryśia.

- Akurat. Jeszcze nigdy jednej gazety nie przyniosła do szkoły na zbiórkę. Niech pani w to nie wierzy. Tylko patrzeć, jak zaczniesz kraść.

- Dlatego właśnie chcemy się nią zająć - Kryśia postanowiła, że naprawdę zwróci uwagę na Irkę. Może jeszcze da się ją uratować.

- Życzę tego pani, ale nie sądzę. - Pani Jadwiga była pesymistką i nie wierzyła w cudowne nawrócenia zbłąkanych owieczek.

Punktualnie o trzeciej po południu Hanka Wróblewska z dumną miną wchodziła do pokoju porucznika Romana Widerskiego.

- Witam mojego nowego współpracownika - tymi słowami przyjął ją oficer milicji. - Jak tam? Czy mamy już nazwisko i wszystkie dane o zbrodniarzu? Po minie panny Hanka widzę, że tak.

- Pan porucznik zaraz przestanie ze mnie się śmiać. Tylko pan wysłucha mojego raportu. Nie przychodzę z pustymi rękoma.

Porucznik nie przerywał opowiadania dziewczyny, a nawet kazał sobie powtórzyć niektóre szczegóły jeszcze raz, aby je dokładnie zanotować. Pochwalił Hankę za operatywność i prosił o dalszą współpracę. Miał na nią czekać następnego dnia o tej samej porze.

Zaraz po wyjściu dziewczyny zadzwonił do prokuratora, aby uprzedzić go, że przyjdzie z najnowszymi wiadomościami. Już w prokuraturze powtórzył Szczerbińskiemu opowiadanie studentki.

- Miał pan nosa - przyznał prokurator - to jest pierwszorzędna wiadomość. Niewątpliwie morderca działał na pewniaka i musiał przedtem przeprowadzić dokładne rozpoznanie terenu. Dwie sprytne dziewczynki doskonale mogły się nadawać do tej roli. Nikt ich nie podejrzewał, wszędzie mogły dojść bez zwracania specjalnej uwagi, wszystko usłyszeć. Znamy z własnej praktyki, że przestępcy nieraz posługują się dziećmi jako wywiadem.

- Tu jest to możliwe tym bardziej, że ojciec jednej z dziewczynek pracuje w tej samej stoczni, co inżynier Legat. Tam mógł dowiedzieć się o sprzedaży samochodu i gotówce przechowywanej w mieszkaniu.

- Może zbyt daleko idący wniosek - prokurator był ostrożny w rzucaniu podejrzeń. - Jeżeli ta panią jest rzeczywiście taka, jak ją odmalowała urzędniczka kancelarii szkolnej, pracowała raczej dla jakiegoś przypadkowo spotkanego typu. W każdym razie ten trop musi być dokładnie sprawdzony.

- Tak jest - zgodził się oficer MO - zbadamy wszystko jak najdokładniej.

- Swoją drogą sprytna jest ta studentka. Działając na własną rękę, potrafiła nie tylko wyciągnąć ze sprzątaczkii wiadomość, o której nie wiedzieliśmy, ale również odnaleźć dziewczynkę i jej adres.

- Oni wszyscy, panie prokuratorze, pochodzą z tej samej dzielnicy. Znają się nawzajem. Mają duże poczucie solidarności. Jestem pewien, chociaż panna Hanka tego nie mówiła, że musiała korzystać z pomocy innych młodych ludzi.

- To nam nie przeszkadza, poruczniku.

- Jest jednak naprawdę zastanawiające, dlaczego dziewczynki wyrzucały makulaturę od razu na schodach. To nie było z ich strony przezorne.

- Niech pan nie zapomina, poruczniku, że to są w gruncie rzeczy jeszcze dzieci. Ktoś je namówił czy nawet wynajął do zorientowania się w terenie, ale nie mógł przewidzieć wszystkich okoliczności. Papier jest ciężki i panienki nie chciały go dźwigać. Nie otrzymały instrukcji, że makulaturę powinny wyrzucić gdzieś dalej, więc pozbywały się jej jak najszybciej. Dorosły by tego nie zrobił. Byłby ostrożniejszy i brał paczki ze sobą. Jego postępowanie nie zwróciłoby wtedy uwagi dzielnej pani Popiela i nic byśmy o tym nie wiedzieli. Tym gorzej dla nich, a lepiej dla nas. A jak tam błyski?

- Jakie błyski?

- Mówił pan, że fioletowe, a może i złote.

- Pan prokurator znowu chce mnie nabierać.

- Skądże!

- Myślę, że ten się dobrze śmieje, kto się śmieje ostatni.

- Widzę, panie poruczniku, że chowa pan jeszcze coś w zanadrzu. Chyba się nie omyliłem?

- Być może - porucznik zrobił tajemniczą minę.

- Coś takiego, o czym prokurator nie wie?

- Myśmy też nie spali, panie prokuratorze. Nie czekaliśmy na informacje udzielone nam przez amatorów. Również możemy pochwalić się małym sukcesem. Może jeszcze nie sukcesem, ale choćby zadatkami na sukcesik. W tej chwili nie mamy jeszcze nic konkretnego, ale zdobyliśmy pewien punkt zaczepiania.

- Inny ślad niż te dwie dziewczuszki?

- Chyba zupełnie inny, chociaż łączy się z tą samą osobą.

- Nie rozumiem.

- Z osobą Hanki Wróblewskiej.

- Czyżby pan i ją podejrzewał?

- To może za mocne słowo, chociaż i tego nie można wykluczyć.

- Dlaczego więc zgłaszałyby się do milicji z propozycją współpracy?

- Nie wiem - szczerze przyznał porucznik. - W każdym bądź razie, zgodnie z zaleceniem pana prokuratora, prowadzimy dochodzenie we wszystkich możliwych kierunkach. A jeden z nich prowadzi jeżeli nie do Wróblewskiej, to o nią się ociera. Jak pan widzi, prokuratorze, niezupełnie urzekły mnie te fiołkowe oczy i nie zapomniałem o swoich obowiązkach.

- Jest pan, poruczniku, bardzo tajemniczy, ale mówi pan ciekawe rzeczy. Po trosze nawet rozumiem tę tajemniczość.

- Po prostu nie wiem jeszcze nic konkretnego. Ten ślad może być fałszywy i może prowadzić donikąd. Być może już jutro będę mógł panu złożyć szczegółowe sprawozdanie z moich posunięć, powziętych oczywiście w porozumieniu i przy pełnej akceptacji moich zwierzchników. Kto wie, czy nie poproszę o nakaz aresztowania pewnego młodego człowieka.

- To ten wasz cudowny wywiadowca, „dziecko Szczecina”, coś wyszperał?

- Tak. To zasługa Adama Maliniaka. Słusznie mówiłem, że na niego najwięcej liczę. Może chłopak trafił jak szóstkę w totolotku.

- Byłbym bardzo zadowolony, gdyby któryś z tych śladów okazał się prawdziwy. Wolałbym jednak wierzyć w uczciwość tej studentki.

- Ja też - zgodził się Widerski. - Jutro powinienem wszystko wiedzieć.

- Już jutro czy dopiero jutro? - Prokurator postawił podchwytliwe pytanie.

- Poleciliśmy zatrzymać i doprowadzić do nas pewnego młodego człowieka. Jak na razie ciężko na nim poważne poszlaki. Ale najpierw musimy go odnaleźć. Wiemy, że nie ma go w Szczecinie. Przypuszczam, że w tej chwili jego adres jest znany, a on sam został nawet zatrzymany i już jutro będzie można z nim rozmawiać. Jeżeli facet nie zdoła wykazać się murowanym alibi, będzie kandydatem numer 1 do aktu oskarżenia. Jak pan widzi, prokuratorze, nie robię tajemnicy, tylko za wcześnie, aby ujawniać szczegóły. Nie chcemy zblamować się niewypałem.

- A jeśli to będzie niewypał?

- To trudno. Przyznam się wtedy do tego. Na razie nie chcę panu prokuratorowi robić zbyt wielkich nadziei na bliskie rozwiązanie zagadki.

- A zatem czekam do jutra.

Rozdział V

Sukces wywiadowcy Maliniaka

Adam Maliniak postanowił działać prawie identycznie jak amator-detektyw, Hanka Wróblewska. Uznał jednak, że odwiedzanie mieszkańców kamienicy i rozmowy z nimi nic mu nie dadzą. Ludzie nie będą chcieli zwierzać się nieznanemu. Co innego przypadkowe rozmówki nawiązywane w kawiarni, knajpce, piwiarni lub w sklepie.

Toteż od niedzieli Maliniak nieustannie krążył wokół Placu Grunwaldzkiego i Placu Odrodzenia. W każdej z tamtejszych kawiarenek wypił przynajmniej jedną małą czarną. W piwiarni przestał dwie godziny nad paru kufkami piwa, z powodzeniem udając faceta zalanego, który przyszedł tutaj „utrwalić się”. W innych knajpach wywiadowca ryzykował nawet zjedzenie bigosu firmowego pod kieliszek wódki. Do takiej akcji trzeba mieć żelazne zdrowie, ale Maliniak był młody i posiadał wprost nieustraszoną odwagę.

Jednakże we wtorek po południu, kiedy oparł się o kiosk z gazetami, stojący przy rogu Buczka i Placu Odrodzenia, był naprawdę zmęczony. Piwsko bełkotało mu we wnętrzu, zaś bigosik („firmowy”) przejawiał coraz większe tendencje szybkiego powrotu na zewnątrz. Wywiadowca kupił gazetę i oparł się wygodnie o pulpit kiosku. Czekał, aż wróci mu lepsze samopoczucie.

- Co pan tak stoi przy moim kiosku? - zagadnęła go wreszcie sprzedawczyni. - Upił się pan, czy co?

- Zaraz się upił. Tak sobie stanąłem i łykam świeże powietrze. Dopóki jeszcze nie opodatkowane. Patrzę na ten dom - tu Maliniak pokazał na kamienicę pod dziewiętnastym przy Buczka - i myślę o tym facecie. Tyle forsy podłapał. Sto pięćdziesiąt tysięcy!

- Nie sto pięćdziesiąt, tylko osiemdziesiąt sześć - poprawiła kioskarka.

- Sto pięćdziesiąt - upierał się wywiadowca.

- Kiedy mówię, że osiemdziesiąt sześć, to wiem lepiej. Przecież to wszystko działa się prawie na moich oczach. Pan Legat zawsze u mnie kupuje gazety. Nawet „Przekrój” i „Kulisy” dostaje, bo stały klient. Nie taki, co przyjdzie, kupi kurierek i godzinę stoi.

Maliniak udał, że nie pojął aluzji.

- Osiemdziesiąt sześć patyków też dobry kawał grosza. Miał fart chłop.

- Łobuz. Niewinną kobietę zabił.

- A pani też mogłaby zarobić, żeby pani lepiej patrzyła. Podobno, mówił mi znajomy milicjant, mają wyznaczyć nagrodę za złapanie zabójcy. Dziesięć tysięcy złotych. Akurat dla pani pieniądze. Siedzi sobie pani w kiosku, wszystko widzi, co dzieje się na ulicy, i już pieniądze w kieszeni. Takiej to dobrze.

- Panie, nie licz pan moich pieniędzy. Co ja miałam widzieć? Nic nie widziałam, przecież zamordował ją w mieszkaniu.

- W mieszkaniu? - zdziwił się Adam. - Mówili, że na ulicy. Przed bramą domu stuknął babkę czymś ciężkim w główkę i cap za torebkę z forszą.

- Co ci ludzie nie wymyślą. W domu zginęła nieboga. Sama wpuściła mordercę do środka. A pieniądze były w książce. Całe osiemdziesiąt sześć tysięcy włożone w grubą książkę.

- Prawdziwy „Kapitał”.

Teraz kioskarka nie zrozumiała gry słów.

- Pewnie, że kapitał - przytaknęła. - Pan Legat sprzedał samochód i miał kupić drugi. Dlatego trzymał w domu.

- No to teraz będzie jeździł tramwajem. Za miesięcznym biletem.

- Dobrze się panu śmiać. Taka strata. I teściowa nie żyje.

- Jak to mówią, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

- Panie młody - rozgniewała się sprzedawczyni nie na żarty. Pewnie była już teściową i nie w smak jej były te dowcipy - bo pana stąd przegonię. Wesoły się znalazł. Widzieli go.

- Jak by mi się przydało takie dziesięć tysięcy - Maliniak spostrzegł, że przeciągnął strunę i zmienił temat rozmowy.

- Mnie by się też przydało. Komu to pieniądze niepotrzebne?

- Temu, co ma osiemdziesiąt sześć tysięcy. Tylko jak go znaleźć?

- Właśnie. Bądź pan mądry.

- Ja to nic. Ale pani.

- Co ja? Odczep się wreszcie, człowieku.

Maliniak nie miał najmniejszego zamiaru spełnić życzenia kioskarki. Przeciwnie, pochylił się w jej stronę i dodał konfidencjonalnym szeptem:

- Kiedy pani tak siedzi tutaj cały dzień, musiała pani coś zobaczyć przed domem lub na ulicy. Ten, kto przyszedł zabijać, na pewno nie szedł na ślepo. Dobrze wypatrywał, do jakich drzwi zadzwonić.

- Pewnie, że wypatrywał.

- Otóż to. Kręcił się tutaj przedtem albo w dniu morderstwa. Chodził po ulicy, może nawet stał przy kiosku jak ja w tej chwili. Wystarczy sobie przypomnieć i może być z tego ładny pieniądz.

- Naprawdę? - zainteresowała się kioskarka.

- Mówił mi ten milicjant. Przecież by nie kłamał. Starszy sierżant nie rzuca słów na wiatr. Dziesięć tysięcy nagrody. Jak za psa.

- Kiedy ja nic nie widziałam - zmartwiła się kobiecina.

- Nie kręciły się tu przedtem różne typki?

- Nie. To spokojna ulica. W lecie czasem przed piwiarnią jest głośniejsze. Ale teraz, w listopadzie? A klienci po gazety zawsze ci sami.

- A w dniu zabójstwa? - Maliniak nie dawał za wygraną.

- W sobotę? - przypominała sobie kioskarka. - Padał deszcz ze śniegiem. Przez całą sobotę i niedzielę. Zza szyby mało co widać.

- Może jednak? Tak przed jedenastą?

- Poczekaj pan - kioskarka ożywiła się - stał bu rano ten... no ten, co to chodził do tej panny.

- Z tego domu?

- Tak. Taka wysoka studentka. Mieszka z matką. Jak matka rano do biura, on zaraz myk do panny na górę. Ale ostatnio długo go nie widziałam. Chyba z parę miesięcy albo i dłużej.

- A wtedy w sobotę znowu był?

- Był. Dobrze sobie przypominam. Przyszedł jeszcze przed ósmą.

- Wszedł do środka?

- Właśnie, że nie. Inaczej bym go nie poznała. Taka psia pogoda, a on, widzę, spaceruje po przeciwnej stronie ulicy. Podniósł kołnierz u paltka. Trzeba przyznać, że porządnie ubrany. Nowy paltot, zagraniczny chyba.

- Długo tak chodził?

- Chyba z pół godziny albo i dłużej. Potem, widać, żal mu się zrobiło ubrania, że moknie, bo wszedł w bramę.

- Pod dziewiętnasty?

- Nie. Naprzeciwno. Nie uważałam, bo co mnie obchodzą cudze córki i ich kawalerowie, ale co spojrzałam w tamtą stronę, to widziałam go stojącego.

- Ciągle w tej bramie?

- Ciągle.

- A potem? Wszedł do tej kamienicy?

- Potem to mi znikł. Spojrzałam w tamtą stronę i zobaczyłam, że brama pusta. Czy wszedł i do którego domu, nie wiem. Tej panny też nie widziałam. Śnieg padał coraz gęstszy, a ja nimi się nie interesowałam.

Maliniak, który mówił o nagrodzie ustanowionej tylko w swojej własnej wyobraźni, postanowił się wycofać. Ładnie by wyglądał, gdyby kioskarka, biorąc poważnie jego słowa, zgłosiła się do komendy.

- Myślę - powiedział - że ten facet czekał na swoją pannę. Matka była w domu i bał się iść na górę. A dziewczyna, jak to dziewczyna, umówiła się z nim na ósmą, a zeszła na dół po dziewiątej.

- Pewnie, że tak było. On kręcił się koło tej Hanki więcej niż dwa lata. Stara Wróblewska nieraz utyskiwała, że zawrócił dziewczynie głowę, ale ona, matka, czuje, że nic z tego nie będzie.

- A nikogo innego pani nie widziała? Niech pani sobie przypomni.

- Nie widziałam. Taka była pogoda, że prawie nikt nie podchodził do kiosku. Ludzie popostawiali kołnierze u palt i jak najszybciej przemykali ulicą. Nawet po gazetkę nie chcieli się

zatrzymywać. Robiłam na drutach. Czapeczkę dla wnuczka. Nie rozglądałam się.

Odchodząc od kiosku, wywiadowca znał już imię i nazwisko studentki odwiedzanej przez nieznanego. Trudniejszą sprawą było ustalenie jego nazwiska. Żeby nie budzić podejrzeń kioskarki, Maliniak poszedł w stronę Placu Grunwaldzkiego. Tam skręcił w Aleję Jedności Narodowej, a później w Wielkopolską. W ten sposób, robiąc koło i idąc z kolei Mazurską, dotarł do domu przy ulicy Buczka dziewiętnaście, ale z drugiej strony, od Mazurskiej. Kobieta siedząca w kiosku nie mogła go już widzieć.

Kamienica, która od strony Buczka imponuje reprezentacyjnym frontowym wejściem, od Mazurskiej ma bramę wjazdową na podwórko. Tam też znajdowało się mieszkanie dozorczyń domu. Wywiadowca zapukał i wszedł. Dozorczyń lub jak nazywają obecnie „gospodarz domu” właśnie gotowała obiad. Maliniak doszedł do wniosku, że tu żadna dyplomacja nie jest potrzebna. Kobieta często musiała mieć do czynienia z milicją, choćby ze swoim dzielnicowym, i zachowanie dobrych stosunków z tą instytucją leżało przeciw w jej interesie. Nie ma tak dobrze utrzymanego domu, gdzie by dzielnicowy nie mógł przyczepić się do jakichś usterek. Tym bardziej tutaj, gdzie mieściła się piwiarnia. Wprawdzie teraz panował tam raczej spokój, ale w lecie różnie bywało.

Toteż po wylegitymowaniu się wywiadowca wręcz zapytał o panie Wróblewskie. W odpowiedzi usłyszał, że wdowa wraz z córką mieszkają na czwartym piętrze, w pokoju z kuchnią. Starsza pracuje w Miejskiej Radzie Narodowej, młodsza studiuje medycynę. Według dozorczyń były to lokatorki spokojne, z którymi nie ma żadnego kramu.

- Ta młodsza ma narzeczonego? - zapytał milicjant.

- Jaki tam narzeczonego - oburzyła się dozorczyń - zawracał głowę dziewczynie. Wiadomo, młoda to i głupia. Na miejscu matki wzięłabym ścierkę i przegnała tego amanta. Ale pani Wróblewska umiała tylko skarżyć się przed sąsiadami, a córeczce we wszystkim ustępowała, bo „sierota”. Zawsze przepowiadałam pani Wróblewskiej, że z tego będzie jakieś nieszczęście.

- Też student? Medycyny?

- Nie. On uczył się na inżyniera. Jak skończył, gdzieś w zimie ubiegłego roku, tyle go Hanka widziała. Chodziła z czerwonymi oczyma, a ta Deublówna spod trójki - młodsza, ale mądrzejsza, bo wszystkimi chłopakami kręci, jak chce - to ją nazywała „żałobna wdowa”. Cały dom się śmiał.

- Ale on pewnie przyjeżdża do niej?

- Gdzie tam! Ani razu nie był. Dwóch słoweczek nie napisał. A przecież przedtem, kiedy wyjeżdżał na wakacje, zawsze przychodziły listy. Przynajmniej jeden w tygodniu. Obowiązkowo polecony. Wiem dobrze, bo jak listonosz przynosił pocztę; zawsze u mnie zostawiał te polecone. Bo rano nikogo w mieszkaniu nie było. Hanka codziennie przychodziła do mnie i pytała: „Pani Adamczyk, jest coś dla mnie?” Teraz już się nie dowiaduje. Dobrze wie, biedula, że jemu nie w głowie pisanie do niej listów. Pewnie już dawno znalazł sobie inną, ładniejszą albo i bogatszą. Bo u tych Wróblewskich jak może być, kiedy starsza tylko urzędniczka, a młodsza ma stypendium. Komorne, nie mogą powiedzieć, płacą akuratnie, ale nawet telewizora nie mają. Hanka biega do

sąsiadów.

Wywiadowca nie przerywał monologu dozorczyńni. Wiedział z własnego doświadczenia, że najwięcej można od ludzi się dowiedzieć, kiedy pozwoli im się wygadać. Słuchał pilnie i tylko notował w pamięci szczegóły, które go interesowały.

- A dokąd ten młody inżynier wyjechał?

- Gdzieś na Śląsk.

- To był miejscowy?

- Nie. Mieszkał w akademiku. Kiedyś Hanka mówiła, że jego ojciec prowadzi tartak pod Koszalinem.

- A jak się nazywa?

- Na imię Andrzej, a familia... Zapomniałam.

- Skończył politechnikę?

- Skończył. W środku zimy. Uczył się dobrze. Chociaż i ta Hanka też niczego. Stara Wróblewska nieraz mi mówiła: „Co ja mam się wtrącać do nich, młodych? Byleby Hanka tak dobrze uczyła się jak teraz”.

Wizyta na politechnice pozwoliła Maliniakowi ustalić, że poszukiwany przez niego młody człowiek nazywa się Andrzej Banaszkiwicz. Posiadał stypendium fundowane huty „Batory” na Śląsku i po skończeniu wyższej uczelni pojechał objąć tam posadę. Stałe miejsce zamieszkania - pewne miasteczko w województwie koszalińskim.

Wywiadowca sprawdził jeszcze, że Banaszkiwicz nie był meldowany w żadnym ze szczecińskich hoteli; albo więc zatrzymał się prywatnie u znajomych, albo był w Szczecinie jeden dzień, od porannego do wieczornego pociągu. Co robił w mieście nad Odrą?

Czy przyjechał zobaczyć się ze swoją dziewczyną? Czy widział się z nią? Czy był zamieszany w tragiczne zajścia w mieszkaniu Legatów? Na te pytania Maliniak nie umiał znaleźć odpowiedzi.

Zresztą nawet nie próbował wyjaśniać tych problemów. Uznał, że i tak dowiedział się bardzo dużo. Rzeczą jego położonych będzie teraz nadanie sprawie dalszego biegu i rozwiązywanie zagadki. Dlaczego młody inżynier mimo deszczu przeszło dwie godziny spędził w bramie domu, naprzeciwko którego znajduje się kamienica, gdzie w tym samym czasie popełniono morderstwo?

Po powrocie do komendy Adam, zgodnie z przepisami, złożył obszerny raport na piśmie ze wszystkich swoich czynności. Po przeczytaniu sprawozdania porucznik Widerski natychmiast wezwał wywiadowcę do siebie i długo rozpytywał o najdrobniejsze szczegóły. Z kolei raport powędrował do „starego”. Rezultatem tego była znowu wizyta Maliniaka i porucznika w gabinecie komendanta.

Po tej rozmowie z komendy MO nadano dwa telefonogramy. Jeden na Śląsk, drugi w Koszalińskie. Oba były identycznej treści.

Ustalić adres zamieszkania Andrzeja Banaszkiwicza, inżyniera, pracownika huty „Batory”. Zatrzymać Andrzeja Banaszkiwicza i doprowadzić do komendy MO w Szczecinie. Sprawa bardzo pilna.

W kilka godzin później komenda wojewódzka w Katowicach odpowiedziała, że poszukiwany Andrzej Banaszkiwicz poprosił w hucie o czterodniowy urlop okolicznościowy i wyjechał w nieznanym kierunku. Komenda pytała, czy należy zatrzymać Banaszkiwicza po jego powrocie na Śląsk.

Nieco później nadeszła wiadomość z Koszalina. Poszukiwany Andrzej Banaszkiwicz odnaleziony został w miejscu swojego stałego zamieszkania. Jest zatrzymany i najbliższym pociągiem przewieziony zostanie do Szczecina, do dyspozycji tamtejszej komendy MO.

Porucznik Widerski sprawdził rozkład jazdy. Według jego obliczeń Andrzej Banaszkiwicz powinien być w Szczecinie w czwartek rano.

W kwadrans potem do pokoju oficera milicji weszła Hanka Wróblewska, przynosząc mu wiadomość o dwóch dziewczynkach zbierających makulaturę, i wyrzucających ją od razu za progiem mieszkań.

Rozdział VI

Nie myślę biedować całe życie

Było parę minut po dziewiątej, kiedy do pokoju porucznika Romana Widerskiego konwojent wprowadził inżyniera Andrzeja Banaszkiwicza, „doprowadzonego” do komendy MO w Szczecinie. Inżynier był bardzo zdenerwowany.

- Co to znaczy? Co za szopki wyprawiacie? Aresztują mnie w moim własnym domu. Bez żadnego nakazu. Pod konwojem przewozi się mnie do Koszalina jak jakiegoś zbrodniarza. W Koszalinie trzymają mnie kilka godzin w areszcie i znowu w asyście milicjanta transportują do Szczecina. To taka wasza praworządność? Ale ja będę umiał upomnieć się o swoją krzywdę. Taki wstyd zrobiono mojemu ojcu, dyrektorowi tartaku. Przy wszystkich ludziach przyjeżdża milicja i zabiera syna.

Porucznik wysłuchał spokojnie tego wybuchu gniewu. Zastanawiał się tylko, czy jest to gra, czy też szczere oburzenie niewinnego człowieka.

- Proszę, niech pan siada - Widerski wskazał krzesło. - Muszę od razu sprostować, że nie był pan i nie jest, jak do tej pory, aresztowany. Po prostu musieliśmy wyjaśnić pewne sprawy i dlatego trzeba było sprowadzić pana do nas jak najszybciej. Stąd pewne drobne przykrości, które pana spotkały i nad którymi ubolewam. Niestety, nie było innego sposobu.

- Tak się nie postępuje z obywatelem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej - nadal złościł się inżynier.

- Zaraz wszystko wyjaśnimy, panie inżynierze.

Do pokoju weszła maszynistka i zajęła miejsce przy małym stoliku z maszyną. Pytająco spojrziała na porucznika.

- Niech pani założy blankiet protokołu przesłuchania - oficer chwilę się zawahał i zakończył - ...świadka.

- No, wiecie - humor Banaszkiwicza wcale nie ulegał poprawie - mam być świadkiem. Pewnie w jakiejś bzdurnej sprawie, której w ogóle sobie nie przypominam i dla kaprysu milicji ciągnie się mnie przeszło dwieście kilometrów pod konwojem. Dobrze, że mi rąk nie skuli.

- Jeszcze raz pana proszę, aby pan się uspokoił. Zaraz wszystko wyjaśnimy.

Inżynier wreszcie usiadł. Porucznik uważnie mu się przyglądał. Młody człowiek był wybitnie przystojnym typem mężczyzny. Może nawet za przystojnym. Urodą przypominał trochę któregoś ze znanych aktorów filmowych Hollywoodu. Wysoki ponad metr osiemdziesiąt, figura wcięta w pasie. Może nieco za szerokie jak na mężczyznę biodra. Rysy twarzy delikatne. Oczy duże, w ładnej oprawie, niebieskie. Zwracały uwagę rzęsy jak u kobiety. Cera jasna, jak to się mówi, krew z mlekiem. Rumieńce na policzkach. Usta czerwone. Niejedna dziewczyna pozazdrościłaby tego koloru warg i tych rzęs. Włosy czarne, lekko falujące. Jednym słowem - ładny chłopak.

Ubrany był z wyszukaną elegancją. Czarny płaszcz z jakiejś zagranicznej tkaniny, na podszewce w kratę. Garnitur ciemny, doskonale uszyty według ostatnich kanonów mody włoskiej. Krawat jasnopopielaty, przy nylonowej koszuli, w dyskretny pasek. Skarpetki stonowane z krawatem. Buty na pewno również kupione w komisie.

Pomimo przygód ostatnich godzin, nocnej jazdy i pobytu w areszcie koszalińskiej komendy MO, inżynier Banaszkiwicz był doskonale ogolony i wyglądał tak, jak gdyby przed chwilą wyszedł z łaźni.

Rozpoczęło się przesłuchanie. Padały najpierw wstępne, stereotypowe pytania dotyczące personaliów. Banaszkiwicz odpowiadał na nie wyczerpująco, spokojnym, równym tonem. Potem porucznik nagle zapytał:

- Po co pan przyjechał do Szczecina w sobotę? Osiemnastego listopada?

- To moje prywatne sprawy. Nie widzę żadnego powodu, żeby komukolwiek z tego się zwierzać, a tym bardziej milicji.

- Dobrze.. Jeszcze do tego powrócimy. W każdym bądź razie pan nie zaprzecza, że w tym dniu był pan w Szczecinie.

- Nie robię z tego tajemnicy. Po prostu miałem kilka dni urlopu i wybrałem się do domu, do

rodziców. Po drodze, od pociągu do pociągu, spędziłem kilka godzin w Szczecinie. Odpowiada to panu?

Porucznik udał, że nie dostrzega ironii.

- Czy pan wie, co w tym dniu stało się w Szczecinie?

- Nie wiem. Szczecin mało mnie już obchodzi. Wyprowadziłem się stąd. Mieszkam i pracuję na Śląsku.

- Wiemy. W hucie „Batory”.

- Widzę - ironizował nadal Banaszkiwicz - że jestem bardzo ważnym świadkiem, skoro tyle o mnie wiecie.

- Nie myli się pan. Szukaliśmy pana również na Śląsku. Miał pan zresztą szczęście, że znaleźliśmy go w Koszalińskim, a nie w hucie. Sensacja byłaby większa, a i podróż dużo dłuższa.

- Może wreszcie dowiem się, o co chodzi?

- Nie czytał pan gazet w ostatnich dniach?

- Nie. Polityka mnie nie interesuje.

- Dzienniki piszą nie tylko o polityce. Ostatnio nawet bardzo dużo rozpisywały się o pewnym morderstwie.

- Gdzie?

- Pan przecież dobrze wie, gdzie. Stał pan przed tym domem przy ulicy Buczka przez dwie godziny. Potem wszedł pan do środka. W odpowiednim momencie. Kiedy już matka Legatowej, Łucja Rosińska, była w mieszkaniu i mogła otworzyć panu drzwi. Jedno uderzenie w głowę i było po wszystkim. Czym pan bił?

Porucznik widział, jak z twarzy młodego człowieka odpływa krew. Jak ta twarz staje się kredowo biała, a na czoło występują wielkie krople potu. Banaszkiwicz parę razy usiłował wydobyć głos z gardła. Miało się wrażenie, że dusi go kołnierzyk, bo sięgnął do krawata i rozluźnił go. Wreszcie zdołał odzyskać równowagę psychiczną i przemówić.

- Ja... To nonsens. Ja tam wcale nie wchodziłem. Nie byłem na Buczka. Byłem na politechnice. Załatwiałem sprawy dyplomu i pracy doktorskiej.

- Nieprawda - ostro odpowiedział porucznik. - Wiemy, że pan był na Buczka. Od godziny ósmej rano spacerował pan po chodniku tej ulicy. Czekał pan na przyście Rosińskiej. Pan doskonale wiedział, że emerytowana nauczycielka nie ma w soboty wykładów w szkole w Goleniowie i zawsze przyjeżdża w tym dniu do Szczecina, do córki, pani Legatowej. W tę sobotę spóźniła się nieco, bo prosto z dworca poszła do szkoły, w której córka pracuje, a później robiła sprawunki. Dlatego trzeba

było czekać dłużej, niż pan przypuszczał. A że deszcz ze śniegiem padał coraz większy, więc przestał pan spacerować i ukrył się w bramie domu naprzeciwko wejścia do kamienicy pod numerem dziesiętnastym. Tam pan doczekał się wreszcie odpowiedniego momentu, przyjścia Rosińskiej. Poszedł pan za nią na górę. Mamy na to świadków. Postawimy ich przed panem i powtórzą słowo w słowo to, co ja powiedziałem przed chwilą. Na nic się nie zdadzą wszelkie zaprzeczenia.

Inżynier nie pytając nawet o pozwolenie sięgnął do kieszeni. Wydostał paczkę z papierosami i zapalki. Ręce tak mu się trzęsły, że nie mógł zapalić papierosa. Zaciągnął się głęboko.

- To nieprawda - starał się panować nad sobą. - To jakieś straszne nieporozumienie. Nie zabiłem tej pani. Nie wchodziłem do tego domu.

- Ale pan tam był?

- Przyznaję. Byłem na ulicy Buczka. Rzeczywiście spacerowałem po chodniku po drugiej stronie ulicy. Stałem też w bramie. Nie wiem, jak długo. Potem poszedłem prosto na politechnikę.

- Taka ładna była wówczas pogoda, że pan z chęcią spacerował. A poza tym ma pan zwyczaj stawać w bramach domów - tym razem ironizował porucznik.

- Nie wchodziłem do żadnego domu. Stałem w bramie, bo umówiłem się na spotkanie. Nie doczekałem się, ten ktoś nie przyszedł, więc poszedłem załatwić swoje sprawy na politechnice.

- To dziwne. Umówił się pan na ósmą, a czekał aż dwie godziny. Zamiast po prostu wejść na górę. Sprawdziliśmy i to. Obywatelka Anna Wróblewska była cały rano w domu. I to sama. Bo matka jak zwykle pracowała. Znał pan przecież drogę na czwarte piętro. Jeżeli nawet przyjąć za prawdę pańskie twierdzenie o umówieniu się z tą dziewczyną na ulicy, to każdy na pańskim miejscu, zamiast czekać, sprawdziłby, czy ona jest w domu.

Andrzej milczał. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

- A może - ciągnął dalej porucznik - było inaczej. Umówiliście się z Wróblewską, że razem zrobicie tę robotę. Ona czekała wewnątrz domu, pan zaś na ulicy. Które z was uderzyło i zabiło Rosińską?

- Nie, nie, to nieprawda - Banaszkiwicz odzyskał głos i energię. Postanowił bronić się. - Nic nie wiem o żadnym morderstwie. Nie umawiałem się z Hanką. Ona nie wiedziała o moim przyjeździe. To jakiś potworny zbieg okoliczności.

- Coś za dużo, panie inżynierze, tych dziwnych zbiegów okoliczności. Lepiej dla pana będzie, gdy powie pan prawdę. Zaprzeczenia nie mają sensu.

- Powiem. Powiem całą prawdę - zdecydował się Banaszkiwicz.

- Proszę. Tylko dość wolno, żeby maszynistka mogła zanotować pańskie słowa.

- Chciałbym też... Chciałbym, żeby to, co zeznam, było zatrzymane w tajemnicy.

- Przed kim? Przecież pan zeznaje w milicji, w sprawie o morderstwo.

- Nie chciałbym, aby o pewnych fragmentach moich zeznań dowiedziała się Han... panna Anna Wróblewska. Bardzo o to proszę.

- Z góry nie mogę panu nic przyrzekać. Najpierw posłucham pańskich zeznań. Oczywiście, że prywatne sprawy, nie mające nic wspólnego z powodem pana przesłuchania, nie muszą być ujawnione.

- Dziękuję. To są jak najściślej moje osobiste sprawy.

- A więc słucham.

- Jak pan porucznik zapewne wie, studiowałem w Szczecinie na tutejszej politechnice. Ojciec pracuje w Koszalińskim. Trochę mi pomagał, dostałem stypendium fundowane huty „Batory”. Mieszkałem w akademiku. Jakoś sobie radziłem, chociaż musiałem bardzo się ograniczać.

- Zapisałam - powiedziała maszynistka.

- Przed trzema laty poznałem młodą studentkę medycyny, Annę Wróblewską. Między nami wywiązała się pewna zażyłość. Ona opacznie to sobie tłumaczyła. Co do mnie, nigdy tego nie traktowałem poważnie. Po prostu, chyba pan rozumie, poruczniku, młody człowiek musi mieć dziewczynę.

- Rozumiem - warknął milicjant.

- To było bardzo wygodne - Banaszek mówił coraz swobodniej - matka pracowała, wychodziła rano z domu. Niezbyt mnie lubiła, ale niewiele się tym przejmowałem. W każdym bądź razie do obiadu matki nie było i mogłem tam zawsze przyjść. Uczyłem się tam również, bo w akademiku, gdzie mieszkało nas kilku w jednym pokoju, nie zawsze jest to łatwe.

- Co to ma wspólnego z morderstwem?

- Nic. Przecież mówiłem, że nie zamordowałem. Chcę po prostu wyjaśnić, dlaczego znalazłem się w sobotę na ulicy Buczka przed domem Wróblewskiej.

- Proszę mówić dalej.

- Żeby nie robić zbytnej sensacji swoimi odwiedzinami, pan rozumie, mieszkanie przerobione zostało z większego i ma wspólny korytarz, dorobiłem, naturalnie za zgodą panny Anny, klucz do ich lokalu. Mogłem więc w każdej chwili tam wejść i uczyć się nawet wtedy, kiedy ona była na wykładach w akademii.

Inżynier zapalił następnego papierosa.

- Kiedy w marcu ubiegłego roku dostałem dyplom, zacząłem poważnie myśleć o przyszłości. Nie myślę biedować całe życie. Chcę dobrze się urządzić. Dlatego też wyjeżdżając na Śląsk

zerwałem ten bezsensowny związek. Byłoby z mojej strony dużym idiotyzmem wiązać się z dziewczyną, którą czekają jeszcze trzy lata studiów, a później staż i wreszcie perspektywa pracy w jakimś szpitalu czy przychodni lekarskiej z pensją tysiąca złotych z groszami.

- Ach tak?

- Taki związek był dobry w czasie studiów w Szczecinie. Ale nie na dłużej. Na Śląsku otworzyły się przede mną ciekawe perspektywy. Praca, możliwość zrobienia kariery. Nie potrzebuję się chwalić, ale mam zdolności i moi przełożeni umieją to ocenić. Poznałem wielu interesujących ludzi. Postanowiłem również ożenić się, założyć własny dom. Zacząłem rozglądać się za przyszłą towarzyszką życia. Taką, żeby była na odpowiednim poziomie i nie hamowała mojej kariery, lecz przeciwnie, mogła ją ułatwić. Poznałem pewną dziewczynę, która odpowiada tym warunkom. Doszliśmy do porozumienia zarówno z nią, jak i z rodzicami.

- Ale co to ma wspólnego z pańskim przyjazdem do Szczecina?

- Zaraz do tego dojdę. Moi przyszli teściowie są ludźmi ogólnie szanowanymi. Może trochę starych zasad. Są bogaci, postanowili nam dopomóc w pierwszych latach naszego małżeństwa. Otrzymamy mieszkanie, samochód, moja żona będzie dostawała pewną sumę pieniędzy na swoje osobiste wydatki i na ubranie. Sam pan rozumie, że w tej sytuacji w moim interesie nie leżało wywoływanie jakiegokolwiek skandalu. A obawiałem się, że może do niego dojść. Hanka, panna Wróblewska, jest taka nieopanowana. Poza tym... Poza tym ma moje listy.

- Jakie listy?

- To był mój błąd. Poważny błąd. Nie mogę sobie tego darować do dziś dnia. Zachowałem się jak smarkacz. Otóż na pół roku przed skończeniem politechniki byłem na Śląsku, na dwumiesięcznej praktyce. Właśnie w hucie „Batory”, gdzie i teraz pracuję. Byłem wtedy na tyle lekkomyślny, że napisałem do panny Wróblewskiej kilka listów. No, oczywiście, nie wspomniałem w nich ani słówkiem o naszym przyszłym małżeństwie, ale treść i forma tych listów była taka, że gdyby dostały się one w ręce mojej narzeczonej lub do rąk przyszłych teściów, mogłyby być niewłaściwie zrozumiane. A pragnąłem uniknąć wszelkich nieporozumień z rodziną, do której zamierzam wejść.

- Więc pan spodziewał się, że panna Wróblewska będzie go szantażowała tymi listami. Tak?

- Szantażowała - inżynier był ostrożny - to może za ostre słowo. Ona nie przywiązywała specjalnej wagi do pieniędzy. Zresztą po zawarciu małżeństwa byłbym nawet skłonny, dla świętego spokoju, dać jej jakąś sumę. Naturalnie w granicach rozsądku. Natomiast te listy musiałem dostać z powrotem. Bałem się, że ta wariatka, kiedy dowie się o moim zamierzonym małżeństwie, narobi szumu. Ludzie potrafią być bardzo „życzliwi” i powiedzieć jej o moich projektach.

Hanka zawsze otaczała się bandą różnych indywidualiów, którzy chętnie by mi zaszkadzili, choćby tylko dla samej satysfakcji zrobienia komuś na złość. Otóż, powtarzam, obawiałem się, że pewnego dnia Wróblewska dowiedziawszy się o wszystkim, włoży listy w dużą kopertę i wyśle pod adresem rodziny mojej narzeczonej. Postanowiłem odzyskać te tak ważne dla mnie dokumenty i dlatego przyjechałem do Szczecina.

- Zobaczyć się z panną Wróblewską i odebrać od niej listy?

- Nie. Nie chciałem z nią się zobaczyć. Nie mam zdrowia, żeby Wysłuchiwać jakichś historycznych wymówek lub być świadkiem spazmów. Dziękuję za tę przyjemność. Miałem klucz do mieszkania - tu Banaszkiwicz sięgnął do kieszeni, wyjął kółko z pękiem kluczy, odczepił jeden i podał porucznikowi - proszę, może pan sprawdzić, że nie kłamię. Klucz pasuje do mieszkania Wróblewskich. Postanowiłem wejść do mieszkania wtedy, kiedy nikogo tam nie będzie, i zabrać te listy. Wiedziałem, gdzie są schowane.

- To przecież byłaby kradzież.

- Skądże - oburzył się inżynier. - Wziąłbym tylko listy. Są moje. Ja sam je pisałem. Mam prawo je odebrać.

- Ale po co pan je pisał?

- Już raz przyznałem, że była to skrajna lekkomyślność z mojej strony. Ale też głupotą byłoby zmieniać dziewczynę na pół roku przed końcem studiów i ostatecznym wyjazdem ze Szczecina. A właśnie wtedy koło panny Wróblewskiej zaczął się kręcić pewien młody lekarz. Dzisiaj doskonale widzę, jaki to był błąd. Ale trudno, stało się. Była bardzo wygodna i chociaż nie taka ładna, miała swoje zalety. Mówię to jak mężczyzna mężczyźnie.

- Wszedł pan do pustego mieszkania i zabrał swoje listy?

- Właśnie, że nie wszedłem. Rano przyjechałem do Szczecina. Zjadłem śniadanie w kawiarni „Orbisu”. Zawsze tam jadam, mają doskonałe solanki. Kelnerka musi mnie pamiętać, bo wyszedłem z lokalu parę minut po ósmej. Poszedłem na ulicę Buczka. Wiedziałem, że o tej porze stara Wróblewska jest już w swoim biurze. Ale córka musiała jeszcze być w mieszkaniu, ponieważ paliło się tam światło. W listopadzie o ósmej rano jest ciemno i trzeba używać elektryczności.

- Okna wychodzą na ulicę?

- Tak, trzy okna. Dwuokienny pokój i kuchnia z jednym oknem. Stojąc po drugiej stronie ulicy widziałem doskonale światło, a parę razy dostrzegłem nawet sylwetkę panny Wróblewskiej, kiedy przechodziła przez pokój. Czekałem, aż wyjdzie, żeby szybko wejść do mieszkania i zabrać dokumenty. Musiał mnie ktoś obserwować, bo rzeczywiście, kiedy nasilenie deszczu zwiększyło się, nie chcąc moknąć, stanąłem w bramie domu. Czekałem bardzo długo. Kiedy stamtąd odchodziłem, było już piętnaście po dziesiątej.

- A dlaczego pan zrezygnował z czekania?

- Doszedłem do wniosku, że panna Wróblewska prawdopodobnie nie ma w tym dniu wykładów i w taką szarugę nie chce się jej wychodzić z domu. Ja zaś byłem umówiony na godzinę jedenastą na politechnice z profesorem. Przedtem musiałem jeszcze wstąpić do dziekanatu i odebrać swój dyplom. Po skończeniu studiów wziąłem tylko tymczasowe zaświadczenie.

- Poszedł pan prosto na politechnikę?

- Wsiadłem do taksówki i pojechałem.

- O której był pan na miejscu? Pamięta pan numer taksówki?

- Numeru nie pamiętam. To był opel - record. Pewnie z marynarskiego importu. Przypuszczam, że łatwo będzie odnaleźć ten wóz. Na politechnikę przyjechałem około pół do jedenastej.

- Kto pana tam widział?

- Urzędniczka w dziekanacie, gdzie załatwiałem swoje sprawy. Spotkałem tam też znanego mi studenta. Nazywa się Mieczysław Ostachowski. Nie rozmawiałem z nim, ale przywitaliśmy się i wymieniliśmy pozdrowienia. Śpieszył się na wykład. Na pewno przypomni sobie ten fakt. A punktualnie o jedenastej byłem w gabinecie profesora. Jeszcze go nie było. Spóźnił się piętnaście minut. Siedziałem i rozmawiałem z woźnym. Konferencja z profesorem przeciągnęła się prawie do godziny pierwszej po południu. Potem wstąpiłem po raz drugi do dziekanatu, gdzie mieli mi przygotować dyplom. Tam również czekałem, bo przede mną byli interesanci. Wszystkie formalności i czekanie zajęły mi czas aż do godziny drugiej. Obiad zjadłem w „Orbisie” i najbliższym pociągiem pojechałem do Koszalina.

- A listy?

- Sądziłem, że będę miał więcej szczęścia wracając na Śląsk. Niestety, teraz to już nieaktualne. Boję się, że mogę być skompromitowany. To byłoby fatalne.

Porucznik spokojnie wysłuchał opowiadania młodego człowieka. Maszynistka zapisała te zeznania na kilku kartkach. Banaszkiwicz przeczytał je i podpisał. Zgodnie z przepisami, podpis na dole każdej strony.

- Sam pan rozumie, że musimy sprawdzić pańskie zeznania. Do tego czasu pozostanie pan w naszej dyspozycji.

- W areszcie?

- Niestety - porucznik uśmiechnął się lekko - nie mamy specjalnych pokoi dla tego rodzaju interesantów. Postaramy się, żeby trwało to jak najkrócej. Może pan dać pieniądze, milicjant przyniesie panu coś do jedzenia. Albo obiad ze stołówki. To wszystko, co mogę zrobić dla pana w tej sytuacji. Jeżeli jest wolna jakaś pojedyncza cela, tam pana skieruję.

Tym razem Banaszkiwicz nie próbował nawet protestować. Cichy i spokojny wyszedł z pokoju w towarzystwie milicjanta.

- Nie mógłby pan, poruczniku, tak zrobić - zagadnęła maszynistka zbierając swoje rzeczy - żeby tego faceta przetrzymać choćby tylko kilka dni w areszcie? Co za obleśny typ! Jak on deklamował o tej narzeczonej, odpowiedniej do jego poziomu i kariery, którą zamierza robić. Myślałam, że w głos się roześmieję.

- Ja też bym chętnie przyskrzynył go na dłużej - zgodził się porucznik. - Obawiam się jednak, że będziemy musieli zwolnić go za kilka godzin. Rosińską, zgodnie z opinią lekarza, zabito między jedenastą trzydzieści a trzynastą. Jeżeli Banaszkiewicz zeznał prawdę, iż w tym czasie rozmawiał z profesorem na politechnice, to takiego alibi nie sposób podważyć.

- A szkoda - westchnęła maszynistka. - Przydałoby się łobuziakowi. Choćby jako przestroga na przyszłość.

- Szkoda - zgodził się porucznik..

Rozdział VII

Co robi się z mastem?

Jak codziennie, tak i w czwartek, Hanka Wróblewska punktualnie o trzeciej weszła do pokoju porucznika Romana Widerskiego.

- Witam mojego najlepszego współpracownika. Jakie dzisiaj mamy nowe rewelacje? - Oficer MO od razu spostrzegł, że dziewczyna jest czymś bardzo zdenerwowana. - Proszę, niech pani siada.

- Przed chwilą widziałam się z Mietkiem.

- Z jakim Mietkiem?

- Przepraszam. Z Mieczysławem Ostachowskim. Z tym, do którego posłał pan rano milicjanta.

- Ach tak? - Porucznik udał, że nie interesuje się tym nazwiskiem.

- Mietek opowiedział mi, że milicja wypytywała go o Andrzeja Banaszkiewicza. O jego alibi w sobotę.

- Ten Mietek, pani mu to powie, ma stanowczo za długi język. Może tego kiedyś żałować.

- Rozumiem. Podejrzewaliście Andrzeja. A może i mnie również Jako jego...

- Byłą znajomą - dokończył porucznik.

- Dowiedziałam się od Mietka, że Andrzej był w sobotę w Szczecinie. Pewnie chciał zobaczyć się ze mną. Możliwe nawet, że był na ulicy Buczka, ale nie zastał mnie w mieszkaniu. Stąd to sprawdzanie alibi.

- Pani ma naprawdę duże zdolności detektywistyczne - uśmiechnął się porucznik.

- Dlatego pozornie zgodził się pan na moją współpracę z wami, a w rzeczywistości byłem i jestem głównym podejrzanym. Czy pan mnie aresztuje?

- Jeszcze nie - porucznik roześmiał się głośno.

- Dlaczego?

- Między innymi dlatego, że - jak ustaliliśmy - w tym czasie, kiedy dokonano zbrodni, pani była w akademii. Zdawała pani kolokwium. I nie da się ukryć, że dostała pani tylko trójkę, co jak na tak dobrą studentkę jest nieco dziwne.

Hanka aż zaniemówiła.

- Bo mnie zapytał... Akurat tylko tego nie umiałam.

- Widzi pani - Widerski był w coraz lepszym humorze - milicja ma również swoje własne, czasem nie najgorsze sposoby uzyskiwania informacji. Nie chodziło nam jedynie o panią. Sprawdzaliśmy alibi prawie wszystkich mieszkańców domu. I nie tylko ich. W ten sposób ustaliliśmy także, że pan Banaszekiewicz był w tym dniu w Szczecinie. Trzeba było wyjaśnić i jego sprawę.

- Czy Andrzej jest aresztowany?

- Tego bym nie powiedział. W każdym razie jest do naszej dyspozycji. Oczywiście do czasu wyjaśnienia wszelkich wątpliwości.

- Domyślam się powodu, dla którego Andrzej chciał widzieć się ze mną. Zapewne chodziło mu o listy - dziewczyna wyjęła z torebki dużą, szarą kopertę. - Oto one. Dawno bym mu odesłała, gdybym знаła jego obecny adres. Może pan mu je odda? Dzięki temu oszczędzimy sobie czasu na niepotrzebne spotkanie.

- Dobrze, oddam je panu Banaszekiewiczowi.

- To chyba skończyliśmy - dziewczyna wstała.

- Na dzisiaj tak. Mam nadzieję, że jutro dostarczy mi pani nowych wiadomości. A ja w zamian będę mógł poinformować o tych dwóch dziewczynkach, o których dowiedzieliśmy się dzięki pani. Badamy tę sprawę. Sama pani rozumie, musimy postępować bardzo ostrożnie.

- Chyba już skończyliśmy naszą współpracę?

- Przeciwnie. Ja uważam, że ją właśnie zaczynamy.

- Ale pan mnie podejrzewał?

- Być może. Wszyscy zawsze są podejrzani. Uwalnianie ludzi od podejrzeń to właśnie nasze zadanie. Dlatego proszę panią o dalszą współpracę.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Zgoda. A Andrzejowi niech pan powie, że dawno mógł zabrać te swoje listy. Nie zależy mi na nim. Nic a nic.

Porucznik udał, że nie zauważył trochę innego tonu głosu, jakim Hanka wypowiedziała te słowa.

- A więc dc jutra, do trzeciej.

- Jeszcze jedno, panno Haneczko. Kiedyś zgubiła pani kluczyk. Znaleźliśmy go i teraz go zwracam. - To mówiąc porucznik podał dziewczynie klucz, który zabrał Andrzejowi Banaszkiwiczowi.

Dziewczyna wzięła klucz, zaczerwieniła się i bez słowa wyszła z pokoju.

- A jednak niewypał, panie prokuratorze, - porucznik podał prokuratorowi Witoldowi Szczerbińskiemu protokół przesłuchania Banaszkiwicza.

Prawnik szybko przeczytał dokument.

- Sprawdziliśmy. Ten facet ma niepodważalne alibi. Muszę go zwolnić.

- Niezbyt sympatyczny typ. Ta pańska Hanka dość lekkomyślnie ulokowała swoje uczucia. Pan sprawdził, ma te listy?

- Przyniosła je milicji i prosiła o oddanie Banaszkiwiczowi.

- Czytał je pan?

- Nie mogłem czytać cudzej korespondencji bez upoważnienia prokuratora.

- To pan go nie dostanie. Nawet gdyby pan prosił o to.

- Nie proszę.

Obaj panowie roześmieli się.

- Oddam mu listy przy zwalnianiu. Dzisiaj wieczorem, żeby zdążył na pociąg do Katowic.

- Bóg z nim. A co z naszą sprawą?

- W tej chwili pozostaje tylko ten trop dwóch dziewczynek. Są dyskretnie śledzone przez nasze agentki. Chyba jutro dojdzie do przesłuchania.

- Jak się zachowują?

- Dzisiaj nie poszły do szkoły, tylko do kina „Kosmos”. Wczoraj Irka nie odrobiła matematyki i dostała dwóję. A poza tym nic. Włączą się po ulicach aż do późnego wieczoru. Żadnych kontaktów z dorosłymi nie zaobserwowano. Najwyżej z łobuziakami o dwa, trzy lata starszymi. Mam nadzieję, że jutro dowiemy się szczegółów. Mam w komendzie koleżankę, kapitaną Helenę Osińską, specjalistkę od rozmów i przesłuchiwanie nieletnich. Już ona weźmie je w obroty.

- A badania przestępczości w tym rejonie Szczecina? - Prokurator pamiętał o wszystkim.

- Tak. Mam już wyniki. Właśnie chciałem przedstawić je panu prokuratorowi. To raczej spokojniejszy kawałek miasta. Od lat nie było tam żadnych zbrodni. Zdarzały się różne kradzieże, większość wykrytych. Jest tylko jedno ciekawe spostrzeżenie. Otóż w tamtych stronach, od czasu do czasu, te kradzieże były dość charakterystyczne. Właściciele mieszkań meldowali, że z ich lokali ginęła w tajemniczy sposób biżuteria i pieniądze. Zazwyczaj nic innego. Poszkodowani nie mogli nawet ustalić, kiedy ich okradano. Złodziej dostawał się do mieszkania i zabierał gotówkę lub złoto, nie pozostawiając żadnych śladów. Robiono to tak zręcznie, że poszkodowani nie orientowali się że ktoś obcy penetrował ich mieszkania. Kradzież odkrywano dopiero wówczas, kiedy spostrzeżono brak pieniędzy lub kiedy pani domu sięgała po pierścionek czy bransoletkę i stwierdzała, że w schowku niczego nie ma.

- Ciekawe.

- Sprawców tego rodzaju kradzieży nie wykryto, chociaż szkody były często dość poważne, bo sięgające kilku tysięcy złotych. Ani odcisków, ani innych śladów złodzieje nie zostawiali. Nie zauważono też, aby w pobliżu ktoś przedtem się kręcił. Bardzo zagadkowe historie.

- A zaniki?

- Badali je nasi najlepsi eksperci. Żadnych zadrapań, najmniejszych nawet uszkodzeń. Ani śladów dobierania wytrycha.

- Domowy złodziej jest najtrudniejszy do wykrycia.

- Tak i myśmy sądzili. Ale dwa wypadki wykluczyły tę hipotezę. Raz okradziono bezdzietne małżeństwo. Drugi raz kradzież zdarzyła się wtedy, kiedy cała rodzina wyjechała do Zakopanego i w domu był tylko jeden mężczyzna. Żaden z poszkodowanych nie miał służby domowej ani stałej, ani na przychodne. Ogółem w ciągu pięciu lat dokonano siedmiu takich kradzieży. Ostatnia była w czerwcu.

- Zagadkowa historia - zgodził się prokurator - niewątpliwie bardzo ciekawa, ale nie ma żadnego związku z naszą. Przy Buczka mieszkanie było w stanie pozałowania godnym, a przestępca dostał się do niego, bo ofiara sama otworzyła mu drzwi.

- Podobnego przestępstwa w tym rejonie nie było.

*

Nazajutrz Hanka nie przyszła. Dobrze się nawet złożyło, gdyż porucznik był w fatalnym humorze. Zgodnie z planem dwie milicjantki zatrzymały na jednej z ulic Szczecina włóczące się dziewczynki. Radiowóz czekał w pobliżu. Panienki przewieziono natychmiast do komendy milicji. Małe chuliganki od razu straciły cały tupet, chociaż na ulicy, przy zatrzymywaniu, próbowały się stawiać. Badane przez kapitana Osińską, z płaczem przyznały się do wszystkiego.

Ponieważ obie dziewczynki uczyły się źle, często wagarowały, więc rodzice jako jedną z represji zastosowali skasowanie kieszonkowego. Żeby zdobyć parę groszy na kino lub na słodycze,

panienki odwiedzały mieszkania i mówiły, że zbierają makulaturę, butelki, skórki od pomarańczy. Skórki kupował pewien cukiernik, a butelki sprzedawały w pobliskim sklepie monopolowym.

- A dlaczego wyrzucałyście makulaturę? - zapytała pani kapitan.

- Bo to ciężkie - wyjaśniała Irka - i trzeba daleko nosić, aż do składnicy. Płacą tylko złotówkę za kilogram. Nie opłaca się. Za butelki dają po złotówce w każdym sklepie. A za skórki pan cukiernik płacił aż po trzydzieści złotych za kilogram. I jeszcze poczęstował ciastkiem. Ale ludzie mało dają skórek. Najłatwiej dostać makulaturę. Kiedy nie było butelek, to czasem dzwigałyśmy i papiery. Ale rzadko.

- To dlaczego prosiłyście o makulaturę? - dopytywała się milicjantka

- Bo jak się nie mówi, że zbieramy dla szkoły makulaturę, to ani butelek, ani skórek ludzie nie chcą „dawać”. Dlatego trzeba zawsze zaczynać od papieru - wyjaśniał mały psycholog.

Po dłuższym przesłuchaniu specjalistka od spraw nieletnich uznała, że dziewczynki powiedziały prawdę i nic więcej już od nich się nie dowie. Po naradzie z porucznikiem Widorskim, pani kapitan Osińska osobiście odwiozła milicyjnym autem panienki do ich domów i przeprowadziła rozmowy z rodzic;, mi.

Po sześciu dniach śledztwo wróciło więc do punktu wyjścia. Żadnych śladów. Żadnych podejrzeń. Na próżno porucznik wysyłał na wywiad genialne „dziecko Szczecina”, Adama Maliniaka, i innych funkcjonariuszy MO. Ludzie biegali, starali się, jak mogli i... wracali z niczym.

Prokuratura denerwowała się. Szef MO wzywał do większej operatywności, a sprawa nie mogła ruszyć z miejsca. Zabójca Łucji Rosińskiej ciągle chodził na wolności. Zrabowane osiemdziesiąt sześć tysięcy przepadło jak kamień w wodę.

W sobotę zjawiła się Hanka Wróblewska. Była już w lepszej formie. Ale jednocześnie Widorski z niezadowolaniem stwierdzał, że jego własna forma jest w wyjątkowo opłakanym stanie. Oficer milicji przeklinał chwilę, kiedy oddelegowano, go do prowadzenia tej cholernej sprawy.

Dziewczyna też nie miała żadnych wiadomości. Próbowwała rozmawiać z wieloma ludźmi, lecz niczego się nie dowiedziała. Po prostu jej rozmówcy nic nie wiedzieli. Porucznik od pierwszej chwili wprawdzie nie liczył na większe rezultaty współpracy z „amatorem”, lecz początki były nad podziw zachęcające. Niestety okazały się niewypałem i na tym skończyły się sukcesy „amatora”.

Hanka nie dawała jednak za wygraną.. Teraz ona zaczęła zadawać pytania oficerowi milicji.

- Pan zjawił się na Buczka od razu po zbrodni?

- Pierwszy był patrol z radiowozu. Ja przyjechałem w jakieś dziesięć minut później, z całą ekipą dochodzeniową.

- Czy ktoś ruszał coś w mieszkaniu?

- Pani Legatowa zeznała, że w ogóle nie wchodziła do mieszkania. A po przybyciu radiowozu już nikt nie wszedł do środka. Wobec tego nikt niczego nie mógł ruszyć. To podstawa dochodzenia.

- Czy pan widział na stole w kuchni produkty żywnościowe?

- Widziałem.

- Co tam było?

- Leżało masło, jakaś wędlna. Kurczak. Jeżeli pani chce znać szczegóły, mogę odszukać je w protokole. Te produkty kupiła Rosińska na prośbę córki.

- Leżały na stole? Zawinięte w papier?

- Wędlna była w papierze albo w torebce papierowej.

Masło w firmowym opakowaniu. Kurczak w celofanie, tak jak sprzedają w sklepach.

- W czym to pani Rosińska przyniosła?

- W siatce. Siatkę znaleźliśmy na wierzchu w jej torebce.

- To bardzo ciekawe.

- Nie widzę w tym nic ciekawego. A właściwie dlaczego pani mnie przesłuchuje?

- Dowie się pan we właściwym czasie - Hanka była tajemnicza.

Na próżno porucznik różnymi podchwytliwymi pytaniami starał się dowiedzieć, co dziewczyna widzi dziwnego w fakcie, że kury sklep sprzedaje w celofanie, a szynkę w papierze. Hanka dała się wprowadzić namówić na wspólne pójście na kawę, ale do tego tematu więcej nie wracała. Zresztą i porucznik wolał mówić o czym innym.

W niedzielę kawiarnia zamkowa była pełna. Cała grupka młodzieży zjawiała się w komplecie. Nawet Danka przyjechała z Żydowic. Mąż został w domu i bawił dziecko.

Hankę powitano jako tryumfatorkę. Wszystkim szybko jednak wydłużyły się miny, kiedy dziewczyna opowiedziała przyjaciołom, że trop dwóch młodych chuliganek okazał się fałszywy.

- Musimy coś innego wymyślić - zdecydował Mietek.

- Hanka, rusz głową.

- Może i ruszyłam. Mam pewną, bardzo dziwną koncepcję. Ale musiałabym przeprowadzić pewne doświadczenie. Pomóżcie mi?

- Pytanie!

- Zrobimy to zaraz. Każdemu z was podam pewien stan faktyczny, a wy szczerze odpowiecie mi, co byście zrobili w tym przypadku.

- Dobrze. Zaczynaj.

- Ale z każdym z was porozmawiam osobno. Niech inni nie podsłuchują. Kto powróci do stolika, niech nie wygada się, o co go pytałam. Zgadza się?

- Zgoda.

Hanka odeszła i zajęła miejsce przy wolnym stoliku, z dala od reszty towarzystwa. Dziewczęta i chłopcy podchodzili do niej kolejno. Każdemu z nich zadawała identyczne pytanie. Brzmiało ono:

- Wchodzisz do domu z siatką pełną zakupów. W siatce są: kura w celofanie, kostka masła w opakowaniu firmowym, szynka w papierze i parówki w papierowej torebce. Co robisz?

Chłopcy odpowiadali różnie. Niektórzy usiłowali wykręcić się byle dowcipem. Mietek, który jeszcze w szkole słynął jako największy żarłok w całej klasie, odpowiedział, że najpierw zjadłby szynkę, potem zagryzł parówkami i może nie darowałby masłu. To zależy od apetytu.

Odpowiedzi dziewcząt były natomiast identyczne. Właśnie takie, jakich Hanka się spodziewała.

Kiedy doświadczenie zostało już przeprowadzone i detektyw-amator wrócił do stolika, zasypano go gradem pytań.

- Do czego to potrzebne?

- Udało się?

- Czy to jest jakiś podstęp?

- Przyznaj się, Hanka, że nas szpetnie nabrałaś.

Dziewczyna dawała słowo, że eksperyment traktuje jak najpoważniej i że doświadczenie udało się znakomicie. Nie chciała jednak powiedzieć, do czego jej to potrzebne. Obiecywała jedynie, że prawdopodobnie za tydzień będzie miała prawdziwe rewelacje. Odgrażała się też, że „temu nadętemu porucznikowi dobrze utrże nosa”. Przystanie śmiać się z niej.

Rozdział VIII

Morderca przyszedł pierwszy

- Doszłam do wniosku - powiedziała Hanka Wróblewska - że przestępstwa można podzielić na dwie grupy. Te bardziej skomplikowane nazwałabym przestępstwami kobiecymi. Te prymitywniejsze i prostsze męskimi.

- Podział według płci przestępcy? Można zgodzić się i z takim kryterium - potaknął porucznik

Widerski. - Przyznaję, że czasem kobieta potrafi popełnić bardziej wyrafinowaną zbrodnię niż mężczyzna.

- Nie. Nie chodzi mi o płeć przestępcy. Raczej o płeć tego, kto wykrywa przestępstwo. Są zbrodnie, których mężczyzna nie wykryje, bo jest za głupi, zbyt - tępo i szablonowo myślący. Po prostu nie dostrzega problemu i nie umie wysnuć odpowiednich wniosków ze znanych sobie faktów. Niektóre z nich uchodzą jego męskiej uwadze. Tylko dlatego nasza milicja jest tak niezdarna. Gdybyście zatrudniali więcej kobiet i nie spychali ich na podrzędne stanowiska maszynistek lub protokółantek, a w najlepszym razie do „obyczajówki” i przestępczości nieletnich, mielibyście dużo lepsze rezultaty.

Porucznik słuchał tych słów rozbawiony. Doprawdy, ta mała jest kapitalna. Coraz bardziej mu się podobała. Już raz przecież wyjechała z atakiem na mężczyzn. Ta niechęć do płci odmiennej to prawdopodobnie skutek małej tragedii z tym durniem ze Śląska. Ale to minie. Widerski gotów nawet był przyłożyć się do szybkiego pozbycia się przez Hankę urazu do” płci „mocnej”.

- Mamy bardzo wysoką wykrywalność przestępstw - zauważył - jesteśmy w czołówce państw europejskich. A jeśli chodzi o zabójstwa, to zajmujemy trzecie czy czwarte miejsce na świecie pod względem wykrywania morderców. Robimy to znacznie lepiej niż wiele renomowanych policji, mających doświadczenia kilkuset lat pracy.

- Czasami i wam, mężczyznom, coś się udaje. Jak tej ślepej kurze.

- Pani jest dzisiaj w nastroju bardzo dla nas wrogim. Uważa pani wszystkich mężczyzn za kretynów. Prawda?

- No, może nie wszystkich. Byłaby to przesada. Ale musi pan zgodzić się ze mną, że kobiety są o wiele inteligentniejsze i bardziej spostrzegawcze. Zresztą zaraz to panu udowodnię.

- Na przykładzie?

- Właśnie pana.

Oficer milicji bawił się coraz lepiej.

- Jestem niezmiernie ciekawy. Słucham panią.

- Co pan robi, poruczniku, kiedy pan wraca do domu z siatką pełną zakupów. Ma pan w niej: kurę w celofanie, wędlinę w papierze, parówki w papierowej torebce i masło, zwykłą kostkę w opakowaniu firmowym.

- Przede wszystkim nie noszę sprawunków w siatce. To by kapitalnie wyglądało, oficer milicji w mundurze i siatka z żywnością w ręku. Używam teczki.

- Typowo męskie przesady. Co za różnica między siatką a teczką? Siatka jest dużo wygodniejsza, bo pustą można zwinąć i schować do kieszeni. Ale wy nie potraficie tego zrozumieć. Dziadek nosił teczkę, ojciec trzymał ją zawsze pod pachą, więc i syn, potrzeba czy nie potrzeba, nie

rozstaje się z nią. Dobrze. Ma pan te zakupy w swojej ukochanej teczce i wchodzi pan do mieszkania. Co dalej?

- W moim kawalerskim gospodarstwie nie kupuję kurczaków. Ani w celofanie, ani bez.

- Ale szynkę i parówki, a także masło zdarzyło się panu już kiedyś w życiu kupić?

- No... Tak.

- Załóżmy więc, że w teczce jest to wszystko prócz kurczaka. Co pan robi po wejściu do mieszkania.

- Zdejmuję czapkę. Rozbieram się.

- A teczka?

- Kładę ją gdziekolwiek. W przedpokoju na stoliku lub w pokoju na biurku. Nie odprawiam z nią żadnego nabożeństwa.

- A żywność?

- Jak mi będzie potrzebna, to wyjmę ją z teczki.

- Pan ma lodówkę w domu?

- Kupiłem w ubiegłym roku. Taką małą.

- Dobrze działa?

- Bardzo dobrze. Ani razu nie nawaliła.

- Gdybym te pytania zadała kobiecie, na przykład tej przystojnej pani kapitan, którą parę razy spotkałam w tym gmachu, odpowiedzi byłyby zupełnie inne.

- Możemy spróbować - porucznik ujął słuchawkę telefonu i nakręcił numer.

- Bardzo cię proszę, Helu, żebyś na chwilę przyszła do mojego pokoju.

Za parę minut drzwi się otworzyły i weszła pani kapitan Helena Osińska.

- Panie się nie znają - przedstawił porucznik - panna Hanka Wróblewska, znakomity amator-detektyw, najlepszy w całej akademii medycznej, pani kapitan Osińska.

Milicjantka była zdziwiona. Porucznik pośpieszył z wyjaśnieniem.

- Panna Hanka pomaga nam na ochotnika w sprawie morderstwa przy Buczka. To właśnie ona odnalazła te dwie dziewczuszki, które pani kapitan przesłuchiwała. Teraz panna Wróblewska ma nową rewelację. Usiłuje dowieść, że wszyscy mężczyźni, ze mną na czele, to zwykłe tępaki.

- Tego nie trzeba dowodzić - Osińska szybko dostosowała się do żartobliwego tonu porucznika
- wystarczy na ciebie popatrzeć.

- Dziękuję. W każdym razie panna Hanka przeprowadza pewne doświadczenie. Zadała mi jedno pytanie. Teraz chce postawić je tobie.

- Proszę bardzo.

- Wraca pani do domu z siatką pełną zakupów. W siatce kurczak w celofanie, masło, zwykła kostka. Szynka w papierze, parówki w torebce. Co pani robi?

- Otwieram lodówkę. Rozpakowuję siatkę. Umieszczam żywność w lodówce na swoim miejscu, zamykam lodówkę. Siatkę kładę tam, gdzie zwykle trzymam ją w domu.

- Oo! - ucieszyła się Hanka. - Tak robi każda kobieta. Ale mężczyźni ani tego nie rozumieją, ani nie zauważą. Pan porucznik, chociaż ma lodówkę, trzyma masło i wędliny w teczce na biurku. Przed chwilą sam mi to powiedział.

- Złapała mnie pani. Oczywiście, że schowałbym produkty do lodówki.

- Czy to już całe doświadczenie? - zapytała kapitan Osińska.

- Tak. To pytanie zadawałam kilku mężczyznom. Każdy mówił podobnie jak pan porucznik. Pytałam również kobiety. Odpowiedzi były zawsze takie same. Każda kobieta zaraz po wejściu do mieszkania schowa żywność na swoje miejsce. Jeżeli ma lodówkę, to do lodówki. Jeżeli jej nie ma, do innej spiżarki.

- Nie rozumiem, do czego to pani potrzebne - uśmiechnęła się pani kapitan - ale widzę, że doświadczenie się udało. No, to ja uciekam. Praca czeka.

- Ja też nie rozumiem, dlaczego pani zadaje te pytania - powtórzył Widerski po wyjściu milicjantki. - Tak dla sportu? Czy dla kawału? Sprawa, którą prowadzę, wcale mnie nie usposabia do śmiechu.

- Jak każdy mężczyzna, nie umie pan przegrywać.

- Dajmy pokój żartom. Zagadnienie jest bardzo poważne. Ma pani coś nowego?

- Nie żartuję. A nowe? Właśnie wskazuję je panu. Powiem więcej. Nie widziałam pani Rosińskiej po tragedii, ale trzymam zakład, że na nogach miała boty lub śniegowce. Tak?

Porucznik wyjął z szuflady stołu kopertę. Zawierała plik zdjęć. Wyszukał jedno i podał dziewczynie. Zdjęcie przedstawiało fragment jakiegoś pomieszczenia. Na tle drzwi, na podłodze leżała postać kobieca Ubrana w sweter, spódniczkę, pończochy i wysokie do pół łydki śniegowce.

Wróblewska rzuciła okiem na fotografię i zwróciła ją oficerowi milicji.

- Nie omyliłam się. Śniegowce na nogach.

- Nie rozumiem, o co pani chodzi.

- Trudno. Widzę, że muszę tłumaczyć szczegółowo. Gdyby na pana miejscu siedziała kobieta, już dawno by pojęła, do czego zmierzam.

- Dziękuję. Pani jest dzisiaj naprawdę bardzo złośliwa.

- Proszę sobie to wyobrazić. Do mieszkania wchodzi starsza kobieta, matka pani domu. Na dworze panuje ohydna pogoda. Pada od rana deszcz ze śniegiem. Ta kobieta przyjechała z małego prowincjonalnego miasteczka, gdzie błota jest jeszcze więcej niż w Szczecinie. Później wiele chodziła po mieście. Teraz otworzyła drzwi do mieszkania córki i stoi w progu. Matka wie że jej córka ma pewną ambycję, chce, żeby posadzki w jej domu wyglądały jak lustro. Bardzo wiele kobiet ma takie hobby. Cóż więc robi matka w mieszkaniu córki? Przede wszystkim wchodzi do łazienki. Jeszcze w palcie. Pierwsza czynność to zdjęcie zabłoconych śniegowców. Zrobi to tym bardziej, że drzwi do łazienki znajdują się tuż przy drzwiach wejściowych. Na zdjęciu, które pan przed chwilą mi pokazał, widać mały chodniczek od wejścia do drzwi prowadzących do łazienki. Pani Legatowa położyła go tam dlatego, żeby nawet ten mały wycinek przedpokoju nie został zabłocony. Może pan to sprawdzić, zapytać ją o to. Na pewno wymaga od wszystkich domowników, żeby po przejściu tym chodniczkiem weszli do łazienki i tam zmienili obuwie: W łazience bez wątpienia znajdzie pan całą kolekcję bamboszy lub innego rodzaju obuwia domowego.

- Tak. Przypominam sobie, że stały tam jakieś nocne pantofle. Nawet kilka par.

- Nic dziwnego, bo w domu mieszka pięć osób, a poza tym matka często dojeżdża. Musiała i ona mieć tam swoje papucie.

- Może i są. Nie sprawdzaliśmy tego.

- I nie dziwi pana, że Łucja Rosińska zginęła w śniegowcach na nogach, zaś produkty żywnościowe leżały w kuchni na stole?

- To by najwyżej świadczyło o tym, że morderca wszedł do mieszkania zaraz po niej. Było po prostu tak: Rosińska otworzyła drzwi, weszła do mieszkania i w tym momencie usłyszała dzwonek. Nie zdążyła jeszcze zdjąć śniegowców.

- Ale zdążyła już przejść przez całe mieszkanie, długi korytarz, pokój jadalny, drugi korytarzyk przy kuchni i przez całą kuchnię aż do stołu? Tam wypakowała żywność, zostawiła ją na stole i wróciła z powrotem, aby otworzyć drzwi przybyszowi? A wszystko to zrobiła spacerując w zabłoconych śniegowcach po pięknie wyfroterowanej posadzce? Zapomniałam o jednym; jeszcze zdążyła zdjąć palto i powiesić je na wieszaku w przedpokoju. Typowo męskie rozumowanie. Kompletny nonsens.

- No tak. Coś tu się nie zgadza. - Oficer milicji poważnie zainteresował się rozumowaniem dziewczyny. Dotychczas słuchał jej z dużą pobłażliwością.

- Oczywiście, że się nie zgadza. Sam pan widzi, że nie mogło tak być.

- Mogli wejść razem. Przestępca czatował na Rosińską na schodach. A że znała go, oboje weszli do mieszkania. Musiał to jakoś zręcznie upozorować. Choćby prośbą o skorzystanie z telefonu.

- Przypuśćmy na chwilę, że pan ma rację i że wydarzenia w mieszkaniu Legatów miały właśnie taki przebieg. Wchodzą razem. On idzie do telefonu. Aparat znajduje się w centralnym punkcie mieszkania, w pokoju stołowym. A Rosińska zaczyna swoją defiladę do kuchni i z powrotem pod drzwi łazienki. Wszystko to w śniegowcach.

- Mógł to być człowiek nieznajomy. Opowiedział jej jakąś bajeczkę, na przykład, że musi natychmiast zatelefonować po pogotowie. Wtedy zrozumiałe jest, że Rosińska nie poszła do łazienki, tylko miała na oku obcego człowieka.

- To, najwyżej przeszłaby przez przedpokój i stanęła w drzwiach jadalni, czekając, aż ten mężczyzna zatelefonuje. Zresztą wątpię, czy by zgodziła się udostępnić mu telefon. Obydwa sklepy w naszym domu mają aparaty do publicznego użytku. Tuż za rogiem jest budka z automatem.

- Dlaczego mężczyzna?

- O tym świadczy siła ciosu.

- Uderzenie mogło być zadane ręką młodej, wysportowanej kobiety.

- Na przykład Hanka Wróblewskiej. Widurski roześmiał się.

- Pani znowu wraca do naszej czwartkowej rozmowy.

- Nie, tylko wykazuję, że w tej sprawie mężczyzna nie potrafi dostrzec faktów i wysnuć z nich odpowiednich wniosków. Zresztą w dalszym ciągu mojego rozumowania dowiodę panu, że zabójcą był na pewno mężczyzna.

- Na razie nie rozumiem, co nam daje analiza postępowania Rosińskiej. Cóż z tego, że Rosińska zachowała się nie tak, jak zwykle zachowują się kobiety w mieszkaniu? I nie tak, jak ona sama zazwyczaj zachowywała się w domu córki. To w niczym nie zmienia faktu, że ją zamordowano, a z mieszkania zginęła większa suma pieniędzy.

- Tak - zgodziła się Hanka - tego faktu to rzeczywiście w niczym nie zmienia, ale zmienia kolejność wszystkich innych faktów. Bo niech pan, poruczniku, spróbuje odwrócić kolejność zdarzeń.

- Jakich zdarzeń? Morderstwa? Rabunku? Co tu jest do odwracania?

- Sam pan przyznaje, że zachowanie się Rosińskiej przed śmiercią jest dziwne i nietypowe dla kobiety. Otóż popełnia pan zasadniczy błąd.

- Jaki?

- Zakłada pan, że do mieszkania najpierw weszła Rosińska, później jej zabójca.

- To przecież jasne.

- Nie. W świetle zachowania się Rosińskiej to wcale nie jasne. Jeżeli przyjąć, że było odwrotnie i że to zbrodniarz był pierwszy w mieszkaniu, wszystkie fakty będą do siebie pasowały z żelazną logiką.

- Niemożliwe!

- Nie tylko możliwe, ale zupełnie pewne. Załóżmy: przestępca dostaje się do pustego mieszkania Legatów.. Nie wiem, jak to zrobił. Otworzył zamki wytrychem? Dopasował jakieś klucze? To obojętne. Dość, że gospodaruje w mieszkaniu. Szuka pieniędzy, wyważa szuflady biurka, zrzuca z regałów książki. Wie, że gotówka jest gdzieś ukryta. Raptem słyszy, że ktoś próbuje otworzyć z klucza drzwi wejściowe. Co robi morderca?

- Ukrywa się? - zawahał się porucznik.

- Oczywiście. Staje tuż za drzwiami, tak, aby wchodzący nie zauważył go w pierwszej chwili. Widzi, że do mieszkania wchodzi starsza kobieta. Może nawet znał Rosińską? Prawdopodobnie tak. W przedpokoju panuje zawsze półmrok, świetliki w drzwiach do pokoi dają bardzo niewiele światła.

Kobieta nie spostrzega więc napastnika. Kiedy zamyka drzwi, morderca zadaje cios. Rosińska pada martwa na podłogę przy wejściu do łazienki. W rękę trzyma torebkę ze sprawunkami. Teraz bandyta zdejmuje ze swojej ofiary palto. Wieszka ną pobliskim wieszaku. Z kolei bierze siatkę ze sprawunkami, idzie do kuchni i wyklada wszystko na stół. Jest mężczyzną, więc nie przychodzi mu nawet do głowy, że kobieta postąpiłaby inaczej i od razu schowała produkty do lodówki. Wraca do przedpokoju i chowa siatkę do torebki - pani Rosińskiej. Gdzie znaleźliście torebkę?

- Wisiała na wieszaku koło palta.

- Jeszcze jeden dowód na potwierdzenie mojej tezy. W domu swojej córki matka nie powiesi torebki na wieszaku. W ogóle kobiety nie wieszają torebek na wieszakach. Niech pan to sobie zapamięta na przyszłość. O śniegowcach morderca zupełnie zapomniał. Mężczyźni bardzo niechętnie zmieniają obuwie po przyjeździe do mieszkania. Nasz przestępca nie należy widocznie do wyjątków pod tym względem, toteż nie zwrócił uwagi na nogi swojej ofiary. Co pan może zarzucić mojemu rozumowaniu? Jest logiczne. Wszystkie fakty, które pan również uważa za dość dziwne, teraz są doskonale udokumentowane.

- Tak. Przyznaję, że to wszystko brzmi bardzo prawdopodobnie, ale dlaczego przestępca miałby postępować - tak, jak pani to przedstawiła?

- To łatwe do wytłumaczenia. Powodów mógł mieć wiele.

- Jakich?

- Choćby sprawa alibi. Przestępca, być może, wyszedł natychmiast po popełnieniu zbrodni. Wtedy wystarczyło mu zejść na dół do piwiarni, oprzeć się o kontuar i przestać w tej pozycji do godziny pół do drugiej. Już by pan nie mógł oskarżyć go o morderstwo.

- W momencie morderstwa był jednak na miejscu zbrodni.

- Tak, lecz tylko w samym momencie morderstwa. Nato - miast jak wiemy, mieszkanie zostało gruntownie, zdemolowane. To musiało zająć co najmniej godzinę. A na tę godzinę nasz hipotetyczny zbrodniarz ma niepodważalne alibi. Każdy sąd by go uniewinnił.

- Racja.

- Albo założmy, że pragnął ukryć fakt posiadania kluczy do mieszkania. Pamiętam dobrze, że poza normalnym zamkiem jest tam jeszcze duża zasuwka-zatrzaśka typu „Yale”. Kiedyś coś czytałam o sposobach otwierania zamków. Wydaje mi się, że przy tego rodzaju zabezpieczeniach otworzenie takich drzwi wytrychami jest niezmiernie trudne i zajęłoby moc czasu.

- Zamek w drzwiach i zasuwka dla dobrego specjalisty nie przedstawiają żadnych trudności. Na ołów jest stosunkowo łatwo podebrać odpowiednie narzędzie. Gorzej - wyjaśniał porucznik - z zamkami z zapadkami kulowymi, czyli jak pani powiedziała typu „Yale”. Te są, praktycznie biorąc, nie do otwarcia wytrychem. Oczywiście fabryki produkujące te zamki używają tylko paru set różnych wariantów, toteż mając komplet kluczy takiej wytwórni, można by było dobrać odpowiedni.

- Ale to wymaga czasu. Trudno majstrować przy cudzych drzwiach i nie zwrócić uwagi sąsiadów. W tej kamienicy mieszka spore osób i na schodach panuje duży ruch. Przestępca, musiał mieć wszystkie klucze i drzwi otworzył bardzo szybko.

- Jeżeli przyjmujemy pani hipotezę.

- Pan w nią jeszcze wątpi?

- Jest logiczna, przyznaję, ale jednocześnie bardzo fantastyczna.

- Jeżeli logicznie tłumaczy wszystkie fakty, - to znaczy, że jest prawdziwa.

- To też jedynie twierdzenie bez stuprocentowego pokrycia.

Hanka zamyśliła się.

- Może udałoby się znaleźć nieodparty dowód, że wszystko odbyło się tak, jak to przedstawiłam.

- Jaki?

- Niech pan nie zapomina, że jestem studentką medycyny. Wprawdzie paskudnie pan mi niedawno przygadał o tej trójce z kolokwium, ale z anatomii miałam zawsze piątki. Otóż uderzenie tak silne, żeby spowodowało aż pęknięcie sklepienia czaszki i natychmiastowy zgon, musiało

wywołać duży krwotok. Zresztą i na zdjęciu widać kałużę krwi na podłodze. Trzeba byłoby sprawdzić, czy na palcie zmarłej nie pozostały jakieś krwawe ślady, choćby mikroskopijne kropelki. Co się stało z tym paltem? Czy było badane?

- Nie - porucznik nieco się zmieszał. Jeżeli dziewczyna ma rację, milicja popełniła błąd.

- A gdzie ono jest?

- Po sekcji zwłoki wydano rodzinie. Również i odzież, którą zmarła miała na sobie w chwili zgonu. Palta w ogóle nie brano pod uwagę. Zostało na wieszaku. Mam nadzieję, że pani Legatowa nic jeszcze z nim nie zrobiła.

Porucznik sięgnął po słuchawkę. Wydawał polecenia:

- Proszę natychmiast posłać samochód na ulicę Buczka. Do mieszkania Józefa Legata. Najlepiej niech jedzie wywiadowca Kardaś. On już tam był. Trzeba zabezpieczyć palto, które miała na sobie Łucja Rosińska w dniu morderstwa. Niech Kardaś zaraz przywiezie to palto. Niech zostawi normalne pokwitowanie, że zabrano je do oględzin i analizy. Czekam. - Porucznik skończył telefonować i zwrócił się do dziewczyny. - Jak pani doszła do tych wszystkich wniosków?

- Po prostu kobieca logika. Przecież mówiłam panu, że przestępstwa można podzielić na dwie grupy pod względem wykrywalności. Tę pierwszą, gdzie i mężczyznom uda się coś ustalić, i drugą, bardziej skomplikowaną, gdzie tylko kobiety mają szanse wykrycia czegoś. A punktem wyjścia była kostka masła.

- Kostka masła? - Tego dnia porucznik miał wiele okazji, żeby się dziwić.

- Tak. Masła. W naszym domu jest bardzo ciepło. Ogrzewanie centralne działa doskonale. Poza tym na dole pracuje piekarnia. Ściany zawsze są gorące. W lecie niewiele pomaga otwieranie okien. W zimie lokatorzy zakręcają część kaloryferów. Temperatura w pokojach waha się od dwudziestu trzech do dwudziestu pięciu stopni. I przy takim upale kostka masła leży na stole, gdy tuż obok stoi lodówka? Przecież po dwóch godzinach to masło byłoby już niejadalne. Dobrze znałam panią Rosińską, często bywałam w mieszkaniu państwa Legatów, ponieważ zapraszają mnie na „telewizję”. Sprzątaczką, pani Popiela, wyraziła się nawet niedawno: „Panna Hanka to tu jak swoja”. Nie mogło mi pomieścić się w głowie, że pani Rosińska zostawiła masło na stole. Dlaczego? Tyle samo czasu zabiera-wyjęcie kostki z siatki i położenie jej na stół, jak i schowanie jej do lodówki. Długo zastanawiałam się nad tym i powoli doszłam do mojej teorii.

- Pełne uznanie dla pani. Jestem prawie całkowicie przekonany.

- Nie byłam jednak pewna. Postanowiłam zrobić doświadczenie. Mam bardzo miłą paczkę przyjaciół. Pięciu chłopców i cztery babki. Co niedziela spotykamy się w kawiarni zamkowej. Często jest nas jeszcze więcej, bo babki przyprowadzają swoich podrywaczy, a chłopcy swoje sympatie. W niedzielę pytałam wszystkich po kolei, co by zrobili przynosząc żywność do mieszkania. Chłopcy odpowiadali raczej bez sensu. Tak jak pan, poruczniku.

- Bardzo dziękuję.

- Nie ma za co. To jest fakt.

- Od dzisiaj zawsze będę pędził prosto do lodówki.

- Tylko niech pan nie chowa tam całej teczki, ale wyjmuję z niej szynkę. To w zupełności wystarczy.

- Dostałem się na język. Ale wracając do pani ankiety?

- Chłopcy, jak już powiedziałam, odpowiadali bez sensu.

Natomiast wszystkie dziewczęta mówiły to samo. Schowają produkty do lodówki. To mnie ostatecznie upewniło i przyszedłam ze swoją teorią do pana. Tu pani kapitan jeszcze raz potwierdziła moje spostrzeżenia.

Do pokoju wszedł wywiadowca Kardaś. Dziewczyna poznała go. Był to ten sam milicjant, który dwukrotnie przesłuchiwał ją w domu przy Buczka, w dniu morderstwa.

Wywiadowca trzymał w ręku celofanowy worek. Znajdowała się w nim granatowa jesionka damska, dość już podniszczona. Widać było, że służyła swojej właścicielce ładnych kilka lat.

- Wisiała w szafie, panie poruczniku - meldował Kardaś. - Legatowa miała zamiar podarować ją tej Popiela. Sprzątaczką prosiła o to palto. Chciała nawet kupić.

- Przecież pani Rosińska była drobna i szczuplutka, a pani Popiela jest przynajmniej dwa razy tęższa - zdziwiła się Hanka.

- To prawda, ale Legatowa mówiła, że Popiela chciałaby jesionkę podarować swojej siostrzenicy. Twierdziła, że po przeniecowaniu palto będzie wyglądało jak nowe.

Porucznik wyjął jesionkę z worka. Cała trójka przyglądała się uważnie granatowej tkaninie.

- O - zauważył Kardaś - tu, poniżej kołnierza jest podłużna plama. Coś było starte mokrą ścierką.

- Jeżeli krew, analiza wykryje to natychmiast.

- Na kołnierzu, trochę z boku, są małe plamki. Jak gdyby zaschłe kropelki.

- Palto damy do analizy. Jeżeli okaże się konieczne, prześlemy je do Warszawy, do Zakładu Kryminologii - powiedział porucznik.

- Nie przypuszczam, żeby to było potrzebne - zauważyła Hanka. - Tych plamek jest dość sporo i robią wrażenie stosunkowo świeżych. W tych warunkach nawet ja lub moi koledzy z akademii mogliby stwierdzić, czy to krew, czy też innego rodzaju plamy, a cóż dopiero wasi fachowcy.

- Kolego Kardaś, zajmijcie się tym. Dajcie palto do analizy. Jeżeli można, to i grupę krwi.

Wywiadowca ostrożnie umieścił jesionkę z powrotem w celofanowym worku.

- Brawo, pani Hanko - po wyjściu milicjanta porucznik pochwalił dziewczynę. - Jutro powinienem mieć wyniki analizy. Jeżeli będą dodatnie, gotów jestem uwierzyć nawet w teorię o damskich i męskich przestępstwach oraz publicznie się przyznać, że zostałem pokonany przez detektywa-amatora.

- Chodzi mi po głowie jeszcze jedna sprawa. Czasem człowiek coś sobie przypomina i nie wie, czy to mu się śniło, czy istniało w rzeczywistości.

- A co pani sobie przypominać

- Tego nie można nawet nazwać przypominaniem sobie. To przyszło z chwilą, kiedy stałam się zupełnie pewna mojej hipotezy. I zaczyna mnie bardzo męczyć.

- Co takiego?

- Teraz wiemy, że zbrodniarz wszedł do mieszkania przed panią Rosińską. Biegły lekarz ustalił, że jej śmierć nastąpiła najwcześniej przed godziną jedenastą minut trzydzieści, to znaczy morderca znalazł się na miejscu przed tym terminem.

- Pod warunkiem, że pani teoria jest prawdziwa - zastrzegł porucznik.

- Za to daję szyję. A zatem morderca mógł wejść do mieszkania o wiele wcześniej.

- Myśli pani o Andrzeju Banaszkiwiczu?

- Nie. Nie wierzę, żeby był zdolny do tego.

- Jego alibi jest niepodważalne w każdej koncepcji popełnienia zbrodni. W czasie śmierci Rosińskiej Banaszkiwicz był na politechnice. To wiemy z całą pewnością. Od pół do jedenastej do drugiej nie opuścił gmachu uczelni.

- Zgoda, ale pan jeszcze nie wie, bo milicja o to nie pytała, co robiłam aż do wyjścia na egzamin. Może piętnaście, może dwadzieścia minut po dziewiątej zesłam na dół.

- Wychodziła pani z domu i Banaszkiwicz jej nie zauważył? Przecież wiemy, że w tym czasie stał przed bramą.

- Właśnie, że nie wychodziłam z domu. Zesłam jedynie na dół, do piekarni, kupiłam chleb i wróciłam na górę. Andrzej nie mógł mnie zobaczyć ani ja jego.

- Widziała pani kogoś na schodach?

- Ciągle mam wrażenie, że na półpiętrze minęłam jakąś osobę i że zaraz potem słyszałam odgłos

klucza przekręcanego w zamku.

- Mężczyzna czy kobieta?

- W ogóle nie jestem pewna, czy tam ktoś był, czy dopiero później wszystko to #ii się przyśniło. Nie pamiętam żadnych szczegółów, a wyłącznie w mojej wyobraźni majaczy jakaś postać idąca po schodach i ten cichy trzask, jaki wydaje cofający się rygiel zasuw.

- Jeżeli rzeczywiście pani kogoś widziała i słyszała, jak ten ktoś otwierał później drzwi, to nie mógł on wejść wyżej niż na pierwsze piętro. Zanim by doszedł do drugiego, pani byłaby już w piekarni. Również, nie usłyszałaby pani cichego szcęknięcia zamka. Mógł to być ktoś idący do mieszkania naprzeciwko Legatów. Tam mieszkają... - porucznik zaczął szukać w aktach.

- Państwo Deublowie - podpowiedziała Hanka.

- Właśnie - przypomniał sobie porucznik - on szatyn, z dużym nosem, żona przystojna, dwie ładne córki. Przesłuchiwalismy ich.

- Kiedy zaczął mnie męczyć ten... - Hanka nie umiała znaleźć właściwego słowa - ... majak, wstąpiłam do państwa Deublów i spytałam, czy nikt nie wchodził do nich o tej godzinie.

- Nikogo nie było?

- Pani Deubel doskonale sobie przypomina, że w tym czasie była sama w mieszkaniu. Mąż i córki, Danusia i Ewa, wychodzą z domu przed ósmą. Pani Deublowska pracuje od jedenastej. Kategorycznie twierdzi, że ani nie wychodziła z mieszkania, ani nikt z domowników lub obcych nie wchodził do nich.

- A więc widziała pani mordercę! - stwierdził porucznik.

- Albo to wszystko jedynie mi się przyśniło.

Rozdział IX

Hanka szuka kluczy

- I to wszystko panna Hania tak sama wykryła? - Pani Popiela nie mogła się nadziwić. - Jak opowiem państwu Legatom, dopiero złapią się za głowę. Mnie by nigdy coś podobnego...

- Tylko dzięki pani wpadłam na ten pomysł. To przecież pani opowiedziała mi, że masło, wędliny i kurczak leżały na stole.

- Makaron też. Czterojajeczny.

- Zapomniałam zupełnie o tym makaronie - przyznała Hanka - ale najważniejsze było masło. Bo kto zostawia masło w kuchni na stole, kiedy tam tak gorąco?

- Mięciutki było, złociuteńka, kiedy przyszłam. Mało się nie zaczęło rozpuszczać - przyznała sprzątaczką. - Ale że panna Hania nie bała się iść na milicję.

- Dlaczego miałam się bać? Tam są bardzo przyjemni ludzie - roześmiała się dziewczyna - a ten porucznik, który prowadzi dochodzenie, nawet przystojny.

- Iii tam, jaki on przystojny. Na człowieka patrzy jak na zbrodniarza. Ja bym nigdy sama do nich nie poszła. Kiedy okradli państwa Zdanowskich, całe sześć tygodni nie było dnia, żeby któryś z nich nie przychodził do domu i nie męczył porządnych ludzi. A wzywali do komendy! Niektórych to po kilkanaście razy.

- Pani wtedy pracowała u tych państwa Zdanowskich?

- Niech Bóg zachowa! Przecież nie daliby mi spokoju. Chodziłam sprzątać, jak tu u państwa Legatów, do takich jednych, w tej samej kamienicy.

- Złapali tych złodziei?

- Złapali - przytaknęła Popiela. - Pewnie, że złapali, ale zanim ich znaleźli, to ciągaliby niewinnych ludzi i ciągaliby. I po co?

- Pani Popiela, tak pani pomogła mi wtedy z tym masłem, to i teraz może nam się uda.

- Może panna Hania herbatki wypije? Świeżo zaparzona. Imbryk gorący.

- Dziękuję, przed chwilą jadłam w domu śniadanie. Jak pani myśli, jeżeli ten bandyta wszedł do pustego mieszkania, to chyba miał klucze?

- Dobry złodziej każdy zamek otworzy. Kiedy okradli księdza kanonika Żongiłło, to było jeszcze w Lidzie, on spał w jednym pokoju, a złodzieje ograbili całą parafię. Wszystkie zamki pootwierali. Zagnie taki kawałek drutu i już po zamku.

- Milicja mówi, że to nie takie proste. Tych zamków u państwa Legatów nie można otworzyć kawałkiem drutu.

- Jeżeli wszedł, to otworzył - filozoficznie stwierdziła sprzątaczką.

- „Otworzył, bo miał klucze. A wie pani, że ja chyba tego zbrodniarza widziałam, kiedy schodziłam do piekarni po chleb.

- Co panna Hania powie! Powinna panienka w kościele Bogu podziękować, że i jej nie zabił.

- To było na schodach. Na półpiętrze. Na schodach jeszcze ludzi nie zabijają.

- To prawda. A jak on wyglądał, przeklęty?

- Żeby to ja pamiętała. Już i milicja ciągle mnie o to pyta. Z tego wszystkiego nie wiem, może

mi się śniło? Staram się sobie przypomnieć i nic.

- Może panna Hania jeszcze sobie przypomni?

- Staram się o to. Ale ciągle myślę, że ten bandyta musiał jakimś sposobem zdobyć klucze do mieszkania.

- A jak by to zrobił?

- Nie wiem. Myślę, że pani Popiela znowu mi pomoże.

- Chciałabym, rybeńko, z całej duszy bym chciała. Ale jak?

- Ile kompletów kluczy jest w tym domu?

- Cztery. Tylko cztery. Jeden ma pan inżynier, drugi pani Janina, a dwa mają Zbyszek i Małgosia. Ja nie mam kluczy, bo mi niepotrzebne. Przychodzę do roboty rano, zanim pani inżynierowa nie wyjdzie do pracy. A nigdy nie skończę do obiadu. Cztery duże pokoje, piąty ten przy kuchni, mały, gdzie teraz śpi Małgosia, i kuchnia. To wszystko sprzątnąć, podłogę zaprawić... Tu codziennie byłaby robota. Małgosia porządna dziewczynka, w swoim pokoju chociaż posprząta. Ale Zbyszek i Michaś? U nich zawsze jak po bitwie. A chociaż pani inżynierowa każe w kapciach chodzić, to podłogę tak zawsze schlastają, że dwa razy w tygodniu muszę pastować.

- W takim dużym mieszkaniu - zgodziła się dyplomatycznie Hania - starczyłoby roboty i na cztery ręce. Ciekawa jestem, jak nosi klucze pan Legat?

- Ma skórzany futerał. Pociągnie się za rzemyk i klucze same chowają się do środka. Zbyszek kupił ojcu na imieniny.

- Pani inżynierowa trzyma pewnie klucze w torebce?

- Zawsze w torebce - przytaknęła Popiela.

- A Zbyszek i Małgosia?

- Małgosia nosi w teczce z książkami. A jak wychodzi z domu po szkole, to także w torebce. Zbyszek, jak się da, po kieszeniach. Kiedyś, będzie ze dwa miesiące nazad, ktoś dzwoni. Otwieram, a to on. I powiada, że zgubił klucze.

- W szkole?

- Nie. Na sztucznej ślizgawce.

- Przecież „Lodogryf” zamrożony został dopiero w październiku. Przed miesiącem.

- To może było w październiku. Nie pamiętam dokładnie.

- Klucze się znalazły?

- Za dwa dni pan Deubel przyniósł. Ten pan Deubel taki stary, a jeszcze chodzi na ślizgawkę z łyżwami jak chłopczyk. A za piłką też biega. Nosi takie coś jak trzepaczka.

- Raketkę. Pan Deubel gra w tenisa.

- Właśnie. Stary, a udaje młodego. Wstydu nie ma. Dzieci już dorosłe...

Kanka z trudem stłumiła śmiech.

- A skąd pan Deubel miał te klucze?

- Kiedy Zbyszek je zgubił, to chodził i szukał. Pytał o nie wszystkich, którzy pracują przy tej ślizgawce. Znaleźli dopiero za dwa dni i oddali panu Deublowi. On tam bywa codziennie. Pewnie mu za to płacą.

- Płacą? Dlaczego?

- Ludzie przychodzą go oglądać. Siwe włosy i w spodenkach na lodzie, to i ślizgawka ma większy dochód.

Tym razem Hanka nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

- Pan Deubel jest w zarządzie klubu tenisowego. A na lodzie nie jeździ się w krótkich spodenkach.

- Jak jest w zarządzie - rozumowała pani Popiela - to tym bardziej muszą mu płacić. Za darmo by przecież nie robił. Taki głupi chyba nie jest. Trochę stuknięty na temat tych, tego sportu, ale porządny człowiek. A dlaczego pani Hania tak się tym zajmuje? Jaką nagrodę obiecali?

- Żadnej! Ale bardzo lubiłam panią Rosińską. Taka była” miła staruszka.

- Oj, prawda, prawda, święta kobieta. A ten porucznik, co tak wilkiem na ludzi patrzy, to pannie Hani chyba się spodobał? Bo chce mu pomóc?

Hanka aż się zaczerwieniła.

- Ale gdzie tam - broniła się - taki zarozumiały! Chciałabym tylko, żeby tego bandytę złapali. Zabił jedną, może zabić jeszcze więcej.

- W Katowicach jest taki wampir. Podobno napisał do samego Gomułki, że na tysiąc lat on tysiąc kobiet zabije. Tak sobie ślubował. Podobno mą już dwie setki na sumieniu.

- Bajki, wszystko bajki, pani Popiela.

- Ja tam nie wiem. Tak ludzie mówią.

- Aha - przypomniała sobie dziewczyna - pani mąż nie widział, czy w naszej kamienicy nie kręcił się przed zabójstwem ktoś podejrzany? Przecież pan Popiela często bywa w naszym domu.

- Jak coś trzeba naprawić, to i bywa. Ale nie tak często. Obsługuje aż dwa rejony administracji. Domów dużo. A on jeden na wszystkie ulice, od Armii Czerwonej do Jedności Narodowej i Jagiellońskiej. Nie ma dnia, żeby jakaś rura nie pękła albo ktoś kranu nie ukręcił. Nawet w nocy spokoju mu nie dają. Ale co mają robić, kiedy woda leci? Musi wstawać i iść.

*

Hanka wiedziała, że sąsiad Legatów z drugiej strony klatki schodowej kończy pracę o trzeciej i wraca do domu zawsze tą samą drogą. Niby przypadkowo wyszła mu na spotkanie. Kiedy szli razem w stronę domu, pan Deubel zagadnął:

- Słyszałem, że pani bardzo interesuje się sprawą tego zabójstwa.

- Lubiłam panią Rosińską i chciałabym, żeby ujęto zbrodniarza. Udało mi się odnieść nawet mały sukcesik.

- O! Jaki?!

- Zwróciłam milicji uwagę, że popełniła błąd przyjmując założenie, iż morderca wszedł do mieszkania państwa Legatów po przyjściu tam pani Łucji. Tymczasem było odwrotnie.

Dziewanna opowiedziała, w jaki sposób dokonała swojego odkrycia. Pan Deubel nie usiłował nawet ukryć swojego podziwu.

- Fantastyczne! Pani ma, jak widzę, wybitne zdolności w tym kierunku. Nie trzeba było iść na medycynę, lecz od razu wstąpić w szeregi milicji.

- Wtedy na pewno nic bym nie zwojowała. Ślęczałabym przy biurku nad papierkami albo w najlepszym razie prowadziła sprawy nieletnich.

- Tam są też bardzo ciekawe problemy.

- Dziękuję, wolę medycynę. Wszystkie dochodzenia w ciekawszych sprawach prowadzą mężczyźni. Nie słyszałam nigdy o oficerze śledczym-kobiecie.

- Pomimo równouprawnienia - zgodził się pan Deubel - pracująca zawodowo kobieta jest w gorszej sytuacji i to w każdej instytucji. Ilu mamy mężczyzn naczelnych dyrektorów, a ile kobiet? Obawiam się, że pani tego nie zmieni.

- Właśnie dlatego wolę medycynę.

- Ten zawód prawie zupełnie opanowały kobiety. Niedługo lekarz-mężczyzna będzie rzadkością. Wracając jednak do pani teorii, przestępca mógł dostać się do mieszkania pod warunkiem że miał do niego klucze.

- Właśnie to jest najbardziej zagadkowe w tej całej historii - zgodziła się Hanka, zadowolona, że rozmowa przebiega ściśle według planu, jaki uprzednio ułożyła. - Tam są aż trzy zamki. Nie sposób otwierać wytrychami. Za długo by trwała taka operacja. Podobno Zbyszek, bodaj przed miesiącem, zgubił gdzieś klucze.

- Zaraz, zaraz - przypomniał sobie pan Deubel - przecież to ja odniosłem państwu Legatom te klucze. Zbyszek zgubił je na „Lodogryfie”. Znalazł je jeden z pracowników lodowiska i mnie oddał.

- Może Zbyszek nie zgubił kluczy, tylko ktoś mu je ukradł, żeby zrobić odciski?

- Takie sposoby zdobywania kluczy zdarzają się chyba tylko w powieściach kryminalnych.

- Faktem jest, że bandyta wszedł do mieszkania Legatów.

- No tak - zgodził się Deubel - klucze znaleziono w szatni pod szafkami. Pewnie wypadły chłopcu przy przebieraniu się i upadły pod szafkę.

- Albo ktoś mu je ukradł, a później podrzucił.

- Mogło być i tak - zgodził się mężczyzna - ale trudno odnaleźć tego, kto to zrobił. Sam wyrabiałem Zbyszkowi kartę wstępu na lodowisko. Pani pewnie wie, że jestem w zarządzie naszego tenisowego klubu, dzięki temu mogę więc czasem załatwić coś u sąsiadów, w administracji „Lodogryfu”. Karta jest ważna na godziny przeznaczone dla szerszej publiczności. W tym czasie na lodzie jest co najmniej kilkadziesiąt, jeżeli nie kilkaset osób.

- Klucze zabrał morderca.

- Albo jego wspólnik. Nie podejmuję się jednak odszukać tego człowieka. Pozostawiam to pani, Haneczko, i milicji.

Dziewczyna złapała i Zbyszka. Chłopak potwierdził, że zgubił klucze. Przez nieuwagę włożył je do dziurawej kieszeni marynarki. Widocznie wypadły na podłogę szatni wtedy, kiedy było tam wiele osób. Dostały się pod szafkę.

- A może ktoś ci je ukradł?

- Po co? Przecież się znalazły - chłopak był zdziwiony. - Zawsze zamykam szafkę na kłódkę, bo szafki nie mają innych zamknięć, a po skończonej jeździe trzeba je opróżnić. Kłódkę noszę przy sobie. Nic mi nigdy nie zginęło, a mieliby skraść klucze?

- A kto ze znajomych był wtedy z tobą na lodzie?

- Było paru chłopaków z naszej klasy. Dziewczyny też były, ale z dziesiątej. Udawały, że nas nie znają. I jeszcze kilku, ale znam ich tylko z widzenia i nie wiem, jak się nazywają.

Hanka nie dowiedziała się od Zbyszka niczego więcej. Na drugi dzień klucze się odnalazły, odniósł je pan Deubel i oddał chłopcu, który nad całą sprawą przeszedł do porządku dziennego.

Kiedy Hanka zjawiła się w komendzie milicji, porucznik Roman Widerski był nieco zmieszany. Wstyd mu było przyznać się że na palcie Rosińskiej znaleziono ślady krwi. Miały one tę samą grupę, co krew zmarłej, i nie ulegało żadnej wątpliwości, iż teoria studentki medycyny była prawdziwa. Palto wisiało na wieszaku, powiesił je więc przestępca już po zbrodni. Morderca nie miał czasu dokładniej usunąć plam z jesionki. Poprzestał na powierzchownym wytarciu kołnierza mokrą szmatą. Liczył, że nikt nie będzie badał okrycia zamordowanej, skoro wisi ono na wieszaku w przedpokoju. Niewiele zresztą się omylił. Gdyby nie spostrzegawczość dziewczyny i błąd polegający na pozostawieniu masła na stole w kuchni, nikt by nie zainteresował się jesionką.

- Niewierny Tomasz nareszcie się przekonał, że i kobiety mogą się na coś przydać - tryumfowała Hanka. - I bez analizy byłam pewna, że nie popełniłam pomyłki.

- Pan prokurator Szczerbiński chciałby z panią porozmawiać. Dzwonił i prosił, żebym panią do niego zawiózł.

- W charakterze podejrzanej?

- W charakterze znakomitego eksperta-doradcy.

- Jak rozkaz, to rozkaz. Jedziemy.

- Nie rozkaz, tylko prośba pana prokuratora.

- Nie znam się na tych waszych subtelnościach. Coś podobnego mówił pan o Andrzeju. Że nie aresztowany, a jedynie zatrzymany do waszej dyspozycji. Nie zmieniło to faktu, że na jakiś czas pozbawiono go wolności.

Prokurator Witold Szczerbiński zrobił na dziewczynie dodatnie wrażenie. Przede wszystkim dzięki temu, że nie taił podziwu dla jej odkrycia i może nawet wyolbrzymiał znaczenie, jakie ma ono dla dalszego śledztwa.

- A teraz czym pani nas zastrzeli? - dopytywał się. - Mam nadzieję, że ma pani w zanadrzu jakąś nową sensację.

- Sensacji nie mam - śmiała się dziewczyna - ale próbuję znaleźć klucze.

- Jakie klucze?

- Skąd morderca zdobył klucze, za pomocą których dostał się do mieszkania?

- Pan sądzi, że miał klucze?

- Tak twierdzi pan porucznik.

- Znam te zamki. Oglądaliśmy je w czasie dochodzenia na miejscu zbrodni. Fachowiec wysokiej klasy długo musiałby dorabiać wytrychy, żeby dostać się do środka. A na takiej ruchliwej klatce schodowej - tłumaczył oficer MO - to jest niemożliwe.

- Dowiedziałam się - powiedziała studentka - że istnieją tylko cztery pary kluczy. Jedną ma pan domu i nigdy z nimi się nie rozstaje. Drugą parę nosi w torebce Legatowa. Również jest mało prawdopodobne, żeby morderca miał dostęp do jej torebki. Pozostałe dwie pary mają starsze dzieci państwa Legatów - Małgosia i Zbyszek. Zbyszek jest w ósmej klasie. Małgosia chodzi do dziesiątej. Małgosię znam dobrze, to miła i porządna dziewczyna. Klucze trzyma albo w teczce, albo w torebce. Co innego Zbyszek. Jak to chłopak w tym wieku, postrzelony i roztrzępany. Niedawno zgubił swój komplet na lodowisku.

- O! - zainteresował się porucznik. - Czy zmienili zamki?

- Nie, bo klucze znalazły się na drugi dzień. Wpadły pod jedną z szafek w szatni i pan Deubel odniósł je i oddał chłopcu.

- Kto to jest? - zapytał prokurator.

- Najbliższy sąsiad państwa Legatów, na tym samym piętrze.

- Pan zainteresuje się nim - prokurator zwrócił się do Widerskiego.

Porucznik wyjął notatki i zaczął je wertować.

- Cała rodzina ma alibi. On nie opuszczał biura. Córki również pracowały: Żona wyszła z domu na godzinę przed morderstwem i była jak zwykle zajęta w sklepie.

- Państwa Deublów nie można podejrzewać - oburzyła się Hanka.

- Myśmy ich nie podejrzewali, tylko sprawdzaliśmy alibi, podobnie jak reszty mieszkańców domu przy Buczka, nie wyłączając pani.

- Niech pan, poruczniku, postara się zbadać, kto był wtedy na lodowisku? Może to nam pomoże.

- Nie sędzę - zauważyła Hanka. - Klucze zginęły przed przeszło miesiącem. Ścisłej daty Zbyszek nie umie podać. Na lodowisko chodzi prawie codziennie. Pytałam go o znajomych, wyjaśnił, że tylko koledzy ze szkoły. Poza tym twierdzi, że miał dziurawą kieszeń i dlatego klucze wypadły na podłogę.

- To wygląda prawdopodobnie - zgodził się porucznik.

- Tego czynu nie popełnił młodociany. Przesłanec doskonale znał zwyczaje domowe państwa Legatów, wiedział o sprzedaży samochodu. Musiał zatem pochodzić z kręgu bliższych lub dalszych znajomych rodziny. Gdyby ktoś taki chodził na „Lodogryf”, chłopiec na pewno by go sobie przypomniał. Skłonny jestem raczej przypuszczać, że zbrodniarz dysponował kluczami Legata lub jego żony.

- To niemożliwe - zaproponowała Hanka. - Pan Legat ma futerałik na klucze. Otrzymał go zresztą na imieniny od syna. Poza tym na kółku trzyma klucze nie tylko od mieszkania, ale i inne, od biurka w domu i w biurze, a dawniej i zapasowy od samochodu.

- Dla fachowca zdobycie odcisku klucza to jeden moment. Wystarczy odcisnąć klucz w kawałku plasteliny. Pan Legat mógł na chwilę położyć swoje klucze na stole lub choćby powiesić je przy szufladzie biurka. A zbrodniarz jest niewątpliwie dobrym fachowcem, bo jak wiemy, klucze dorobił bezbłędnie. A przy zamku typu „Yale” nie jest to proste, wymaga dużej precyzji i znajomości rzeczy.

- Jeszcze łatwiej chyba byłoby przestępcy zdobyć odciski kluczy z kompletu pani Legatowej - zauważył prokurator. - Kobieta stale kładzie gdzieś swoją torebkę. Wyjęcie na chwilę kluczy i podrzucenie ich później nie przedstawia trudności dla osoby stojącej poza wszelkimi podejrzeniami. A zbrodniarz aż do chwili morderstwa, a pewnie i do tej pory cieszy się w oczach mieszkańców ulicy Buczka nieposzlakowaną opinią. Dlatego tak trudno naszemu śledztwu znaleźć jakiś punkt zaczepienia, co oczywiście w niczym nie umniejsza sukcesu panny Hanki.

- Pan prokurator ma całkowitą rację - stwierdził porucznik - dlatego ta sprawa jest tak trudna, że przestępcą jest raczej amator, który zręcznie pozacierał ślady i którego nikt nie posądza o udział w zbrodni.

- Ze go nikt nie posądza, z tym się zgadzam, ale nie sędzę - prokurator był odmiennego zdania niż oficer milicji - żeby był takim amatorem, jak pan powiada. Przeciwnie, dzięki odkryciu panny Hanki ja bym go utożsamiał ze sprawcą wszystkich tajemniczych kradzieży. Od paru lat są one popełniane w tym rejonie i do dzisiejszego dnia pozostały nie wykryte. Uważam, że trzeba powrócić do tamtych spraw. Może teraz znajdziemy w nich jakąś nić przewodnią, która wtedy uszła naszej uwagi. Zresztą im więcej tego rodzaju przestępstw, tym większym materiałem operuje śledztwo. Trzeba to wszystko powyciągać z archiwum i przestudiować na nowo.

- Pan prokurator przypuszcza, że tamci złodzieje i ten morderca to jedna i ta sama osoba? - zdziwił się porucznik.

- Każdy przestępca zazwyczaj opracowuje tylko jeden schemat popełniania swojego czynu. Schemat ten stosuje tak długo, dopóki nie wpadnie. Kieszonkowiec nie rozpruwa kas. Włamywacz, który raz dobrał się do sklepu od piwnicy, później stale używa tego samego sposobu i tych samych narzędzi. Przecież po technice włamania często od razu wiadomo, kto jest sprawcą.

Porucznik uśmiechnął się.

- O tym my z milicji doskonale wiemy. Dlatego też nie łączę morderstwa przy Buczka z kradzieżami w tym rejonie.

- Dlaczego? Skoro teraz już wiemy, że przestępca dostał się do pustego mieszkania za pomocą podrobionych kluczy? A więc tak samo jak we wszystkich poprzednich siedmiu wypadkach kradzieży. Że przedtem nikogo nie zamordował, to jedynie szczęśliwy zbieg okoliczności. Nikt mu nie przeszkodził w robocie. Również i na Buczka nasz zbrodniarz przyszedł bez zamiaru popełniania mordy. Zdecydował się na zabójstwo widząc, że złapany zostaje na gorącym uczynku kradzieży.

- Zgadza się z tym wszystkim, panie prokuratorze - potaknął porucznik - jest jednak zasadnicza różnica w technice dokonywania przestępstwa. Podczas tamtych siedmiu kradzieży złodziej starał się nie pozostawić najmniejszych śladów swojej roboty. Każdy przedmiot i każda sztuka bielizny leżały

w szafie na miejscu. Przeszłownik brał biżuterię i pieniądze, po czym ułatniał się. Lokatorzy tych mieszkań nieraz przez dłuższy czas nie orientowali się, że ich okradziono. To było robione bardzo sprytnie. A przy Buczka zupełnie inaczej. Przeszłownik nie tylko nie usiłował ukryć swoich poczynań, ale jeszcze z dziwnym wandalizmem demolował urządzenia, niszczył rzeczy gospodarzy. Wiele książek powrywał z oprawy. Biurko otwierał siekierą, zupełnie nie licząc się z tym, że je niszczy, chociaż ten sam skutek mógł osiągnąć bez tak brutalnego posługiwania się ostrzem topora. Zbił lustro. A już szczytem było pastwienie się nad cennym obrazem Masłowskiego i połamanie złoconych ram. Oczywiście koperta z pieniędzmi mogła być schowana z tyłu za blejtrmem. To nawet często używany schowek, ale po co niszczyć obraz i łamać ramy? I to jest zasadnicza różnica.

- Pewno denerwował się, że nie może znaleźć pieniędzy. Szukał coraz bardziej gorączkowo. Tym należy chyba tłumaczyć jego zachowanie - wtrąciła Hanka.

- Dlaczego miał się denerwować? O przyjeździe Rosińskiej nic nie wiedział. Znając natomiast obyczaje domu, a musiał je przecież znać, to założenie jest nie do obalenia, był zupełnie pewny, że aż do godziny drugiej może swobodnie poruszać się w pustym mieszkaniu. Zresztą niszczenie książek, obrazów, wyrzucanie bielizny z szaf zajmuje więcej czasu niż spokojne szukanie pieniędzy.

- To też racja - przyznał prokurator.

- Poza tym jest jeszcze jedna różnica. Także nie bez znaczenia. Tamten złodziej czy tamci złodzieje nie gardzili niczym wartościowym. Z dwóch mieszkań zabrali nawet futra. W czterech bodaj nie darowali srebra, nie mówiąc już o biżuterii. Zbrodniarz z ulicy Buczka polował wyłącznie na gotówkę. Zostawił w mieszkaniu cennych rzeczy na wiele, wiele tysięcy złotych. Choćby srebra stołowe, które pani Legatowa ma jeszcze po dziadkach, a które dla znawcy przedstawiają dużą wartość.

- A jednak chciałbym zapoznać się z historiami tych kradzieży. Niech pan przyśle mi akta milicyjne. Chętnie je przestudiuję.

- Jutro pan prokurator będzie je miał. Naturalnie przejrzy je również. Może rzeczywiście się mylę? W tej sprawie obawiam się stawiać jakiejkolwiek hipotezy. Tym bardziej w obecności panny Wróblewskiej. Znowu gotowa pobić mnie na głowę i wykazać, że my, mężczyźni, nie nadajemy się do prowadzenia dochodzenia.

- Dobrze, że pan to wreszcie przyznał - roześmiała się Hanka. - Jako amator, a tak mnie pan porucznik ciągle nazywa, miałabym też jedną prośbę. Nie wiem, czy do pana prokuratora, czy do przedstawiciela MO?

- Proszę, o co chodzi?

- Chciałabym i ja mieć listę tych tajemniczych kradzieży.

- Może pani chce przejrzyć akta? - zaofiarował się prokurator. - Wprawdzie to wbrew przepisom, ale po pierwsze sprawy na pewno są już umorzone, po drugie pani oddała śledztwu tak wielkie usługi, że możemy zrobić wyjątek.

- Dziękuję, panie prokuratorze. To nawet niepotrzebne Zadowolę się nazwiskami okradzionych, ich adresami ora datami kradzieży.

- Widzę, że nasz kobiecy Sherlock Holmes nosi w kieszonce garsonki jakąś nową koncepcję - roześmiał się prokurator. - Niech pan się strzeże, poruczniku, przed nowymi blamażem.

- Może nie będzie tak źle, może i nam z MO coś się udają A co do listy, o którą chodzi, jutro, kiedy się zobaczymy, doręczę ją pani.

Rozdział X

Człowiek w masce

Jednakże nazajutrz Hanka Wróblewska nie zgłosiła się o zwykłej porze do gmachu komendy milicji, gdzie na próżno oczekiwał ją porucznik Widerski. Dziewczyna jak zwykle wracała do domu kilka minut po pierwszej, prosto z wykładów. Spokojnie wchodziła na górę. Na pierwszym piętrze, przed mieszkaniem Deublów, ktoś stał. Widocznie przed chwilą zadzwonił i czekał na otwarcie drzwi. Mężczyzna nie zwracał najmniejszej uwagi na mijającą go osobę. Był odwrócony do niej plecami.

Hanka również mu się nie przyglądała, ale kiedy wchodziła na stopnie schodów prowadzących na wyższe piętro, usłyszała za sobą ciche, lekkie kroki. Wtedy odwróciła się nagle i to uratowało jej życie.

Zobaczyła podniesione ramię z czymś z jasnego metalu w zaciśniętej pięści. Pod czapką nie było twarzy, jedynie coś czarnego, na pół przezroczystego. Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie i odruchowo podniosła rękę, usiłując w ten sposób zasłonić głowę. W tym samym ułamku sekundy spadł cios. Hanka poczuła przeszywający ból w przedramieniu i czaszce i bez przytomności runęła na stopnie schodów.

Pierwsza usłyszała alarm Danusia Deublówna. Miała akurat wolny dzień po nocnym dyżurze w telewizji. Znajdowała się w pokoju blisko drzwi wejściowych. Kiedy je otworzyła, na klatce schodowej nie było już napastnika. Nie słyszała też, żeby ktoś zbiegał na dół lub wbiegał na górne piętra. Tylko na podeście schodów, tuż przy drzwiach do mieszkania Deublów, leżała bez przytomności Hanka Wróblewska.

Jej przeraźliwy krzyk usłyszeli i inni. Z drugiego piętra zbiegli się również mieszkańcy tej części domu. Nieprzytomną dziewczynę wniesiono do mieszkania państwa Deublów i położono na kanapce. Kobiety usiłowały ją ocucić. Jeden z mężczyzn zadzwonił po pogotowie. Za parę minut przyjechała karetka.

Po pobieżnym badaniu lekarz stwierdził, że utrata przytomności nastąpiła wskutek silnego uderzenia w głowę. Natychmiast zniesiono pacjentkę do samochodu i przewieziono do szpitala, ponieważ zachodziła obawa uszkodzenia kości ciemieniowej czaszki i wstrząsu mózgu. Na szczęście rentgen nie potwierdził tych obaw. Podniesiona ręka i ciepła czapka w dużej mierze osłabiły siłę ciosu. Lekarz pogotowia, zgodnie z przepisami, zawiadomił milicję.

W komendzie milicji nazwisko Anny Wróblewskiej, z racji jej współpracy z porucznikiem Widerskim, było dobrze znane, toteż przede wszystkim jego zawiadomiono o wypadku. Roman Widerski pojechał do szpitala, by uzyskać tam informację, że życiu dziewczyny nie zagraża niebezpieczeństwo i w ciągu godziny, najdalej dwóch odzyska przytomność. Ze szpitala porucznik udał się na Buczka pod dziewiętnasty, aby rozpocząć dochodzenie w drugiej już, tym razem na szczęście nieudanej, zbrodni.

Niestety - teraz również nie można było znaleźć jakichkolwiek śladów, które pomogłyby milicji w ustaleniu przestępcy. Panna Deublówna, a ona przecież pierwsza zareagowała na krzyk na schodach i natychmiast pośpieszyła na ratunek, zeznała, że w momencie, kiedy uchyliła drzwi wejściowe swojego mieszkania, na schodach panowała kompletna cisza. Po zadaniu ciosu napastnik widocznie błyskawicznie ulotnił się i nim dziewczyna otworzyła zamki przy drzwiach, on zdołał zbiec z pierwszego piętra na dół.

Jeden z wywiadowców odszukał kilkoro dzieci, które w tym czasie bawiły się na pasie spacerowym biegnącym środkiem ulicy Buczka. Mali świadkowie kategorycznie twierdzili, że nikt obcy nie wybiegał ani nie wychodził frontowym wejściem kamienicy. Przestępca mógł jednak nie próbować nawet ucieczki tą drogą. Wystarczyło wydostać się na podwórze, przejść przez nie i wyjść bramą od ulicy Mazurskiej, aby zatrzeć po sobie ślady.

Mieszkańcy górnych pięter, którzy zjawili się na ratunek prawie jednocześnie z Danusią, nikogo podejrzanego również nie zauważyli.

Z ulicy Buczka porucznik powrócił do szpitala. Tymczasem Hanka odzyskała już przytomność. Trochę bolała ją głowa, ale bardziej dokuczała stłuczona ręka. Na szczęście i tutaj kości nie były naruszone. Dziewczyna wyklócała się o powrót do domu, lecz lekarze nawet nie chcieli o tym słyszeć. Obiecywali, że może po trzech, czterech dniach, po przeprowadzeniu szczegółowych badań i upewnieniu się, że nie ma żadnych komplikacji, zgodzą się wypisać ją ze szpitala.

- Udało mi się - dziewczyna usiłowała nadrabiać miną - detektyw-amator ma jednak szybki refleks. Ale ręka boli mnie jak wszyscy diabli.

- Jak to było, panno Haniu? - dopytywał się porucznik.

- Ba! Żebym to ja wiedziała. Okazuje się, że łatwiej być spostrzegawczą w cudzych sprawach niż we własnej. Właściwie to ja nic nie wiem.

- Zacznijmy od samego początku. Co pani robiła rano?

- Wyszłam rano przed dziewiątą i poszłam na akademię.

- Czy zauważyła pani kogoś kręcącego się w pobliżu lub na ulicy?

- Nie. Nikogo.

- Schodziła pani ze schodów sama czy też z kimś?

- Sama. Przede mną szedł sąsiad z trzeciego piętra, ale z nim nie rozmawiałam. Niewiele go zresztą znamie Mieszka dopiero od czterech lat. A my wszyscy od początku.
- Co było dalej?
- Wykłady skończyły się kwadrans przed pierwszą. Z akademii wróciłam prosto do domu.
- Znowu pani nikogo nie zauważyła?
- Nikogo. Ponieważ dzień był ładny, na ulicy bawiły się dzieci. Niektóre z naszej kamienicy, inne z sąsiednich. Było ich bodaj z dziesięcioro.
- Czy spotkała pani jakichś znajomych?
- Nie. Nikogo.
- Dobrze. Co było dalej?
- Weszłam do domu i zaczęłam wchodzić po schodach na górę. Na pierwszym piętrze, przed drzwiami państwa Dubelów, stał jakiś mężczyzna.
- Jak wyglądał?
- Nie rzucał się specjalnie w oczy. Nie przyglądałam mu się. Był odwrócony tyłem. Pewnie czekał na otwarcie drzwi. Chciałam nawet mu powiedzieć, że w mieszkaniu państwa Deublów o tej porze nikogo nie ma.
- Byli. Panna Danka Deubel miała wolny dzień i była w domu. Ona pierwsza przyszła pani z pomocą. Ale twierdzi, że do nich nikt nie dzwonił. Czy ten mężczyzna był wysoki?
- Wyższy ode mnie.
- Niewiele mi to mówi. Jak na kobietę jest pani dość wysoka. Chyba metr sześćdziesiąt pięć...
- Nawet siedem.
- Ale mężczyznę o tym wzroście uważamy za niskiego. Dużo był wyższy od pani?
- Chyba nie. Powiedziałabym wzrost średni.
- A budowa ciała?
- Nie wiem. Miał na sobie luźny płaszcz.
- Jakiego koloru?
- Ciemny. Może brązowy?

- Może czy na pewno?

- Może.

- A kolor włosów?

- Nie widziałam. Na głowie nosił czapkę. Cyklistówkę. Na pewno ciemną, chyba czarną. Jeszcze jedno, kołnierz u płaszcza miał podniesiony.

- Nie odwrócił się słysząc pani kroki?

- Nie, cały czas stał tyłem.

- A później?

- Minęłam piętro i, nie zwracając uwagi na tego człowieka, zaczęłam wchodzić wyżej. Wtedy usłyszałam za sobą kroki. Bardzo ciche. Dlatego właśnie odwróciłam się. Kroki były za ciche, po prostu skradał się.

- Zobaczyła go pani?

- Kiedy odwróciłam się, był tuż za mną. Przede wszystkim zauważyłam podniesioną rękę. Trzymał w niej coś jasnego.

- Siekiera? Młotek? Kawał żelaza?

- Raczej kawał żelaza. W każdym razie nie siekiera. Podniosłam rękę nad głowę i zaczęłam krzyczeć. Nie zdążyłam jednak zasłonić się całkowicie, bo dostałam i w rękę, i w głowę. Ręka boli mnie Więcej. Dalej już nic nie pamiętam. Zrobiło mi się czarno w oczach, poczułam, że lecę. Obudziłam się na łóżku w szpitalu.

- A twarz tego mężczyzny? Oczy?

- On nie miał twarzy. To było najbardziej przerażające. Pod daszkiem czapki była tylko jakaś czarna plama, bez oczu i bez ust. Jedyne nikły zarys nosa.

- Czy tak?

Porucznik wyjął z kieszeni munduru kawałek czarnej, jedwabnej damskiej pończochy i naciągnął ją na twarz. Dziewczyna wzdrygnęła się ze strachu.

- Tak samo. Teraz mogłabym przysiąc, że to był pan porucznik - roześmiała się blado.

- Na szczęście mam alibi - oficer MO powiedział to pół żartem, pół serio.

- Miał ciemną pończochę na twarzy. Teraz rozumiem...

- Przypuszczam - dodał Widerski - że napastnik miał przygotowaną maskę. Kiedy pani go minęła, jednym ruchem ściągnął ją z czoła w dół na całą twarz i po wyjęciu łomu czy innego żelaza z kieszeni płaszcz, ruszył w pogoń za panią. Zrobił to jednak nieco za głośno. Nie przyszło mu na myśl, że powinien zdjąć buty. Gdyby był w samych skarpetkach, nie usłyszałaby pani jego kroków.

- Na pewno - zgodziła się dziewczyna - właśnie zastanowiły mnie ciche odgłosy stąpania. Gdyby to robił głośniej, bardziej otwarcie, kto wie, czy zwróciłabym uwagę na to, że ktoś idzie za mną?

- No cóż, w tej sytuacji nawet nie pytam, czy pani mogłaby go poznać.

- Nie.

- Byłem już na Buczka, aby dowiedzieć się czegoś na gorąco, lecz niczego nie osiągnąłem. Przestępca jak gdyby rozpułynał się w powietrzu. Nikt go nie widział ani wychodzącego z kamienicy, ani nikt nie słyszał, żeby jakiś człowiek szybko zbiegał po schodach. Przypuszczałem, że dla zmylenia pościgu napastnik pobiegł na górę, ale i to nie znalazło potwierdzenia. Pani alarm usłyszano aż na trzecim piętrze. Ludzie, którzy stamtąd wybiegli, również nikogo nie zauważyli. A swoją drogą dobrze, że pani tak donośnie krzyknęła. Przestępca bał się dokończyć swojego dzieła. Nie zaryzykował już drugiego uderzenia, chociaż, jak widać, bardzo mu zależało, aby pani powiększyła grono aniołków.

- Tego właśnie nie mogę zrozumieć. Dlaczego chciał mnie zabić? Przecież żadnych skarbów przy sobie nie noszę. W domu nie mamy niczego cennego, bo u nas się nie przelewa. Mama z trudem wiąże koniec z końcem i dokonuje prawdziwych cudów, żebyśmy były przyzwoicie ubrane i żeby starczyło na jedzenie.

- Motywy zabójstwa nie były natury materialnej - odpowiedział porucznik.

- A więc zemsta za to, że zajęłam się sprawą i udało mi się z tym masłem?

- Jeżeli nawet założyć, że morderca wie o pani odkryciu, zemsta jest mało prawdopodobna. Tak nawiasem mówiąc ciekawy jestem, czy pani opowiedziała komuś o naszej współpracy i o swoich wynikach?

- Wie o tym przede wszystkim całe moje towarzystwo, przecież to ono zmusiło mnie, żebym zgłosiła się do milicji. A o wynikach nikomu nie mówiłam prócz pani Popiela i pana Deubla.

- Dziękuję, wystarczy! A więc wiedzą wszyscy. Tajemnica powierzona dwum osobom, jest powierzona tysiącom. Nie przyszło mi do głowy, aby panią uprzedzić, że należy zachować ścisłą dyskrecję. Ale czy mogłem przypuszczać, że mając tak dobre wyniki pracy, może pani być jednocześnie aż tak naiwna i lekkomyślna? Za to zapłaciła pani własną głową. I to dosłownie.

- Więc jednak zemsta.

- Nie. Po prostu strach. Przestępca albo obawia się, że po pierwszych rewelacjach pani może dokonać następnych odkryć, które już bezpośrednio doprowadzą do zdemaskowania go, albo też lęka

się..

- Czego?

- Tego, co pani nazwała swoim „majakiem”. W dniu zbrodni schodziła pani po schodach i spotkała kogoś wchodzącego na górę. Właśnie zbrodniarza. On panią zna i żyje pod grozą, że pani go zapamiętała albo że może pani jeszcze sobie przypomnieć, kto to był. Dlatego wolał nie ryzykować czekania, wybrał uderzenie.

- To było prawdziwie „mocne uderzenie” - roześmiała się dziewczyna - mam jednak trochę szczęścia.

- Uważam, że dużo. Nawet o wiele więcej niż rozumu.

- Nie wolno dokuczać chorym - broniła się Hanka.

- Dobrze, już nie będę. Ale teraz jestem całkowicie przekonany, że to nie był sen, lecz pani rzeczywiście widziała mordercę. Co więcej, musi go pani znać. Gdyby pani mogła sobie przypomnieć, kto wchodził wtedy na górę, sprawa byłaby zakończona.

- Nic z tego. Tyle razy próbowałam. Bez skutku.

- Niech pani jeszcze raz spróbuje. Tu, w szpitalu. Kilka dni zupełnego spokoju może dać odpowiedni rezultat.

- Zaraz „kilka dni”. Najdalej jutro stąd się wynoszę. Albo jeszcze dziś wieczorem.

- Mowy nie ma. W szpitalu jest pani bezpieczna. Kiedy pani będzie go opuszczała, zastanowimy się nad zapewnieniem opieki. W najgorszym razie damy pani na kilka dni ochronę.

- Tajniaka? Żeby za mną stale chodził? Dziękuję pięknie. Nie zgadzam się.

- Jak pani woli. Nie wątpię, że prokurator Szczerbiński da się namówić na zastosowanie względem pani aresztu ochronnego. - Porucznik mówił to prawie poważnie. - To” byłoby nawet pewniejsze. Istnieje powiedzenie „do trzech razy sztuka”. Raz nie udało się facetowi pani sprzątnąć, kto nas zapewni, że nie ponowi swoich usiłowań?

- A moja lista? - upomniała się Hanka.

- Przyniosę ją pani jutro. Tutaj, do szpitala. Teraz idę do prokuratora, muszę złożyć mu raport - porucznik pożegnał chorą.

Prokurator Witold Szczerbiński uważnie wysłuchał opowiadania oficera milicji o zamachu na Annę Wróblewską.

- Mamy sygnał - stwierdził - że morderca nadal znajduje się w kręgu osób kręcących się w okolicach domu przy ulicy Buczka. Jest więc albo jednym z jego mieszkańców, albo osobą, której

pobyt tam nie wzbudza żadnego zdziwienia. Natomiast jego czyn wyraźnie świadczy o tym, że nasz przestępca popadł w panikę. Czuje się poważnie zagrożony i boi się, że w każdej minucie może zostać zdemaskowany. Uważa też, że klucz do rozwiązania zagadki znajduje się w rękach dziewczyny. Dlatego chciał ją zmusić do milczenia. Raz na zawsze.

- Będziemy musieli zapewnić jej jakąś ochronę po wyjściu ze szpitala. Ona wprawdzie nie chce o tym słyszeć i postraszyłem ją aresztem ochronnym, ale wydaje mi się to konieczne.

- Oczywiście - przytaknął prokurator - chociaż bardzo wątpię, żeby przestępca zechciał powtórzyć napad. Przecież to ogromne ryzyko z jego strony.

- W tej chwili nie ma właściwie nic do stracenia. Gdyby złapano go zaraz po morderstwie Rosińskiej, miałby jeszcze argument, że zabił pod wpływem strachu, ponieważ przychwyciła go na gorącym uczynku kradzieży. Twierdziłby, że działał w silnym podnieceniu, nie wiedział, co czyni. Teraz tego rodzaju tłumaczenia nie pomogą. Napad na Wróblewską był na zimno zaplanowaną próbą zabójstwa.

- Ma pan rację - zgodził się prokurator - spalił za sobą wszystkie mosty. Liczę na jego dalsze błędy. Zastanawia mnie jednak to, że on tak szybko zdołał stamtąd zwać. Nikt go nie widział i nikt nie słyszał nawet jego kroków.

- Przypuszczam, że wcale nie uciekał.

- To co zrobił? Rozpłynął się w powietrzu? Poruczniku...

- Po prostu jeszcze raz posłużył się kluczami do mieszkania Legatów..

- A to mi nie przyszło na myśl.

- Tak sędzę - powiedział porucznik. - Kiedy przestępca doszedł do wniosku, że należy zabić Wróblewską, przyszedł rano na Buczka. Mówię „przyszedł”, chociaż nie wykluczam, że mieszka w tym domu. Tutaj otworzył mieszkanie Legatów i wszedł do środka. Stojąc w oknie, czatował na dziewczynę. Zobaczył ją na ulicy idącą w stronę domu, wyszedł z mieszkania Legatów, lecz nie zatrzasnął drzwi, a jedynie je przytknął. Stał przed drzwiami mieszkania naprzeciwko, czyli przed drzwiami mieszkania Deublów, i udając człowieka, który przed chwilą zadzwonił, czekał na swoją ofiarę. Uderzył ją i z powrotem skrył się u Legatów, tym razem zamykając drzwi. Przeczekał cały alarm w przedpokoju Legatów i kiedy wszyscy zajęci byli ratowaniem dziewczyny, spokojnie wymknął się z kamienicy.

- To było z jego strony ogromnie ryzykowne.

- Przeciwnie, panie prokuratorze. W tej sytuacji to było najmniejsze ryzyko, jakie mógł wybrać. Wiedział dobrze, że od rana aż do godziny pół do trzeciej mieszkanie stoi zupełnie puste, z wyjątkiem tego dnia, kiedy pani Popielowa sprząta je rano. Doskonały punkt obserwacyjny. Na ulicy lub na klatce schodowej mogliby go spostrzec i poznać. W mieszkaniu był zupełnie bezpieczny. A po napadzie droga do tego mieszkania była najkrótsza. Dwa skoki, ciche przytknięcie drzwi. Nic

dziwnego, że Deublówna, która po alarmie pierwszej wybiegła na schody, ani nikogo nie widziała, ani nie słyszała kroków uciekającego.

- Może tym razem zostawił w mieszkaniu Legatów jakieś ślady, pozwalające na zidentyfikowanie go?

- Pan go nie docenia, prokuratorze. On jest zręczny i ostrożny. Posłałem tam wywiadowcę Kardasia. Niczego nie znalazł. Wszyscy domownicy: Legatowie i ich dzieci nie spostrzegli niczego, co by świadczyło o czyimkolwiek pobycie w ich mieszkaniu.

- Powinni jednak natychmiast zmienić zamki.

- Mam nadzieję, że Kardaś przekonał ich o tym. Nie na długo zresztą to im pomoże.

- Dlaczego?

- Skoro przestępca już raz zdobył klucze od ich mieszkania, to w razie potrzeby drugi raz poradzi sobie w ten sam sposób.. Przecież należy do kręgu znajomych Legatów. Stoi poza wszelkimi podejrzeniami. Jestem pewien, że przy Buczka zna go więcej osób. Między innymi i panna Wróblewska. To był zasadniczy powód napadu. Jest niezauważalny, bo po prostu wszyscy przyzwyczaili się do codziennej jego obecności.”

- Niekoniecznie. Może być znajomym Legata lub jego żony. Choćby z miejsca pracy. To wcale niewykluczone.

- To nie było wykluczone aż do chwili napadu na Wróblewską. Obecnie ta hipoteza odpada, zaś krąg ludzi, spośród którego rekrutuje się morderca, wybitnie się zawęził. Uważałbym to za najbardziej dodatnią stronę tego napadu. Przecież kolega z pracy albo Legatowej, albo jej męża nie znałby wcale panny Wróblewskiej i nie miałby żadnych obaw, że ona może go rozpoznać.

- Ma pan rację, poruczniku.

- A poza tym jeszcze jeden argument. Panna Hanka nie miała nic lepszego do roboty, jak o swoich odkryciach opowiedzieć sprzątacze Popieli i sąsiadowi Legatów, Deublowi. Naturalnie wieść rozeszła się po całej kamienicy. Dopiero wtedy morderca poczuł się zagrożony. Bo wtedy dowiedział się, że Hanka współpracuje z nami. Stąd jasny wniosek, że przestępca jest albo mieszkańcem kamienicy przy Buczka dziewiętnaście, albo utrzymuje kontakt z lokatorami tego domu.

- Ta Popiela powiedziała o odkryciu panny Hanki przede wszystkim swoim państwu. Legatowie mogli to rozgadać również w miejscu pracy.

- Możliwość taka istnieje - zawahał się porucznik - ale kolega z biura lub nauczyciel ze szkoły pani Legatowej nie znałby zwyczajów panny Wróblewskiej. Nie wiedziałby, że dziewczyna wraca zazwyczaj do domu w porze, kiedy mieszkanie na pierwszym piętrze jest puste i może służyć najpierw za punkt obserwacyjny, a później za kryjówkę po napadzie. Zresztą przeprowadziliśmy dość szczegółowy wywiad środowiskowy. Zarówno w miejscu pracy Legata, jak i w szkole jego żony, wszyscy mieli alibi. Nikt nie opuścił dnia pracy, a jeśli wychodził do miasta, to nie miałby tak

długiego, „okienka”, żeby zorganizować kradzież zakończoną zabójstwem. Alibi na dzień dzisiejszy znowu sprawdzamy.

W tej chwili zadzwonił telefon. Prokurator podniósł słuchawkę i oddał ją oficerowi milicji.

- To do pana, poruczniku.

Widerski wysłuchał kilku zdań i podziękował.

- Telefonowali z komendy - wyjaśnił. - Dopiero co dzwoniła tam Hanka Wróblewska. Chciała mówić ze mną. Kiedy dowiedziała się, że jestem poza gmachem, prosiła, aby mnie odszukano i przekazano pewną wiadomość. Hanka przypominała sobie, że płaszcz, jaki nosił mężczyzna, który dokonał na nią napadu, jest własnością Józefa Legatów.

- To wprost nieprawdopodobne - zawołał prokurator - chociaż nie takie rzeczy zdarzają się na tym najlepszym ze światów. Okraść siebie samego i zabić teściową. Potworne!

- Nie, panie prokuratorze. Tak nie było. Sprawdzaliśmy również alibi Legatów. Obydwoje są w porządku.

Rozdział XI

Nowa kradzież

Dopiero po sześciu dniach Hanka Wróblewska mogła opuścić szpital. Uderzenie okazało się silniejsze, a jego skutki poważniejsze, niż oceniono to w pierwszej chwili. Szok wywołany napadem ustępował powoli.

Przez ten czas porucznik Roman Widerski prowadził gorączkowo dochodzenie. Ustalono, że płaszcz, którym okrył się morderca, wisiał w mieszkaniu państwa Legatów na jednym z dwóch wieszaków w przedpokoju. Okrycia tego właściciel używał wyłącznie do jazdy samochodem. Teraz, po sprzedaży wozu, płaszcz nie nosił. W kieszeniach jesionki niczego nie znaleziono.

Również poszukiwania mordercy drogą wykrycia, który z mieszkańców domu czy kolegów państwa Legatów w miejscach pracy nie może wykazać się alibi, zupełnie zawiodło. Za to w tych samych dniach zdarzyło się coś, co znowu postawiło na nogi całą komendę. Przy ulicy Mazurskiej, koło Podhalańskiej, jedno z mieszkań zajmowało małżeństwo Maria i Tadeusz Iwanowscy. Starszy syn przed rokiem ukończył wydział prawny na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, po czym dostał aplikanturę sądową w Gdańsku. Młodszy, Grzegorz, był w jedenastej klasie i przygotowywał się do matury. Iwanowski pracował w Zarządzie Portu. Jego żona w Miejskiej Radzie Narodowej.

Tego dnia Grzegorz wrócił ze szkoły około godziny trzeciej. Kiedy otworzył drzwi do mieszkania, spostrzegł panujący tam bałagan. Wszystkie szafy i szuflady były pootwierane. Na środku jednego z dwóch pokoi piętrzył się mały stosik bielizny i ubrań. Chłopak rzucił okiem do wnętrza jednej z szaf i spostrzegł, że zniknął jego nowy garnitur, sprawiony już z myślą o maturze.

Natychmiast zatelefonował do matki, która po powrocie do domu zaalarmowała milicję. Straty były znaczne. Zabrano wszystkie lepsze rzeczy. Na szczęście w domu nie przechowywano gotówki, ale złodziej połasczył się nawet na stary, zepsuty zegarek pana domu. Jak stwierdzono nieco później, złodziej czy też złodzieje zapakowali rzeczy odłożone do zabrania w dwie duże walizki, które znaleźli na pawlaczu w przedpokoju.

Ogółem skradziono dwa garnitury pana domu, ubranie syna, trzy letnie płaszcze ortalionowe, cztery koszule non iron, używane, ale w dobrym stanie. Poza tym złodziej zabrał nowiutką garsonkę pani Marii, kupioną zaledwie przed dwoma tygodniami, trzy inne sukienki, dwie spódniczki, dwa sweterki oraz całą lepszą bieliznę.

Już przy pobieżnych oględzinach mieszkania można było stwierdzić, że złodzieje gospodarując w cudzym lokalu wcale się nie śpieszyli. Każdą rzecz oglądali dokładnie, po czym albo pakowali do jednej z waliz, albo rzucali na podłogę. Początkowo rabusie, czy też jeden rabuś, zapakowali kołdry, poduszki i bieliznę pościelową w wielki tłumok. Później jednak rozmyślili się i pozostawili go w mieszkaniu; widocznie w obawie, że niosąc dużą paczkę mogą wzbudzić zrozumiałe zainteresowanie choćby przechodzącego ulicą patrolu. Co innego dwie walizki. Wystarczy dojść do postoju taksówek i szukaj wiatru w polu.

Ale nie to zastanowiło fachowców z milicji. Ich uwagę zwrócił przede wszystkim fakt, że kiedy Grzegorz przyszedł ze szkoły, mieszkanie było zamknięte jak zwykle na zatrask i na zasuwę. Pani Maria, która ostatnia wychodziła do pracy, przypomniała sobie dokładnie, że zamknęła drzwi i, jak to miała w zwyczaju, jeszcze potem nacisnęła klamkę, aby upewnić się, że zamki trzymają. A więc znowu zagadka.

Milicja doskonale orientowała się, że przestępca musi być wybitnym specjalistą w swoim fachu. Takiej operacji otworzenia trzech zamków bez pozostawienia najmniejszych nawet śladów swojej roboty nie dokona początkujący złodziejaszek. Wprawdzie nie ma na świecie zamka, którego nie można by w końcu otworzyć, ale jest to praca zarówno skomplikowana, jak i wymagająca dłuższego czasu. Trudno przypuścić, żeby włamywacz mógł na klatce schodowej dużego, kilkupiętrowego domu spokojnie operować przez parę godzin i żeby to nie zwróciło niczyjej uwagi. Cały proces dobrania odpowiednich wytrychów i wejścia do mieszkania musiał trwać nie dłużej niż dziesięć, a najwyżej piętnaście minut. Tak więc zwykły złodziej użyłby raczej siekiery niż skomplikowanych narzędzi, które mogłyby pokonać opór aż trzech zamków.

Gdyby w drzwiach mieszkania państwa Iwanowskich znajdował się jedynie zamek „cuhaltowy” i zasuwą, milicja uznałaby, że kradzieży dokonał jeden z włamywaczy, wyspecjalizowany w dobieraniu wytrychów do pustych mieszkań.

W drzwiach tkwił jednak jeszcze zatrask. Dobranie do niego odpowiedniego wytrychu było o wiele trudniejsze. Zamka tego typu nie można otworzyć ani wytrychem, ani innym narzędziem. Trzeba mieć albo trzeba dopasować odpowiedni klucz. Ponieważ był to zamek samozatraskujący się, więc trudno nawet było przypuścić, że pani Maria zapomniała w pośpiechu go zamknąć. Zresztą złodziej-fachowiec, widząc w drzwiach takie zabezpieczenie, nie traciłby czasu na próby otworzenia pozostałych.

Nasuwał się zatem jeden jedyny wniosek. Złodziej posiadał komplet kluczy do tego mieszkania, podobnie jak do mieszkania przy ulicy Buczka dziewiętnaście, gdzie zamordowano Łucję - Rosińską.

W tej sytuacji komendant, kiedy dowiedział się o nowej kradzieży i sposobie jej dokonania, powierzył dochodzenie Romanowi Widerskiemu.

Porucznik zjawił się na miejscu przestępstwa w jakieś dwie godziny po alarmie wszczętym przez panią Iwanowską. Ekipa śledcza gospodarowała jeszcze w najlepsze. Właśnie przy stole kuchennym siedział specjalista i przez powiększające szkło oglądał wszystkie zamki” które wykręcił z drzwi wejściowych.

- Tak jak przy Buczka, poruczniku - powiedział - naj’3 mniejszych śladów dorabiania wytrychu lub też próby podważenia zatrzasku przez wciśnięcie blaszki. Nic z tych rzeczy.

- Łobuz musiał mieć prawidłowe klucze do wszystkich zamknięć. Ja już swoje skończyłem. Jeszcze tylko wkręcę lo z powrotem.

- Nazbierałem śladów od cholery i trochę - chwalił się.; mistrz daktyloskopii. - Będę miał, roboty na cały dzień, chociaż już na oko widać, że to domowników, państwa Iwanowskich i ich syna. Zobaczmy, może znajdzie się jednak coś, ekstra.

- Panie poruczniku, czy są jakieś szanse? - dopytywała się’ pani Maria.

Iwanowskich zgnębiła kradzież. Straty, sięgające dwudziestu tysięcy złotych, były dla nich bardzo dotkliwe. Mąż i synl zostali dosłownie w tym, co mieli na sobie. Kobięcie złodziej; pozostawił jedynie letnie sukienki. Rozumował, i słusznie, że w grudniu będzie miał trudności z ich sprzedażą.

- Niech państwo nie martwią się - pocieszał ich porucznik. - Zrobimy wszystko, żeby odnaleźć złodzieja i odzyskać skradzione dobro. Jutro jest targ w Stargardzie, pošemy tam jednego z naszych ludzi. Mamy zresztą i inne swoje sposoby. Niech państwo przede wszystkim przypomną sobie dokładnie,’ co im skradziono, i możliwie najdokładniej opiszą każdy przedmiot.

- Już to zrobiliśmy - wtrącił się wywiadowca Kardaś - cały spis mam gotowy.

- Czy mieszkanie było ubezpieczone? - zagadnął oficer MO.

- Niestety nie. Tak zbieraliśmy się i zbierali, ale jakoś nigdy nie mogliśmy tego załatwić. Teraz mądry Polak po szkodzie - westchnął Iwanowski.

- Dobrze, że chociaż futro się uratowało. Mam piżmowce w niezłym jeszcze stanie. Włożyłam je dzisiaj. Zapowiadał się ładny dzień, mały mrozek, postanowiłam je przewietrzyć. Całe szczęście, bo inaczej też by zabrali.

Podczas gdy ekipa śledcza nadal szukała śladów i przesłuch i wała troje poszkodowanych, porucznik zastanawiał się nad podobieństwami i różnicami obydwu kradzieży, tej na Mazurskiej i uprzedniej przy Buczka.

Największe, podobieństwo: złodziej posiadał komplet trzech kluczy i za ich pomocą dostał się niepostrzeżenie do mieszkania. Po drugie wybrał lokal, który w dzień stoi pusty, gdyż jego właściciele znajdują się albo w miejscu pracy, albo w szkole. Po trzecie kradzieży dokonano mniej więcej w tych samych godzinach. Po czwarte złodziej doskonale orientował się w zwyczajach domowników i dokładnie wiedział, jak długo może gospodarować w pustym lokalu. W obydwu przypadkach nic nie świadczyło, żeby się śpieszył.

Na tym kończyły się podobieństwa. Były również i pewne różnice.

Najbardziej charakterystyczną z nich było to, że przy Buczka złodziej szukał wyłącznie pieniędzy. Jedyne w tym celu dokonał włamania. Pogardził cennymi srebrami, nie wziął tak drogiej rzeczy jak kupon angielskiego materiału. Nie ruszył innej odzieży domowników. A przecież Legatom powodziło się o wiele lepiej niż urzędniczemu małżeństwu przy Mazurskiej. Tu jednak włamywacz zabrał nawet używane, chociaż niezbyt zniszczone rzeczy. To było zastanawiające. Jeżeli ten sam człowiek dokonał tych obydwu włamań, to dlaczego za drugim razem wykazał taką łapczywość? Dwa tygodnie przedtem jego łupem padło osiemdziesiąt sześć tysięcy złotych. Czy potrzebne mu były używane koszule? Poza tym przy Buczka przestępca wiele przedmiotów zniszczył. Jak gdyby chciał się dodatkowo zemścić na właścicielu mieszkania za jakieś prawdziwe lub urojone krzywdy. Przy Mazurskiej złodziej przeglądał uważnie każdy ciuch. Jeśli ocenił, że coś przedstawiało małą wartość, odkładał na Jook. Letnich sukienek pani domu w ogóle nie wyjmował z szafy. Pozostawił je tak, jak wisiały na ramiączkach.

Jednym słowem - technika dokonania kradzieży ta sama, ale wykonanie zupełnie inne. Czyżby przestępca pragnął wprowadzić milicję w błąd, zmieniając system działania?

- Może bym panom zrobiła kawki? - zaproponowała pani Iwanowska. Słowa porucznika podniosły ją nieco na duchu.

- Bardzo dziękujemy - porucznik odmówił w imieniu całej ekipy śledczej.

- Zrób, zrób - poparł żonę Tadeusz Iwanowski. - Nam również przyda się łyk mocnej kawy po tych wszystkich emocjach.

- Jeszcze dobrze, że tak się skończyło - pocieszała się pani domu - czytałam w gazetach, że jakaś pani przyszła do domu, kiedy złodziej właśnie szukał pieniędzy, i została zamordowana.

- To niedawno. W pobliżu, przy Buczka - uzupełnił małżonek. - No, ale weź się za tę kawę.

To mówiąc pan domu otworzył drzwiczki sporego kredensu. Pani Iwanowska zaglądała tam przedtem, z ulgą stwierdzając, że nic nie zginęło. Mężczyzna dostrzegł jednak różnicę.

- Patrz, matka, ten łajdak wypił moją wódkę. Miałem prawie pół litra jarzębiaku, a teraz zostało nieco na dnie. A niech go diabli!

- Proszę nie dotykać! - ostrzegawczo zawołał porucznik i podbiegł do kredensu. - Która to butelka?

.Pytanie było właściwie zbyteczne. W kredensie znajdowały się bowiem różne puszki, między innymi z kawą, ale tylko dwie butelki. Jedna z sokiem wiśniowym, druga, w której na dnie rzeczywiście pozostały ze dwa kieliszki płynu podobnego do herbaty.

Specjalista od daktyloskopii doskoczył do kredensu. Ostrożnie, posługując się kawałkiem ligniny, wyjął z szafki butelkę z resztkami jarzębiaku i przeniósł ją na stół. Rozpylaczem pokrył szkło białym proszkiem. W kilku miejscach wystąpiły charakterystyczne ślady linii papilarnych. Teraz pracownik milicji przeniósł je na kartki specjalnego papieru i ostrożnie zamknął w kopercie. Umieścił na niej napis „butelka z wódką”. Cała rodzina Iwanowskich z zaciekawieniem przyglądała się tej robocie.

- Jak gdyby inne - ucieszył się milicjant? - wydaje mi się, że podobnych w mieszkaniu nie znalazłem.

- To dziwne - zauważył wywiadowca Kardaś. - Byłem przekonany, że złodziej operował w rękawiczkach. Zamki i klamki były zupełnie czyste.

- Ale w rękawicach, i do tego grubych, nie można wyjąć korka z butelki - roześmiał się jeden z milicjantów. - Pić też niewygodnie. Człowiek ciągle się boi, że mu szkło z ręki wyleci, butelka się stłucze, a wódka zmarnuje.

- Z czego on pił? - zainteresował się porucznik. - Może w kuchni, w zlewie, jest kieliszek lub szklanka?

- Nie ma niczego - wyjaśnił daktyloskopograf. - Kuchnię już zrobiłem. Pili z butelki, na miarę pod paznokieć.

- Sam pił. Żeby było dwóch, wypiliby co do kropelki. Jeden to pociągnął tylko kilka łyków, żeby się nie urznąć. Dlatego zostawił resztę.

- Myślałem - zmartwił się Iwanowski - że wesprzemy tę kawę chociaż kieliszeczkiem. A ten drań nawet butelce nie przepuścił.

- Nic szkodzi - pocieszał go jeden z milicjantów - przyjdziemy na oblewanie, kiedy państwu przyniesiemy z powrotem wszystkie rzeczy, które złodziej zabrał.

W tym momencie jeden z wywiadowców przyprowadził do mieszkania jakiegoś mężczyznę.

- Panie poruczniku - meldował - obywatel Mysłowski ma do zakomunikowania ciekawe wiadomości.

Edward Mysłowski pracował jako kolejarz na stacji towarowej w Basenie Górnośląskim, pełniąc funkcję maszynisty lokomotywy przetokowej. W tym tygodniu robota przypadała mu na nocnej zmianie, od dziesiątej wieczór do szóstej rano, i wobec tego całe dnie miał wolne.

- Co pan zauważył? - porucznik przerwał te wyjaśnienia w obawie, że dzielny kolejarz zechce mu opowiadać cały swój życiorys.

- Taka pogoda, to i nigdzie mi się specjalnie nie chciało wychodzić. Chyba po południu z dziećmi na spacer lub z żoną do kina albo po sprawunki. A jak od siódmej do jedenastej się prześpię, to mi zupełnie wystarczy. Dopiero przed pójściem do pracy znowu muszę ze trzy godziny przekimnąć.

Teraz porucznik już słuchał. Wiedział z doświadczenia, że na gadułę nie ma rady. Tym bardziej na gadułę, który z racji posiadanych wiadomości uważa siebie za bohatera dnia.

- Ale - ciągnął dalej maszynista - przedwczoraj wyszedłem około jedenastej z domu. Tylko po papierosy. Patrząc, a koło naszej kamienicy kręci się jeden. Wczoraj żona prosiła, żebym do południa wykupił buty od szewca. Też wyszedłem z domu. A ten facet znowu pęta się po ulicy. Jak gdyby na, kogoś czekał albo na coś uważał.

- A dzisiaj? Też pan go widział?

- Właśnie. Widziałem go. Wyszedłem po gazetę, że głowa trochę mnie bolała, to wstąpiłem na jedno piwo, przy Jagiellońskiej. Ale nic więcej, panie poruczniku - zastrzegł się kolejarz - jestem od dawna maszynistą i przepisy znam. Tylko jedno jasne. Wracałem przez Jedności Narodowej, bo chciałem obejrzeć w sklepie spodnie. Trzeba synowi kupić. Nie doszedłem do Mazurskiej i widzę tego samego gościa, jak dygu je dwie walizy. Takie brązowe, jedna związana sznurem, bo miała zamek urwany.

- To nasze, na pewno nasze! - wykrzyknęła Iwanowska z wypiekami na twarzy. - Ta większa miała jeden zamek zepsuty. Nie można było zamknąć.

- Jak wyglądał ten mężczyzna?

- Kulał na jedną nogę.

- Bardzo?

- Nie. Nie bardzo. Ale kiedy dźwigał walizy, widać było wyraźnie. Pamiętam nawet, że na lewą.

- A jaki był? Wysoki?

- Nie. Niższy ode mnie.

- To nie żadna sztuka - zauważył porucznik, bo maszynista był chłopem na schwał i miał ze sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu.

- Był dużo niższy - poprawił się kolejarz - z piętnaście centymetrów.

- A głowa? Co miał na głowie?

- Czapkę. W jasnobrązową jodełkę. Czapka była już podniszczona. Nie miał palta, tylko płaszcz, chociaż dzisiaj mroźno.

- A twarz? Widzieliście?

- Na twarzy okrągły. Koło ucha miał ciemną plamę wielkości wiśni. Widziałem ją dobrze, bo od tej strony go mijałem. Plama była po prawej stronie twarzy, trochę niżej niż ucho. Na górnej szczęce. Taką samą plamę, ale bardziej czerwoną miał mój brat cioteczny, ale on nie żyje. Już będzie z pięć lat...

Porucznik przyznał w duchu, że gadatliwy maszynista odznacza się dużą spostrzegawczością. Jest to zresztą w pewnej mierze charakterystyczne dla kolejarzy. Przecież ci ludzie muszą szybko reagować na znaki na torach. Sygnały, tarcze, światła zwrotnic to droga wolna lub niebezpieczna. Od błyskawicznego refleksu maszynisty zależy nieraz nie tylko jego życie, lecz i setek pasażerów.

- Z tego opisu - zauważył wywiadowca Leon Janik - przypomina mi się pewien cinkciarz. Nazywa się Baranowski, a na imię ma bodajże Franciszek. Wszyscy na niego wołali „Baran” albo „Kulas”. Różnie opowiadał o tym, dlaczego utyka na nogę. Podobno kiedyś usiłował sprzedać dwóm chłopom złotą dwudziestodolarówkę. Była fałszywa i żeby dobrze dzwoniła, zrobiono ją z porcelany czy też kryształu. Chłopi już wyciągali gotówkę, ale temu, co trzymał, moneta wypadła z łapy. Na chodniku stłukła się na drobny mak. Baran zaczął uciekać, ale klienci go dogнали i dali taki wycisk, że aż złamał rękę.

- Baran albo Baranowski? - podchwycił porucznik. - Trzeba sprawdzić.

- To chyba jednak nie ten - zauważył jeden z milicjantów. - O tamtym Baranie i ja słyszałem, ale on dostał cztery lata i chyba jeszcze siedzi.

- A miał znamię? - dopytywał się porucznik.

- Nie - kategorycznie zaprzeczył wywiadowca. - Był kulawy, ale na twarzy nie widziałem u niego żadnej blizny.

- Czy pan poznałby go z fotografii? - Oficer MO zwrócił się do kolejarza.

- Chyba bym poznał. Przecież widziałem go przez trzy dni z rzędu. Dobrze przyjrzałem się ptaszкови. Od razu mnie się nie podobał. Nasza ulica nie jest ruchliwa. Sklepów bardzo mało. Sąsiadów, tych, którzy mieszkają w okolicznych domach, człowiek zna. Jak nie z nazwiska, to przynajmniej z widzenia.

Porucznik spojrział na zegarek. Dochodziła siódma godzina.

- Gdyby pan się ubrał i pojechał z nami do komendy MO - zaproponował - na świeżą pamięć byłoby najlepiej.

- Pokazalibyśmy panu album przestępców. Ten Baran czy Baranowski chyba też pozował?

- Na pewno będzie - poświadczył wywiadowca Janik. -

To znany cinkciarz. Stale kręcił się przy PKO i w knajpach, do których przychodzą zagraniczni

marynarze. Karany był kilka razy, nie tylko za handel walutami. Miał też przedtem jakąś sprawę, nie wiem dokładnie jaką, bo nie brałem udziału w dochodzeniu. Tyle wiem, że jedna mewka, nazywali ją „Królowa nocy”, spiła w „Bajce” ciepłego kapitana statku. Chyba Duńczyka, a może Holendra? Kiedy kapitan miał już dosyć, wsadziła go do taksówki. Niby mieli do niej jechać. Pojechali na Wyspiańskiego, w okolice Parku Kasprowicza. Tam faceta wyprowadziła w puste miejsce, Baran z takim drugim już na nich czekali. Zbili Holendra do utraty przytomności, zabrali zegarek i portfel, w którym miał cztery tysiące złotych i przeszło trzysta dolarów.

Przyskrzynili ich zaraz następnego dnia. Kapitan odzyskał i zegarek, i dolary. Tylko złotówki wsiąkły. „Królowa nocy” dostała piątkę. Ten drugi coś ze siedem lat. Baran wykręcił się trzema czy nawet dwoma, bo całą gotówkę i zegarek znaleźli przy tamtej dwójce, a kapitan zeznał, że bił go jedynie wysoki i kobieta. Po tantym wyroku nie brał się więcej za rozbój, a wrócił do cinkciarstwa. Znowu jednak wpadł na dolarach.

- Więc jak, jedziemy? Czy woli pan jutro rano?

- Co mam nie jechać? Do pracy zdążę, bo na dziesiątą. Wstąpię tylko do domu, żeby żona przyszykowała mi bańkę z kawą i coś do jedzenia. Za kwadrans będę gotów.

W komendzie milicji pokazano” kolejarzowi bogatą kolekcję zdjęć. Przedstawiały one prawie cały światek przestępczy portowego miasta. Mysłowski przeglądał albumy bardzo uważnie. Nad pewnymi fotografiami długo się namyślał. Wreszcie po dwóch godzinach studiów podał oficerowi milicji trzy zdjęcia.

- Ci tutaj są najbardziej podobni - stwierdził - zwłaszcza ta środkowa fotografia. Jednakże żaden z tych mężczyzn nie ma takiej plamki na szczęce. A ten najbardziej podobny jest trochę za młody. Mój był starszy, bardziej zniszczony człowiek.

Zdjęcie, które maszynista wyróżnił jako najbardziej podobne do zdjęcia złodzieja, było fotografią Władysława Baranowskiego, wykonaną przez fotografa więziennego jednego z zakładów karnych. Pochodziło z 1961 roku, kiedy Baranowskiego zwalniano po odsiedzeniu trzech lat za udział w napadzie rabunkowym. Dwaj inni byli znanymi na terenie Szczecina przestępcami. Uznali jednak to miasto za zbyt niegościnne i przed dwoma laty wynieśli się na drugi koniec Polski.

Okazało się również, że Baranowski od prawie dwóch miesięcy z powrotem oddycha wolnością. Za dobre zachowanie darowano mu część kary. Wrócił nie tylko do miasta, ale i do zawodu. Wprawdzie, jak na razie, nie złapano go na handlu walutami, lecz kręcił się przed miejscami skupu towarów zagranicznych, gdzie występował w charakterze „koniam”. Ludzie, mający dużo towarów pochodzenia zagranicznego, często wolą nie ujawniać swoich nazwisk w punktach skupu. Za pięćdziesiąt złotych lub za seciaka wyręczają się „koniam”. On to sprzedaje towar pod swoim nazwiskiem, podczas gdy prawdziwy właściciel czeka przed sklepem na pieniądze.

W klasyfikacji podziemnego światka portowego miasta „koń” jest najniższym stopniem. Samym dnem upadku.

Już następnego poranka jeden z wywiadowców milicji poznał i zatrzymał Baranowskiego w

Alei Niepodległości, przed tamtejszym punktem skupu.

Rozdział XII

Morderca nie przychodzi na spotkanie

Zaraz po doprowadzeniu do komendy milicji Władysława Baranowskiego, porucznik Roman Widerski zaczął go przesłuchiwać.

- Niedobrze, Baranowski - powiedział po spisaniu personaliów wstępnych - znowu do nas trafiliście. A wychodząc na wolność przyrzekaliście, że już się więcej nie spotkamy. Brzydka sprawa.

- Każdemu wolno stać przed wystawą i oglądać towary 'leżące za szybą. Słyszałem o takim jednym z Warszawy, ale to był „magister inżynier, co to kamieniem otwierał szyby u „Jubilera”. Ja kamienia przy sobie nie miałem. A na wystawie żadnego pierścienia nie było.

- Wy mnie, Baranowski, nie zagadujcie, i głodnych kawałków nie opowiadajcie. Obaj dobrze wiemy, o co chodzi.

- Panie poruczniku, że tam człowiek parę groszy czasem zarobi, to co złego? Jak ktoś nie chce wejść do sklepu z paczką, tylko mnie o to prosi, nasza sprawa. A kiedy mnie zdjął ten... - Baranowski w porę ugryzł się w język, żeby nie mieć dodatkowej sprawy o obrazę władzy - pan wywiadowca, z nikim interesu nie robiłem. Nawet nie zaglądałem do sklepu.

- Dobrze wiecie, że nie o to chodzi. A skąd macie tę myszkę na twarzy? Kiedy widziałem was ostatni raz, jeszcze przed odsiadką, nie mieliście tego upiększenia?

- To taki żart towarzyski - wyjaśnił cinkciarz. - Mam bardzo mocny sen. Można mnie nie tylko wynieść z pokoju, aże i do wody włożyć, a nie obudzą się. Jak kiedyś - spałem, jeden dla draki przyłożył mi do twarzy palącego się papierosa. Czuć było swąd spalonego mięsa, ale się nie obudziłem. Tak mocno śpię.

Łże - pomyślał porucznik - ale niewiele mnie to obchodzi - i pytał dalej - a co robiliście przez ostatnie trzy dni na Mazurskiej?

- Ja tam nigdy nie chodzę.

- Nie chodzicie? To dziwne. Widziano was tam w porannych godzinach. 'A wczoraj dźwigaliście dwie ciężkie walizki. Z Mazurskiej na postój taksówek do Jedności Narodowej.

- To nie ja! Mało to ludzi chodzi po ulicach z walizami w ręku?

- Słuchajcie, Baranowski, nie próbujcie robić z milicji balona. Trudno, wpadliście. Najlepiej gadać prawdę. Gdzie jest towar?

- Ja o niczym nie wiem, panie poruczniku.

- Dobrze, nie chcecie mówić, to nie. Żebyście tylko tego nie żalowali. Za stary z was wyjadacz, żebym wam musiał tłumaczyć, że sąd zawsze bierze pod uwagę szczere przyznanie się do winy i zwrot skradzionych rzeczy. Jak się przegrało, trzeba płacić.

- Nie wiem, o czym pan porucznik mówi.

- Dobrze. Skoro nie pamiętacie, co było na Mazurskiej, postaram się wam przypomnieć. Jest tu jeden taki, który was widział i rozpoznał.

Zarządzono konfrontację. Ustawiono Baranowskiego razem z siedmioma innymi ludźmi. Byli wśród nich wywiadowcy milicji i drobne „płatki”, zatrzymane przy różnych okazjach. Maszynista Mysłowski bez namysłu wskazał cinkeiarza.

- To ten! Na pewno ten!

- Pierwszy raz widzę tego pana ‘ - bronił się Baran..

- Nieprawda - oburzył się kolejarz. - Widziałem go przez trzy dni z rzędu, jak kręcił się koło naszej kamienicy. A wczoraj niósł dwie ciężkie walizki. Skręcał z Mazurskiej w Jedności Narodowej. Minął mnie. Mało mnie nie potrącił.

- No i co, Baranowski? - zapytał oficer milicji, kiedy znowu zostali sami.

- Ja nic nie wiem - upierał się złodziej.

- To może porozmawiamy o ulicy Buczka?

- Co za Buczka?

- Nie udawajcie, że nie wiecie, gdzie jest ulica Buczka. Przecież od Mazurskiej to parę kroków. Ale mogę wam przypomnieć numer domu - dziewiętnaście. Mieszkanie na pierwszym piętrze. Tam też otworzyliście drzwi za pomocą posiadanych kluczy. Rosińska przeszkodziła wam w robocie, więc ją... Ciekawy tylko jestem, czym ją kropnęliście?

- A, o to panu porucznikowi chodzi - przestępca udawał zdziwienie. - Źle żeście strzelili. Nie przypuście mnie pan do tej sprawy.

- Kto wie, może i przypuście. Tam też was widzieli. Postawię świadków, którzy was rozpoznają. Przy takiej samej konfrontacji.

- Ten stary wariat łgał jak pies, to i drugi może. Tym gorzej dla milicji. Będą się z was śmieli w całym mieście.

- Ten się śmieje dobrze, kto śmieje się ostatni. Jeżeli dzisiaj jesteście tacy nierozmowni, pogadamy jutro. Może wam trochę się pamięć odświeży, kiedy posiedzicie w areszcie.

- Mogę siedzieć. Czemu nie? Albo to więzień nie dla ludzi? - Cinkciarz nadal stawiał się hardo.

Kiedy aresztowany mówił o ulicy Buczka, porucznik wyczuł w jego słowach prawdziwą pewność siebie. Oficer był przekonany, że opryszek zacznie gadać o kradzieży przy Mazurskiej z chwilą przedstawienia mu konkretnych dowodów. Już i konfrontacja zrobiła na nim niemałe wrażenie.

Czyżby to były dwie różne sprawy? - zastanawiał się Widerski po odesłaniu Baranowskiego do aresztu. - Przy Buczka chodzi o morderstwo. Gdyby miał z nim coś wspólnego, nie zachowywałby się tak bezczelnie. Łgałby, ile wlezie. A tymczasem on wyraźnie nie przejmował się groźbą jeszcze jednej konfrontacji i mówił o ośmieszeniu się milicji.

Dla pewności oficer MO polecił fotografowi wykonać cały szereg zdjęć Baranowskiego w różnych pozach. Między innymi wchodzącego i schodzącego ze schodów. Kiedy w trzy godziny później odbitki znalazły się na stole w pokoju Widerskiego, obejrzał je, wsadził do kieszeni i pojechał do szpitala, do Anny Wróblewskiej.” Nie tracił nadziei, że dziewczyna przypomni sobie tajemniczą postać widzianą na schodach, w sobotę 18 listopada, w dniu zamordowania Łucji Rosińskiej.

- Nie, to nie on.

- Na pewno? Nie myli się pani?

- Na pewno.

- A jakie pani widzi różnice między tym a tamtym mężczyzną ze schodów?

- Nie wiem. Nie umiem na to odpowiedzieć. Jestem tylko pewna, że to nie ten sam człowiek. Przecież w ogóle nie przysięgłabym, że kogokolwiek widziałam. Może to wszystko przyśniło mi się którejś nocy po morderstwie?

- Nie! To nie był sen - porucznik był o tym przekonany. - Pani go widziała i dlatego ten człowiek chciał panią zabić. Kiedy pani opuszcza szpital?

- Nareszcie jutro po południu. Takie trzymanie w łóżku zdrowych ludzi powinno być karane.

- Czy len ze schodów był wyższy? A może inaczej ubrany? Nie w płaszczu, tylko w jesionce? Albo jedynie w garniturze?

- Żadne pytania, poruczniku, nie pomogą. Nie przypominam sobie. Wiele myślałam o prawdziwym czy urojonym spotkaniu i nic. Nie da rady.

Kiedy porucznik wrócił ze szpitala, czekał już na niego Adam Maliniak. Znając prawie cały światek przestępczy portowego miasta, od rana węszył w tych sferach. Przyniósł całą masę wiadomości o zatrzymanym Baranie vel Władysławie Baranowskim.

Kiedy Baranowski wrócił z więzienia, gdzie przesiedział przeszło trzy lata, żaden czarnogiędźiarz nie chciał go zatrudnić. Miano z nim zadawnione porachunki, jeszcze z czasów ostatniej wpadki. Chłopak, żeby dostać mniejszy wyrok, sypnął jednego z rekinów szczecińskiej czarnej giełdy. Podobno też milicja znalazła przy Baranowskim znacznie mniej pieniędzy, niż dostał

od waluciarzy na zakup partii dolarów, przy której „wpadł. Początkowo, zaraz po wsypie, miano go nawet za „kapusia”. Dopiero sprawa i surowy wyrok po części zrehabilitowały go w oczach podziemia. W każdym razie po wyjściu z więzienia Baranowski zastał wszystkie drzwi zamknięte. Chciał pracować na własną rękę, ale żeby być cinkciarzem, trzeba albo dysponować kilkoma tysiącami własnej gotówki, albo mieć oparcie u któregoś z bankierów. Inaczej trudno nawet zacząć się, tym bardziej kiedy „konkurencja” nie śpi.

Pomimo to Baranowski usiłował kręcić się w miejscach, gdzie można cudzoziemcowi zaproponować kupno dolarów lub innych walut po kursie lepszym niż w kasach „Orbisu”.

Kilka razy powiedziano mu, żeby „spływał”. Kiedy to nie pomogło, doszło do wielkiej bójkii przed „Kaskadą”. Kto wie, czy na tym definitywnie nie skończyłaby się kariera Barana, bo dintojra bije mocno i wie, gdzie bić, gdyby nie milicyjny radiowóz, który zjawił się w krytycznym momencie.

Złapano Baranowskiego i jeszcze dwóch uczestników awantury. Przewieziono ich do aresztu. Tam wszyscy opowiedzieli bajeczkę o pobiciu się o jakąś dziewczynę. Trudno było dowieść, że chodziło o większe porachunki. Dość, że sprawę skierowano do kolegium orzekającego, a całą znaną trójkę, po przetrzymaniu przez czterdzieści osiem godzin w areszcie zwolniono.

Bójka zdarzyła się w nocy z piętnastego na szesnasty listopada. Wszystkich ptaszków wypuszczono z aresztu w sobotę, osiemnastego listopada, gdzieś około godziny jedenastej rano.

- Teraz rozumiem - roześmiał się porucznik po wysłuchaniu opowiadania wywiadowcy - dlaczego Baranowski wcale się nie przestraszył, kiedy mówiłem o zbrodni przy Buczka. Miał najlepsze alibi, jakie można mieć, ponieważ siedział w areszcie. Chciał je ujawnić dopiero później, żeby nas naprawdę ośmieszyć w oczach prokuratora, gdy ten będzie go przesłuchiwał.

- Jeszcze nie koniec - podjął swoje opowiadanie Maliniak. - Ten Baranowski, zanim go zamknęli, miał w Szczecinie przyjaciółkę, jak to oni nazywają „narzeczoną”. Taka mewka drugiej sorty. Kiedy wyszedł na wolność, wrócił do niej. Przegnała go wprawdzie i nie mieszka u niej, ale widocznie pogodzili się i razem kombinują, bo ostatnio znowu widywano ich razem.

- Czy dziewczyna ma rodzinę? Trzeba zrobić rewizję u niej, u jej przyjaciółek i ich opiekunów. Rzeczy muszą być gdzieś zamelinowane.

- Zebrałem całą listę nazwisk - pochwalił się wywiadowca. - Myślę, że towar jest u brata mewki w Gryfinie. Braciszek też nic dobrego. Już dwa razy siedział. Czasem pracuje na budowach. Ostatnio dwa lata bez pracy. Z czego żyje? Dawno go na niczym nie złapano.

Za pół godziny cztery milicyjne warszawy wyjechały na miasto. Jedna skierowała się w stronę Gryfina. Tam w domu zajmowanym przez Bronisława Klucha, na strychu, w stercie trocin, znaleziono dwie walizki. Jedna z nich przewiązana była sznurem. Kluch zagadnięty o te walizy odpowiedział, że ani nie wie, skąd one tam się wzięły, ani nie zna ich zawartości. Wobec tego, nie bawiąc się w zbędne rozmowy, milicjanci zabrali cały majdan do radiowozu. Znalazło się w nim miejsce również dla Bronisława Klucha. Nie upłynęły i trzy godziny, kiedy cała ekspedycja wylądowała przed gmachem komendy MO w Szczecinie. W walizkach, zgodnie z przewidywaniami, znaleziono

wszystkie rzeczy skradzione w mieszkaniu przy Mazurskiej.

Kluch przesłuchiwany przez porucznika Widerskiego zmienił taktykę. Sam uznał, że bajeczka o walizkach, które nie wiadomo jakim sposobem znalazły się na strychu, brzmi nieprawdopodobnie. Nikt w nią nie uwierzy. Spróbował więc z innej beczki.

- Wczoraj wieczorem - tłumaczył - przyjechał do mnie taksówką jeden znajomy. Opowiedział mi, że pokłócił się z żoną i wyprowadził z domu. Prosił, żeby walizki dobrze schować, bo to jego rzeczy osobiste. Udało mu się je zabrać z mieszkania, kiedy żona wyszła. A chciał schować dlatego, żeby żona nie znalazła.

- A jak nazywa się ten wasz znajomy?

- Jego nazwiska nie znam. Pracowaliśmy razem na budowie domu przy Alei Wojska Polskiego. Tam, gdzie przedtem były prywatne sklepy.

- Taki daleki znajomy i umiał was znaleźć w Gryfinie?

- Był u mnie w lecie. Przyjeżdżał na ryby.

- To ciekawe. W Szczecinie za mało mu było wody? Kluch milczał. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Pokażę wam tego waszego znajomego - porucznik wyjął z szuflady biurka najnowsze zdjęcia Baranowskiego i położył na stole. - Ten sam?

Bronisław Kluch udawał, że z uwagą przygląda się fotografiom.

- Nie. Nie ten sam. Tego pierwszy raz widzę.

- Spodziewałem się tego. Irena, wasza siostra, też go pewnie nigdy nie widziała. Kogo wy, Kluch, idziecie bujać? Barana nie znacie?

Mieszkaniec Gryfina zrobił bardzo zdziwioną minę.

- To ma być Baran? Nie poznałem go. Jak to się człowiek zmienia w więzieniu.

- Wy też się zmienicie, bo coś mi się widzi, że ta afera z walizkami towaru skradzionego przy Mazurskiej będzie was drogo kosztowała. Tym bardziej że zamiast od razu mówić prawdę, łżecie, ile wlezie. Ale i łąć trzeba umieć. Sami się wkopujecie. Baranowi nic już nie pomoże, bo siedzi u nas na dole. Poznali go świadkowie i zostawił odciski - w mieszkaniu. Chcecie razem z nim tonąć, tońcie. Na waszym miejscu powiedziałbym prawdę.

- Panie poruczniku, jak Boga kocham, nie wiem, skąd on wziął te walizki i co w nich było. Dopiero tutaj zobaczyłem cały majdan. Powiedział, żeby schować, to schowałem. Skąd ja mogłem wiedzieć, że ten idiota zamiast swojego fachu pilnować, wziął się za taką trefną robotę.

- Kiedy je przywiózł? On czy - Irena?

- On. Był sam - Kluch postanowił przynajmniej siostry bronić. - Przyjechał wczoraj, gdzieś koło trzeciej.

Taryfą?

- Nie wiem. Nie widziałem. Przytargał walizy i prosił: „Broniek, zamelinuj moje rzeczy na parę dni, zanim sobie jakiej mety nie znajdą w Szczecinie. Tylko schowaj, bo mogą się pytać”.

- Kto miał się pytać?

- Myślałem, że ci, z którymi w cinkciarstwie kombinował. Mieli do niego żal, że rąbnął im parę patyków i nie oddał. To było wtedy, nim poszedł siedzieć na te trzy lata.

- A wyście Baranowi uwierzyli i przysypali walizki na strychu trocinami?

- Ja mu powiedziałem, że jeżeli nie chce, aby stały na widoku, niech je sam zanieś na strych. Wziął jedną i wszedł po drabinie. Mało Kulas nie zleciał z góry na łeb. Potem prosił żeby mu drugą z dołu podać. Co z nimi zrobił, nie sprawdzałem.

- Dlaczego nie przyznaliście się od razu, kiedy milicja przyjechała i pytała, czy wczoraj Baran przywiózł jakieś rzeczy?

- Nie myślałem - szczerze powiedział Klucz - że panowie o tym wiecie i że znajdą te walizki na górze.

- Dobrze chociaż, że przekonaliście się, że milicja dużo wie i umie szukać. Od początku trzeba było mówić prawdę, to milicja nawet by was z domu nie ruszyła. A teraz będziecie tłumaczyć się przed prokuratorem.

- Panie poruczniku, pan mnie zwolni - Kluch uderzył w pokorę.

- Sami wiecie, że nie mogę. Zmądrzeliście za późno.

- Mam żonę, dwoje dzieci - zatrzymany próbował wzbudzić litość.

- Teraz o nich myślicie? Przecież nie dajecie pieniędzy, na ich utrzymanie. Żeby żona nie zarobiła, dzieciaki nie miałyby co do gęby włożyć. Z jej skromnych zarobków jeszcze zabieracie na wódkę. Gdzie pracujecie?

- Właśnie mieli mnie przyjąć do roboty przy tych domach na Pogodnie.

- To wszystko powiecie prokuratorowi. Będzie, jak on zadecyduje, ja nie mogę was zwolnić. Nie trzeba było robić głupstw.

Wyniki analizy daktyloskopograficznej potwierdziły materiał dochodzenia.

- Odciski palców na butelce jarzębiaku z kredensu państwa Iwanowskich pochodziły, z całą pewnością z rąk Baranowskiego. Porucznik Widerski wezwał go na ponowne przesłuchanie. Złodziejaszek jeszcze nie wiedział, że tak przemyślnie ukryte łupy milicja zdołała odzyskać, a brat mewki znajduje się w bliskim sąsiedztwie, bo w jednej z następnych cel milicyjnego aresztu. Nadal więc do niczego się nie przyznawał.

- Słuchajcie, Baranowski - tłumaczył porucznik - nie grajcie wariata. To nie ma sensu. Poznał was świadek Mysłowski. Podał dokładny rysopis i pokazał was w czasie konfrontacji. Mamy też wasze odciski, znalezione przy Mazurskiej.

- Nieprawda. Nie byłem tam. Żadnych odcisków nie macie....

- Wiemy, żeście pracowali w rękawicach, pewnie w tych wełnianych, które znaleźliśmy w waszym płaszczu. Ale kiedy otwieraliście butelkę z wódką, musieliście je zdjąć. W wełnianej rękawicy trudno odkręcić korek, a i butelka mogła się wyśliznąć i upaść na podłogę. Byłaby duża strata, prawda? Butelka była przecież prawie pełna. I w ten sposób wasze paluszki zostały na szkle.

Baranowski zaczerwienił sobie milczał.

- Co zrobiliście z towarem? Z tymi dwoma walizami, które dźwigaliście, kiedy was spotkał Mysłowski?

- Żadnych waliz nie niosłem - upierał się były cinkciarz.

- A pokazać je wam? Niepotrzebnie targaliście je aż do Gryfina. Musieliśmy posyłać samochód. Szkoda było fatygi.

To mówiąc porucznik otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju, gdzie na środku stołu stały walizy przywiezione z mieszkania Klucha.

- No co, te same?

- Nigdy ich nie widziałem.

- Oj Baranowski, Baranowski! Jak chcecie, możecie dalej łąć. Wolno wam. Ale zastanówcie się po co? Poprawicie tym swoje położenie czy pogorszycie? Jak myślicie? Wasz, jak by tu powiedzieć, chyba szwagier, Broniek Kluch, już doszedł do rozumu i szczerze powiedział całą prawdę. A wy usiłujecie kłamać w żywe oczy. Co wam z tego przyjdzie?! Przeczytać wam zeznania Klucha?

- Nie trzeba.

- Kluch powiedział prawdę i dobrze na tym wyjdzie. Jeżeli pan prokurator zgodzi się zwolnić go do sprawy, nie będziemy się sprzeciwiali.

- Mnie nie zwolni.

- Pewnie, że nie zwolni. Nawet na to nie licze. Ale mogą być okoliczności łagodzące, które sąd uwzględni przy wyroku, jeżeli będziemy widzieli waszą szczerłość. Nigdy nie włamywaliście się do mieszkań. Nie w waszej głowie powstał ten pomysł. Ktoś was napuścił na mieszkanie przy Mazurskiej. Klucze wam też dał. Nawet tych dwóch zamków nie umielibyście otworzyć, już nie mówiąc o zatrasku. Bez kompletu kluczy do tej pory stalibyście pod drzwiami. A ja wam powiem, kto wam dał klucze i dlaczego.

- Kto? - Baranowski przestał bezsensownie zaprzeczać niezbitym dowodom.

- Ten, który zrobił skok na Buczka i zaciukał starą Rosińską. Chciał was przypuścić do tej sprawy. Nie ja i milicja, tylko on. Technika otworenia mieszkania taka sama. Ten sam czas kradzieży i tak samo w pustym mieszkaniu, kiedy wszyscy poszli do pracy.

- Nikt mnie nie wpucuje do Buczka.

- Wiem. Siedzieliście wtedy w areszcie. Po rozróbie przed „Kaskadą”. Ale len facet o tym nie wiedział. Wyście mu słówkiem nie wspomnieli. Dlatego nadał wam robotę na Mazurskiej i myślał, że przypiszemy wam i morderstwo przy Buczka. Nie tak było?

- Kiedy pan mnie tak skołował, że nie wiem, co powiedzieć.

- Mogę poczekać. Jeżeli chcecie, to wracajcie na dół i zastanówcie się. Dojdziecie do rozumu i będziecie chcieli gadać, porozmawiamy. Przeniósłbym was do więzienia śledczego. Tam jest lepiej niż tu na dole. Paczkę też bym puścił. Irena już się o was dowiadywała. Może bym was razem z Kluchem posadził, żeby było wam raźniej.

- Pan mnie paczką nie kupi, poruczniku.

- Co ja mam was kupować, kiedy i tak leżycie. Czy mało mam dowodów, żeby nawet dzisiaj przekazać sprawę prokuratorowi? Można pisać akt oskarżenia i w następnym miesiącu sprawa. Żadnych okoliczności łagodzących. Dostaniecie co najmniej cztery miechy. Każdy adwokat wam to powie. Zresztą co ja wam będę tłumaczył. Albo to pierwszozna? No, jak będzie, Baranowski?

Aresztowany milczał. Oficer milicji zrobił ruch, jak gdyby chciał sięgnąć ręką do telefonu, żeby przysłano służbowego do odstawienia więźnia do celi.

- Kiedy ja... - Baranowski zaciął się wpół zdania. Porucznik zdjął rękę z aparatu.

- No, mówcie - przynaglił.

- Ale pan porucznik z tymi okolicznościami, to...

- Daję słowo, że was nie bujam. Podkreślimy to w protokole, że przyznaliście się i szczerze opowiedzieliście o wszystkim. Wasz adwokat wykorzysta to na sprawie..

- Widzę, że mnie rzeczywiście chciał wrobić...

- Jestem tego zupełnie pewien - potwierdził porucznik.

- To było tak - zaczął swoje opowiadanie Baranowski. - Siedziałem wtedy pierwszy raz. Głupi byłem. Wyrwałem jednej babce torebkę i usiłowałem prysnąć. Złapali mnie, sąd przyłożył dziesięć miesięcy. Bo byłem nie karany. Miałem dopiero dziewiętnaście lat. To było w roku pięćdziesiątym ósmym. Po wyroku wywieźli mnie do więzienia karnego w Sztumie. Tam poznałem „Złotą Rączkę”, Norkowskiego. Pan porucznik o nim słyszał?

- Nie - szczerze przyznał oficer milicji.

- To był największy kasiarz w Polsce. Siedziałem z nim w jednej celi - pochwalił się Baranowski. - Sam pan naczelnik więzienia go szanował. Opowiadali, że kiedy w Gdańsku pan wojewoda zgubił klucze do kasy, posłano samochód do Sztumu, po Norkowskiego. Przywieźli go, obejrzał kasę pancerną. Poleciał dać sobie cienki drut stalowy, parę pilników i inne narzędzia ślusarskie, a potem kazał, żeby wszyscy wyszli z pokoju. Za piętnaście minut zawołał: „Gotowe”. Kiedy wrócili, kasa była na oścież otwarta, a drut i narzędzia leżały na stole jak przedtem. Sam wojewoda dziękował Złotej Rączce i rękę mu podał.

Widerski nie przerywał, chociaż dobrze znał historie tego rodzaju. W każdym więzieniu krążyła podobna bajeczka o genialnym kasiarzu, którego różne władze państwowe zapraszały do otwierania kas pancernych z ważnymi dokumentami;

Słowa prawdy w tych legendach nie było. Ale niech się Baran wygada. Ostatecznie mógł istnieć jakiś znany kasiarz Norkowski i mógł odsiadywać karę w więzieniu w Sztumie, razem z Baranowskim.

- Dla Złotej Rączki nie było zamków. Pracował w ślusarni więziennej. Jeśli któryś ze strażników chciał dorobić klucze, Norkowski zawsze dostawał tę robotę. Wykonywał ją inaczej niż zwykli ślusarze. Do nich trzeba było albo zanieść cały zamek, albo oni sami przychodzili do mieszkania i nowy klucz jeszcze dopasowywali do zamka. Klucz, który wyszedł z ręki Norkowskiego, bez pudła otwierał zamek.

- A do zamków „Yale” również dopasowywał klucze?

- Dla takiego fachowca nie było różnicy, do jakiego zamka dorabia. Pamiętam nawet, że oddziałowy z siódemki, bo myśmy siedzieli na trójce, przyniósł taki zamek. Ale nie nasz zwykły, krajowy „Łucznicz”, tylko zagraniczny. Kluczy do niego w ogóle nie było. Złota Rączka w dwie godziny dopasował aż trzy klucze. Kiedy dorabiał ten pierwszy, przypominam sobie dobrze, zamykał oczy. Taki był z niego fachowiec.

- No i co się z tym Norkowskim stało?

- Nic. Wyszedł na wolność. Kiedy przywieźli mnie do Sztumu, on już kończył odsiadkę. Razem z nim byłem niecałe dwa miesiące. Później go nie widziałem, dopiero teraz w Szczecinie.

- Gdzie.

- Spotkaliśmy się w Alei Piastów. Bo tam nocowałem u jednego koleśka. Porządnie ubrany, pod krawatem jak jaki urzędnik. Ale ja od razu go poznałem. Nie mogę powiedzieć, grzecznie mnie przywitał. Zaprosił do lokalu, postawił kielicha. Siedzimy, opowiadam mu o sobie, o braku farty, a on nagle mówi: „Wiesz, Baran, miałbym dla ciebie dobrą robotę, moglibyśmy zarobić”.

U mnie taki mortus był, że gdyby nie Irka, nie miałbym co do ust włożyć. Pan pewnie wie, przegonili mnie spod PKO. Przed Domem Marynarza też się pokazać nie mogłem. Pod „Kaskadą” dali wycisk. Wszystko niesprawiedliwie. W końcu musiałem się za „konia” zostać. Ale co teraz „koń” zarobi? Nadstawiłem więc ucha, co Złota Rączka mówi, i potakuję.

„Ryzyka nie ma żadnego - tłumaczył Norkowski - mieszkanie do trzeciej puste. Na schodach też ruchu nie ma. Dom spokojny. Dorośli pracują, dzieci w szkołach. Wejdiesz do mieszkania i poszukasz. Tam muszą być większe pieniądze i inne dobro. Ona chodzi w futrze za osiemnaście patyków.”

Słuchałem tego - ciągnął swoją opowieść Baranowski - i mówię, że nigdy tak nie pracowałem. Nie będę umiał otworzyć drzwi. On się roześmiał.

„Pewnie, że nie umiesz. Ale nie twoja głowa. Kluczyki tak ci dopasują, że lepiej będą się obracały w zamkach niż prawdziwe. Abyś nie myślał, że bujam, dam ci adres, sam obejrzyj. Dziecinna robota.”

Pytam go - zeznawał złodziejasek - dlaczego sam nie robi, kiedy to takie łatwe.

„Nie mogę - tłumaczył Norkowski - tam mnie wszyscy znają. Gdyby przypadkiem ktoś mnie zobaczył w tej kamienicy, a choćby tylko na Mazurskiej, już bym leżał. Co innego ty. Nikt cię tam nie zna, nigdy nie widział. Pójdiesz na pewniaka. Ja dam klucze, ty robotę. Podzielimy się pół na pół. Ze dwadzieścia patyków na łeppek wypadnie. Albo i więcej.”

Tak mnie bajtlował, tak mnie trajlował - twierdził Baran - że w końcu zgodziłem się. Oglądałem tę chałupę. Przedstawiała się przyzwoicie. Na dole sklepów nie ma, ludzi niedużo. Wtedy mnie ten kolejarz wykapował. Wcale go nie zauważyłem.

- A kiedy dostaliście klucze od Norkowskiego?

- Umówiłem się z nim na środę, tego dnia, co zrobiłem to mieszkanie, na dziesiątą rano przed Bramą Portową. Już czekał i dał mi trzy kluczyki na sznurku. Jeszcze mi przykazywał:

„Rób wszystko w rękawiczkach. Bierz tylko gotówkę, zegarki i biżuterię. A cały majdan, który wisi w szafach, wywalaj na podłogę. Gdyby były książki na półkach, to zrzucaj na podłogę.. Podrzyj i zniszcz jak najwięcej rzeczy. Nie bój się i nie śpiesz. Masz dużo czasu. Mam do tych ludzi zadawnioną złość. Nie żałuj ich. To skończone dranie. On mnie sypnął przed piętnastu laty, wtedy, kiedy spotkaliśmy się w Sztumie. Jak robotę zrobisz, przy Alei Jedności Narodowej zawsze stoją taksówki. Zamelinuj na razie wszystko u siebie, spotkamy się wieczorem, o ósmej w „Bajce”. Wtedy powiem ci, co dalej robić, i gdzie można dobrze opchnąć. A klucze wyrzuc.”

- Co dalej?

- Pan porucznik sam wie. Wszedłem do mieszkania, kluczyki pasowały jak złoto. Nikt mnie nie spotkał po drodze. Widzę, że w chałupie dużo biedniej, niż Norkowski mi opowiadał. Owszem, trochę dobra było, jakieś sukienki, ubrania, ale ani futra, ani zegarków, a forsy nie poświeci. Pomyślałem sobie, trzeba brać, co jest. Znalazłem dwie walizy, zapakowałem, co lepsze, i chodu z mieszkania. Jeszcze się wódki napiłem. Głupi byłem, zdjąłem rękawiczki, bo niewygodnie. Nie myślałem, że ktoś wykapuje.

- Ale przecież niczego nie zniszczyliście w tym mieszkaniu.

- Co ja miałem niszczyć? To biedaki. Żebym wiedział, że tylko to znajdę, wcale bym się tej roboty nie podejmował. Norkowski opowiadał mi o skarbach, jakie tam będą. Mówił, że jak dobrze poszukać pod bielizną czy w książkach, to i dolary się zobaczy. Miałem im jeszcze szkodę robić? Pożalowałem ich, nawet jeżeli naprawdę Złotą Rączkę sypnęli.

- Na spotkanie z Norkowskim nie poszliście?

- Za kogo pan mnie ma, panie poruczniku? Miałbym, starego kumpla wykiwać? Pewnie, że poszedłem. Chciałem mu powiedzieć, żeby na drugi raz lepiej kikował, bo tam na Mazurskiej niewiele było do brania.

- I co Norkowski na to?

- Byłem w „Bajce” jeszcze przed ósmą. Czekałem przeszło godzinę. Złota Rączka nie przyszedł.

Rozdział XIII

Dlaczego właśnie tu?

- Jeszcze jedno, Baranowski, opowiedzcie nam, jak ten Norkowski wygląda? - Porucznik zadał to pytanie pod koniec przesłuchania.

Władysław Baranowski zamyślił się.

- Właściwie to trudno coś powiedzieć. Już mówiłem, że nosi się dobrze. Ubranie, krawat. Palto czarne i kapelusz. Kiedy widziałem go pierwszy raz, miał teczkę. Jak każdy urzędnik.

- A głowa? Jakie włosy? Kiedy poszliście do knajpy, to nie siedział w palcie i kapeluszu.

- No... nie. Włosy ma ni jasne, ni ciemne. Ciut jaśniejsze od moich. Zaczesane do góry. Trochę wyłysiał od czasu, gdy siedziałem z nim w Sztumie.

- Ile lat może mieć teraz?

- Pewnie ze dwie piątki stuknęły mu nad głową.

- Znaków żadnych nie ma? Takich jak wasza myszka?

- Nie. Nie ma. - Chociaż Baranowski powiedział dość dużo, przy podawaniu rysopisu liczył się jednak z każdym słowem. Widać było wyraźnie, że gdyby nie bał się porucznika, nic by więcej nie ujawnił.

- Jaką ma twarz?

- Taką zwykłą.

- Pytam, okrągłą czy owalną?

- Chyba okrągłą.

- Oj, Baranowski, wy mnie chcecie dzisiaj zdenerwować. Siedzieliście z nim w jednej celi, potem razem piliście w restauracji i o tym, jak wygląda, słowa nie można z was wydusić. Jeżeli poznaliście go w Szczecinie po wielu latach, to dobrze żeście go zapamiętali.

- Oczy niebieskie, nos trochę zadarty. Łysina zaczesana włosami. Nie za wysoki i nie za tęgi. Może ciut wyższy ode mnie. Trochę też tęższy. - Cinkciarz recytował jak z nut.

- A okulary nosi?

- Teraz nie. Ale w Sztumie do pracy zakładał.

- To znaczy dalekowidz?

- Tak. Dalekowidz. Na lewym rękę, ale wysoko miał coś wytatuowanego.

- No, nareszcie wróciła wam pamięć. Miał żonę i dzieci?

- O dzieciach nigdy nic nie mówił. Parę razy wspomniał, że żona mu umarła i nikt paczek nie przysyła. Ale na co mu były paczki? Zarabiał, miał zawsze pieniądze na koncie, i robił „wypiski”. Każdym go częstował, czym miał. Szanowali go w Sztumie. Był pierwszy po naczelniku.

- A teraz nie wspominał o rodzinie? Nie mówił, gdzie mieszka w Szczecinie?

- Nie. Najpierw rozmawialiśmy o mnie i moim zezowatym szczęściu, a później tłumaczył mi ten skok na Mazurską.

Ponieważ Baranowski nic więcej nie wiedział albo ni chciał powiedzieć, porucznik uznał, że należy skończyć prze słuchanie.

- Dosyć na dzisiaj. Potem będziecie rozmawiali z panem prokuratorem.

- Ale pan porucznik obiecał tę paczkę od Ireny i do więzienia śledczego, w jednej celi z Bronkiem.

- Wy myślicie, że więzienie to hotel, gdzie można wynajmować pokoje i grymasić? - roześmiał się porucznik. Z paczką zgoda. Zaraz powiem, żeby wam doręczyli. Do więzienia, jeżeli zdążą, to jeszcze dzisiaj. Jeżeli nie, to jutro rano. Poślę was razem z Kluchem bez zaznaczania, że macie siedzieć osobno. Jak tam załatwicie w kancelarii i z oddziałowym, wasza sprawa. Sami widzicie, że dotrzymuję wszystkiego, co wam obiecałem.

- Dziękuję, panie poruczniku. Żeby pan porucznik nie służył w milicji, to byłby z niego morowy chłop. A za te dwie walizeczki niech pan przeprosi tych Iwanowskich. Głupi byłem, już nigdy więcej nie wezmę się za lewą robotę.

- Każdy z was tak mówi, kiedy idzie do więzienia. Szkoda, że nie pamięta o tym w dniu otwarcia bramy na wolność.

Tego dnia prokurator Witold Szczerbiński długo naradzał się z porucznikiem Romanem Widerskim.

- Ten rysopis nic nam nie daje - twierdził prawnik - ludzi tak wyglądających jest w Szczecinie co najmniej dwadzieścia tysięcy. Jeżeli nie dwa razy tyle. Znak szczególny, tatuaż, też problematyczny. W świecie przestępczym oni wszyscy mają jakieś tatuaże. Zresztą te znaki Baran widział przed dziewięcioma laty. Norkowski mógł je dawno usunąć. Obecnie nie stanowi to żadnej kwestii.

- Niemniej sprawa posuwa się naprzód. Mamy wreszcie jakiś punkt zaczepienia.

- Sprawdzaliście nazwisko Norkowski?

- Sprawdzone natychmiast. Jest kilka 'rodzin w mieście o tym nazwisku, ale nikt z ich właścicieli nie może być nawet podejrzany o związek z morderstwem przy Buczka.

- Stąd wniosek, że przestępca albo występuje pod innym, fałszywym nazwiskiem, albo też nie jest meldowany w Szczecinie.

- Nadaliśmy już telefonogram do Głównego Biura Adresowego w Warszawie. Dostaniemy informacje o wszystkich Norkowskich w całym kraju. Zobaczymy, może w ten sposób coś znajdziemy.

- Całe szczęście, że nasza Złota Rączka nie nazywa się Kowalski lub Kamiński. Bo przecież nie znamy nawet jego imienia.

- Będziemy je mieli wraz z wszystkimi danymi personalnymi. Posłałem jednego z naszych ludzi do Sztumu. Ma zebrać wiadomości o Norkowskim, który odsiadywał w tym więzieniu karę i zwolniony został w 1958 lub w 1959 roku. W ten sposób dostaniemy nie tylko pełne dane o mordercy, ale i jego zdjęcie.

- Czy mordercy? Nie mamy żadnego materiału dowodowego, żeby to w tej chwili twierdzić - zastrzegł się prawnik.

- Pan prokurator jest bardzo ostrożny. Nawet w prywatnej rozmowie ze mną. Przecież pan sam również jest przekonany, że chodzi tu o mordercę z Buczka.

- Może i jestem przekonany - prawnik był ścisły - ale dopóki nie mam najmniejszego nawet dowodu, nie mogę tak mówić.

- Zeznania Baranowskiego są tym dowodem.

- Niekoniecznie.

- Niech pan prokurator zwróci uwagę na ten punkt zeznań, gdzie Baran opowiada, że Norkowski kazał mu w mieszkaniu Iwanowskich wszystko wyrzucać na podłogę i niszczyć.

- Cóż z tego?

- Wyraźnie chciał go zrobić w morderstwo na Buczka. Ten sam sposób dostania się do mieszkania, ta sama pora dnia i identyczne zachowanie się w mieszkaniu. Bezmyślne niszczenie wszystkiego. Norkowski nawet uprzedzał, żeby jego kompan wziął z domu Iwanowskich tylko gotówkę, biżuterię, dolary i futro. Żeby nie brał niczego innego. Starał się, aby te dwa przestępstwa były jak najbardziej podobne. Jestem pewien, że gdybyśmy sami nie złapali Baranowskiego, Złota Rączka pomógłby nam w jakiś sposób w jego ujęciu. A wtedy, przy braku alibi, cinkciarz miałby dużo kłopotów, żeby uwolnić się od stawianych mu zarzutów. Przecież ani pan prokurator, ani ja, a przypuszczam, że również i sąd, nikt by nie uwierzył w bajeczkę o dobrym kasiarzu, który chodzi po Szczecinie i rozdaje komplety kluczy do pustych mieszkań.

- No tak - przyznał prokurator. - Baranowski znalazłby się w niemałych tarapatach. Ale dwie rzeczy by go uratowały. Przede wszystkim brak gotówki. Tego rodzaju typ nie umiałby spokojnie siedzieć z osiemdziesięcioma sześcioma tysiącami w kieszeni. Po drugie ocaliłyby go właśnie te klucze. Dochodzenie nie umiałoby mu dowieść, w jaki sposób doszedł do posiadania dwóch kompletów kluczy do mieszkań zupełnie nieznanymi sobie ludzi. Gdyby doszło do poszlakówki, o to by się przewrócił cały akt oskarżenia.

- W każdym razie morderca, podając nam Baranowskiego jak na półmisku, zyskałby bardzo dużo. Przez dłuższy czas całe śledztwo nastawione byłoby na udowodnienie winy cinkciarzowi. Prawdziwemu zbrodniarzowi dawałoby to swobodę ruchów i możliwość dalszego zacierania i gmatwania śladów. A jemu o to coraz bardziej chodzi.

- Tu pan ma rację, poruczniku. Jest to tylko hipoteza, ale prawdopodobna. Próba zabójstwa Hanka Wróblewskiej, napuszczenie Baranowskiego na skok na Mazurskiej świadczą o tym, że przestępca czuje się coraz mniej bezpieczny i usiłuje za wszelką cenę poprawić swoje położenie.

- Jasne. Wyobrażam sobie, w jakim napięciu ten człowiek „żyje. Kiedy ktoś uważniej na niego spojrzy, mordercy już się zdaje, że został zdemaskowany. Nie zazdroścę mu uczucia, jakie ma przechodząc na schodach obok ludzi, którzy go dobrze znają. A widok Hanka Wróblewskiej jedyne go świadka, bo prawdopodobnie ona mijała go na schodach, wywołuje w nim paniczny strach. Nic dziwnego, że w takiej sytuacji trudno zachować zimną krew i prowadzić najzwyczajniejszy tryb życia.

Codziennie przychodzić do pracy, witać się i rozmawiać ze znajomymi. W tamtych dniach na pewno dużo mówili o morderstwie. Taką torturę rzadko kto zniesie bezkarnie.

- Gdyby przyjąć pańską hipotezę, bo nadal twierdzą: tylko hipotezę, że właśnie Norkowski jest zbrodniarzem z ulicy Buczka, to popełnił pan jednak poważny błąd w poprzednim rozumowaniu.

- Jaki? - zdziwił się porucznik.

- Pierwotnie przypuszczał pan, że zbrodnia jest dziełem amatora. Norkowski to zawodowy przestępca. Jest przyzwyczajony do tego, że organa śledcze poszukują go. Zna z własnej praktyki cały mechanizm pracy milicji. Napięcie nerwów, o jakim pan wspominał, jest u niego niewątpliwie znacznie mniejsze niż u przestępcy, który pierwszy raz wkroczył na tę drogę.

- Tak. Rzeczywiście początkowo zakładałem, że kradzież i zbrodnia przy Buczka jest dziełem kogoś ze znajomych Legatów. Kogoś, kto dotychczas prowadził życie uczciwego człowieka i dał się skusić wielką sumą pieniędzy, leżącą w mieszkaniu na pierwszym piętrze. Przyznaję, że przypuszczenie to wzięło teraz w łeb. Jestem zupełnie pewien, że mordercą jest Norkowski. Ale znam też na tyle zwyczaje zawodowych złodziei, a kasiarze stanowią wśród nich arystokrację, aby twierdzić, że jest to pierwsza zbrodnia tego człowieka. Zawodowi przestępcy nigdy nie biorą się za mokrą robotę. A więc wszystko, co powiedziałem o napięciu nerwów, odnosi się do Norkowskiego. Byłby spokojny, gdyby stawka dotyczyła tylko kradzieży. Teraz po raz pierwszy gra o swoją głowę. A to duża różnica.

- Ten człowiek musi należeć do koła znajomych zarówno małżeństwa Legatów, jak i Iwanowskich. Do obydwu mieszkań udało mu się zdobyć odciski kluczy. Gotów jestem uwierzyć - ciągnął prokurator - w ten fragment zeznań Baranowskiego, gdzie cinkciarz mówi o Norkowskim jako o znakomitym specjalście w dorabianiu wszelkiego rodzaju kluczy. Niemniej najlepszy nawet specjalista musi mieć albo zamek, albo plastelinowy czy woskowy odcisk klucza.

- Fachowcy nie używają dzisiaj wosku. Plastelina jest lepsza - nadmienił oficer MO - wosk trzeba długo ugniatać, a poza tym jest bardziej kruchy i zdarzają się w nim małe grudki, które mogą zniekształcić odcisk. Przy precyzyjnych zamkach nawet taka niedokładność staje się powodem, że klucz nie pasuje.

- Wydaje mi się, że należałoby sporządzić możliwie długą i jak najbardziej szczegółową listę znajomych zarówno Legatów, jak i Iwanowskich. Chodzi mi o ludzi, - którzy znają obydwie rodziny. To byłiby potencjalni podejrzani. Nie ulega bowiem wątpliwości, że odcisk kluczy w obydwu drzwiach mógł zdobyć tylko ten, kto zna mieszkańców Buczka i Mazurskiej.

- Pan prokurator ma rację - przyznał porucznik - i my doszliśmy do tych samych wniosków. Nim złapaliśmy Baranowskiego, moi ludzie sporządzili takie listy. Odpowiedź na pytanie, „kogo znam”, jest jednak bardzo trudna dla każdego człowieka. Lista znajomości nigdy nie będzie kompletna. Samo zresztą pojęcie „znajomy” jest względne. Czy znajomym jest ten, z którym pracuję w biurze, czy ten, którego przyjmuję w swoim domu. Czy traktować jako znajomego człowieka dobrze mi znanego z nazwiska, ale z którym zamieniłem w całym moim życiu jedynie kilka słów? Na przykład czy moim znajomym jest generał, komendant milicji? Przyjeżdżał do nas na inspekcję. Wygłosił przemówienie.

Znam go doskonale z widzenia. Natomiast on mnie nie zna. Jestem dla niego jednym z szeregowych oficerów komendy szczecińskiej. Gdybym sporządzał taką listę, zastanawiałbym się, czy umieścić na niej generała, czy też pominąć. Oczywiście wybrałem przykład skrajny, ale podobnych kłopotów byłoby wiele. Na przykład z listonoszem albo z pracownikami punktu naprawy obuwia, gdzie stale nam reperują zdarte obcasy. Znam tych ludzi, rozmawiałem z nimi, ale nie mam pojęcia, jak brzmią ich nazwiska. Czy to znajomi, czy nie?

- To są problemy teoretyczne - odpowiedział prokurator. - Ogromna liczba osób nie ma takich zagadnień do rozwiązywania.

- Dlatego też poszkodowani sporządzili listy, o których pan prokurator wspomniał. Muszę przyznać, że bardzo szczegółowe. Tylko niektóre nazwiska tam się powtarzały, jak na przykład przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej. Ci dublowani na listach stoją poza wszelkimi podejrzeniami. Są to albo znani działacze, albo wysocy urzędnicy. Natomiast kręgi zwykłych znajomych są u tych rodzin zupełnie różne. Niestety ta metoda, a bardzo na nią liczyłem, całkowicie zawiodła.

- To zdumiewające. Przecież człowiek dysponujący odciskami kluczy Legatów i Iwanowskich musiał być dobrym znajomym obydwu rodzin. Takim, który nie budzi najmniejszych obaw i ma okazję niepostrzeżenie przyłożyć klucz do kawałka plasteliny. Musiał bywać w obydwu domach. Obojętnie, w jakim charakterze. Chyba że pańska nowa hipoteza jest błędna i te kradzieże są dziełem dwóch różnych, nie znających się ludzi.

- Mojej hipotezy jestem najzupełniej pewien. Baranowskiego namówiono na robotę przy Mazurskiej, z góry zakładając, że wpadnie on w nasze ręce. Chciano go przypuścić do zbrodni przy Buczka. To widać wyraźnie z przebiegu wszystkich zdarzeń. Gdyby rzeczywiście w naszym mieście operowało dwóch specjalistów od dobierania kluczy, kradzieże różniłyby się w jakiś sposób. Zresztą ten drugi nie posyłałby kogoś innego na taką łatwą robotę, tylko sam by zoperował mieszkanie przy Mazurskiej.

- Przecież już przedtem mieliśmy serię, bo aż siedem tajemniczych kradzieży. Wszystkie popełniane w ten sam sposób. O ile sobie przypominam, poruczniku, pan sam twierdził, że nie mają one nic wspólnego ze zbrodnią na Buczka.

- Bo zakładałem, że morderstwo w mieszkaniu Legatów jest dziełem amatora. Nic przecież nie wiedziałem o Norkowskim! Teraz, kiedy śledztwo rozporządza już większą ilością faktów, widzę swoją pomyłkę. Wszystkie te kradzieże są wynikiem operatywności naszej Złotej Rączki.

- A różnica w technice samej kradzieży?

- We wszystkich poprzednich kradzieżach przestępca - dowodził porucznik - starał się tak postępować, aby jak najpóźniej odkryto jego działalność. Z reguły brał pieniądze i biżuterię. Rzadziej coś najcenniejszego, jak na przykład futro. Przy Buczka również szukał i wziął jedynie gotówkę, ale zdemolował przy tym mieszkanie, powyrzucał rzeczy z szaf i szuflad, dużo przedmiotów zniszczył. Jestem przekonany, że miał w tym jakiś plan. Zależało mu na tym, abyśmy tych poprzednich kradzieży nie łączyli z ostatnią.

- Pan sądzi, że chodziło mu o milicję? Mnie się zdaje, że raczej o Legatów lub innych mieszkańców domu przy Buczka.

- I ja przypuszczam, że wprowadzenie w błąd milicji było raczej na drugim planie, ale ciągle mi się zdaje, że klucz do rozwiązania zagadki tkwi właśnie w tym domu. Przestępca albo tam mieszka, albo jest w tej kamienicy najbardziej znany. Gdyby postępował inaczej, mógłby się szybko zdemaskować. Nie wiem wprawdzie, w jaki sposób, ale widocznie chodziło mu o stworzenie określonego klimatu kradzieży. Tym tylko tłumaczę to spustoszenie, jakie zastaliśmy w mieszkaniu Legatów.

- Gdyby przestępca, powiedzmy ten nasz Norkowski, wszedł do mieszkania i zabrał pieniądze bez pozostawiania śladów swojego gospodarowania, Legatowie prawdopodobnie jeszcze przez pewien czas nie zauważyliby kradzieży. Postępowanie złodzieja można byłoby uzasadnić jedynie tym, że w najbliższych dniach miał być w mieszkaniu poszkodowanych. Być może jako gość, być może jako interesant. Gdyby Legat dopiero po jego odwiedzinach zauważył brak pieniędzy, wówczas rzuciłby podejrzenie na niego.

- To bardzo możliwe - zgodził się porucznik. - Pytałem o to i pokrzywdzonych. Ani Legat, ani jego żona nie mogli wskazać ewentualnego gościa bądź interesanta.

- Mogli nawet nie spodziewać się tych odwiedzin. Załóżmy, że to listonosz czy inkasent za gaz i elektryczność, albo ktoś oferujący sprzedaż samochodu.

- Inkasent i listonosz stoją poza wszelkimi podejrzeniami. Mają alibi nie do podważenia, podobnie jak sprzątaczką Popiela. To nie oni. Gdyby kradzież popełnił sprzedawca samochodu, mógłby nie chodzić na Buczka, bo nie umawiał się z Legatem. Nie, w naszym rozumowaniu brakuje jakiegoś ogniwa. Może prawda jest zbliżona do teorii, ale w zasadzie inna.

- Przystudiowałem akta wszystkich poprzednich kradzieży - powiedział prokurator.

- W swojej technice są one identyczne. Nie ulega wątpliwości, że dokonywał ich zawsze ten sam człowiek. Za każdym razem miał doskonale dorobione klucze. Jak je zdobył? Od odpowiedzi na to pytanie zależy wykrycie przestępcy. Śledztwo nie umiało dać właściwej odpowiedzi. Okradzeni nie znali się, nie mieli ze sobą nic wspólnego i nie mieli również wspólnych znajomych, a przynajmniej takich, których można by choć w jakimś małym stopniu podejrzewać.

- Wywiadowca, o którym już panu wspominałem - Adam Maliniak, odwiedził dzisiaj tych ludzi. Podał im rysopis Norkowskiego. Oczywiście naszkicowany przez Baranowskiego. Nikt z nich nie przypomina sobie, żeby znał kogoś o podobnym wyglądzie albo żeby mówiło mu coś nazwisko „Norkowski”.

- Muszę przyznać - uśmiechnął się prokurator - że milicja rozwinęła niebywałą aktywność. Dawno już nie miałem do czynienia z tak gruntownie prowadzonym śledztwem, do którego wciągnięto chyba wszystkie najlepsze głowy w waszej komendzie.

- Dawno też - smętnie odpowiedział porucznik - przy tak wielkim wysiłku tylu' ludzi nie

osiągnięto tak małych wyników.

- Niech pan podejdzie do mapy, poruczniku - zaproponował prokurator.

Obaj panowie zbliżyli się do wielkiego planu miasta Szczecina, wiszącego na ścianie w gabinecie.

- Widzi pan te szpileczki? - pokazał Szczerbiński.

- Tak. Jest ich siedem. Domyślam się. To miejsca, gdzie dokonano tajemniczych kradzieży.

- Właśnie - poświadczył prokurator. - Jeżeli przyjmiemy Plac Grunwaldzki za centrum, to najbardziej od niego oddalona kradzież zdarzyła się przy ulicy Niedziałkowskiego, w pobliżu znajdującej się tam szkoły.

- Szkoła podstawowa nr 15 - uzupełnił porucznik.

- Jeżeli weźmiemy sznurek, na jednym jego końcu umocujemy szpilkę i następnie tę szpilkę wbijemy w środek Placu Grunwaldzkiego, a sznurek połączymy ze szpileczką tkwiącą na ulicy Niedziałkowskiego, otrzymamy promień koła. Wystarczy wykreślić to koło, żeby stwierdzić, że miejsca siedmiu kradzieży znajdują się w jego wnętrzu. Ciekawe, prawda?

- Zdumiewające - potwierdził oficer MO.

- Mało tego. Zbrodnia przy Buczka i ostatnia nieudana kradzież przy Mazurskiej również mieszczą się doskonale wewnątrz naszego koła. Ani jednego przestępstwa nie popełniono w dalszej odległości od Placu Grunwaldzkiego.

- Myśmy również się zastanawiali, dlaczego wszystkie kradzieże są umiejscowione w jednym niewielkim wycinku naszego, przecież bardzo dużego, miasta. Jeżeli chodzi o zajmowaną powierzchnię, to Szczecin jest większy nie tylko od Warszawy, ale nawet od Wrocławia, chociaż ustępuję im, i jeszcze kilku polskim miastom, liczbą ludności.

- A wszystkie kradzieże mieszczą się w obrębie mniejszym od kilometra kwadratowego. Jaki stąd można wysnuć wniosek? Tylko jeden. Oto nasz przestępca, założmy, że jest nim legendarny Złota Rączka, Norkowski, wyłącznie na tym terytorium ma możliwość zdobywania odcisków kluczy.

- Niewątpliwie ma pan rację, prokuratorze. Ta prawidłowość zastanawiała już milicję. Sprawdziliśmy, teren ten nie pokrywa się z rejonem pracy listonosza. Inkasenci gazowni i elektrowni mają księgi rachunków ułożone według ulic. Podejrzewaliśmy nawet, że przestępcą może być któryś z dzielnicowych MO. Plac Grunwaldzki jest granicą aż trzech stykających się ze sobą rewirów. Zbadaliśmy, czy odpowiada to podziałowi według administracji domów. Ale nie, to również dwa rejony. Na tym kawałku miasta działają cztery komitety blokowe. Studiowaliśmy sieć zaopatrzenia sklepów, lecz i ona nie tłumaczy poruszania się jakiejś osoby we wnętrzu tego koła. Nadal pozostaje zagadką, dlaczego nasz specjalista od otwierania cudzych mieszkań upodobał sobie tę część miasta.

Prokurator długo przyglądał się niebieskim główkom szpileczek tkwiących w planie miasta.

- Dlaczego właśnie tu? - powiedział. - Kiedy odpowiemy na to pytanie, znajdziemy sprawcę kradzieży i zabójcę Łucji Rosińskiej.

Rozdział XIV

Człowiek, który umarł

Wiadomości, jakie porucznik Roman Widerski otrzymał za Sztumu i z Centralnego Biura Adresowego w Warszawie, były tak sensacyjne, że oficer milicji natychmiast odbył długą naradę z komendantem. Rezultatem tej rozmowy był szczegółowy raport wysłany do Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej w Warszawie. Raport, który z kolei tam wzbudził prawdziwe zdumienie. Wynikało bowiem z niego, że człowiek może zmartwychwstać i w wiele lat po swojej śmierci nie tylko chodzić po ulicach w charakterze ducha, lecz nawet popełniać przestępstwa. Skomplikowane kradzieże i - morderstwa.

Oficer milicji odwiedził prokuratora.

- Dostaliśmy, panie prokuratorze, dokładny raport ze Sztumu - zaczął Widerski. - Zeznania Baranowskiego potwierdzają się w całej rozciągłości. Rzeczywiście po wyroku w Szczecinie, w 1958 roku, jesienią, odtransportowano go do Więzienia Karnego w Sztumie. Tam siedział w jednej celi z niejakim Antonim Norkowskim, odsiadującym wyrok sześciu lat za kradzież z włamaniem, popełnioną w łódzkiej Centrali Włókienniczej. Łupem złodziei padło wówczas przeszło milion osiemset tysięcy złotych.

- Przypominam sobie coś takiego. Nie wiem jednak, czy to nie chodziło o inną, podobną sprawę, bo było to znacznie wcześniej. Bodaj w czterdziestym dziewiątym czy pięćdziesiątym roku. Nie później.

- Pan prokurator dobrze pamięta. Kradzież zdarzyła się w sierpniu pięćdziesiątego roku, chyba jako ostatnia tego rodzaju kradzież w Polsce. Złodzieje, a ustalono również, że do szajki należało pięć osób, w tym jedna kobieta, przeprowadzili przeszło trzydziestometrowy podkop pod ulicą, prowadzący od małego sklepiku spożywczego, będącego własnością tej kobiety, aż do gmachu Centrali Włókienniczej. Tam dostali się do pustego wówczas składu na koks dla centralnego ogrzewania. Dotarcie z piwnicy do kasy pancernej było już stosunkowo łatwe.

- Kasę otwierał Norkowski?

- Tak jest. -To było jego głównym zadaniem. On również występował jako inicjator planu tej skomplikowanej operacji. Wprawdzie niektórzy z ujętych później sprawców włamania wspominali, że plany całej akcji opracowane zostały przez jakąś tajemniczą kobietę, znajomą czy też kochankę Norkowskiego, śledztwo nie zdołało jednak potwierdzić tych szczegółów. Jeśli ona istniała i była inicjatorką włamania, nie udało się tego udowodnić. Norkowski całą winę wziął na siebie. Kasę otworzono bardzo sprytnie. W twardym pancerzu wyborowano parę dziurek. Wystarczyło to jednak do podniesienia rygli. Ten, kto to robił, musiał doskonale znać mechanizm zamykający kasę. Nie było w tym zresztą nic dziwnego. Norkowski, nim wszedł na drogę przestępstwa, pracował kilka lat w fabryce kas pancernych „Jardell” w Warszawie. Było to jeszcze przed wojną i przed wojną też

zainkasował swój pierwszy wyrok. Cztery lata. Nie odsiedział go, bo nadszedł wrzesień 1939 roku. W każdym razie Antoni Norkowski był już wtedy asystentem słynnego kasiarza „Szpicbródki” Cichockiego i stary mistrz, podobno, rokował mu wielką przyszłość.

W wielkiej karierze - dokończył prokurator - przeszkodziła mu zmiana ustroju.

- Co Złota Rączka robił w czasie okupacji i zaraz po wyzwoleniu, brakuje wiadomości. Dopiero w 1950 roku wypływa w Łodzi i organizuje podkop do Centrali Włókienniczej. Po kradzieży aresztowano strażników. Podejrzewano ich, że byli w zмовie ze złodziejami. Nie dowiedziano im tego jednak. Kasę otworzono bez najmniejszego hałasu. Strażnicy, znajdujący się na parterze gmachu, nie usłyszeli żadnego dźwięku.

- Przecież włamywacz czy też włamywacze musieli jakąś drogą dostać się na górę, a zatem przejść przez parter.

- To była najgenialniejsza część planu. Dyżurka, gdzie siedziało dwóch strażników, znajdowała się tuż koło schodów. Drzwi na schody były otwarte, klatka schodowa oświetlona. Nawet mysz nie mogła się tędy prześliznąć. Ale gmach miał windę, nieczynną od lat. Ona właśnie była wielką szansą Norkowskiego. Szybem windy, po specjalnie skonstruowanej drabince linowej, Norkowski dostał się na trzecie piętro, gdzie znajdowała się kasa. Po drodze otworzył wszystkie zamki. Następnie po rozpruciu kasy spuścił na dół najpierw pieniądze, później sam zszedł drogą, gdzie w każdej chwili mógł skrócić kark.

- Ani słowa, ładny wyczyn!

- Tak. Koronkowa robota.

- Jak ich złapali?

- Wszystko było ułożone z góry aż do najdrobniejszych szczegółów. Zawczasu ustalono, że każdy ma jeden udział w podziale łupu, zaś Złota Rączka, jako kierownik i główny wykonawca, dwa udziały. Domyślano się, że ten drugi udział jest dla owej tajemniczej kobiety, o której wspólnicy Norkowskiego wspominali w śledztwie jako o inicjatorce... Na miejscu, w sklepie, przeliczono całą zrabowaną gotówkę. Każdy dostał po trzysta tysięcy. Norkowski sześćset tysięcy złotych. To były ogromne pieniądze. Każdy miał przygotowane schronienie. Tylko sam herszt znał te adresy. Pozostali nie mieli o nich pojęcia. Razem z pieniędzmi dostawali bilet kolejowy i polecenie, dokąd mają się udać, gdzie zamieszkać i co robić. Instrukcje przewidywały też, że nie wolno wydawać większych kwot pieniężnych, aby nie wzbudzić podejrzeń. Wszystko było dobrze, dopóki Norkowski mógł kontrolować kroki swoich ludzi. Kiedy się rozjechali, nastąpiło to, co zazwyczaj dzieje się w podobnych przypadkach.

- Rozumiem. Ludzie nie umieją skromnie żyć, mając w? kieszeni prawdziwą fortunę. Kuszą ich te pieniądze.

- Pierwsza skusiła się kobieta. Norkowski umieścił ją gdzieś na Rzeszowszczyźnie. W małym miasteczku dostała posadę urzędniczką w miejscowej cegielni. Babka zaczęła zwracać uwagę swoimi

strojami. Kiedy kupiła drogie futro wartości jej dwuletniej co najmniej pensji, wzbudziło to tyle komentarzy, że aż milicja zainteresowała się tą panią. Przy rewizji znaleziono u niej jeszcze przeszło sto pięćdziesiąt tysięcy złotych. Wzięta w krzyżowy ogień pytań przyznała się do tego, co przedtem robiła. Od niej dowiedziano się nazwiska jednego z członków bandy. Jedyne nazwisko, które знаła. I tak po nitce do kłębka.

- A sam Norkowski?

- Jego ujęto później, bo dopiero w trzy lata po kradzieży. Był zresztą jedynym, który nie powiedział niczego i nie przyznał się do niczego, dopóki nie pokazano mu bezspornych dowodów. On jeden też zdołał ukryć bądź wydać całą zrabowaną sumę. Tłumaczył się, że przegrał ją na wyścigach. Stwierdzono, że rzeczywiście Złota Rączka był namiętym bywalcem torów wyścigowych w Warszawie, Łodzi i Sopocie. Ale czy naprawdę przegrał? Tego nikt nigdy się nie dowie.

- Dostał sześć lat?

- Dostał jedenaście lat. Coś mu tam zdjął Sąd Najwyższy. Później była amnestia. W sumie do odsiedzenia pozostało sześć lat. Termin ten skończył się Norkowskiemu właśnie w Sztumie w grudniu 1958 roku.

- Jakie były dalsze losy Złotej Rączki? - Spytał prokurator.

- Umarł.

- Pan żartuje?

- Nie. Po prostu umarł. Popełnił samobójstwo. W marcu 1959 roku. Mniej więcej w cztery miesiące po opuszczeniu więzienia. Mogę panu prokuratorowi służyć nawet dokładną datą zgonu.

- Zaczynam się domyślać.

- Po wyjściu z więzienia Norkowski powrócił do Warszawy. Tu zamieszkał u brata i zaczął pracować w jednym z warsztatów ślusarskich. Zapomniałem jeszcze dodać, to ważny szczegół, że w tym czasie, kiedy Norkowski przebywał w więzieniu, umarła mu żona. Na raka. Norkowski zwierzał się nieraz kolegom z pracy, że po śmierci żony życie mu obrzydło. Groził, że skończy ze sobą.

- Zręcznie urabiał opinię.

- Niewątpliwie. W przeciwnym razie musielibyśmy uwierzyć w zmartwychwstanie. I to jeszcze grubo przed Sądem Ostatecznym, co nawet religia wyklucza.

- A w marcu 1959 roku...

- W marcu tego roku, akurat był duży przybór Wisły i rzeką płynęła kra, patrol milicji znalazł na Wybrzeżu Gdańskim w Warszawie palto, buty i garnitur męski. W kieszeniach były: zegarek, pewna suma pieniędzy, drobiazgi osobiste oraz dokumenty na imię i nazwisko Antoniego Norkowskiego. W

parę miesięcy później Wisła wyrzuciła pod Wyszogrodem zwłoki jakiegoś mężczyzny w stanie daleko posuniętego rozkładu. Niemniej, na podstawie oględzin rodziny i znajomych, zidentyfikowano je jako zwłoki Norkowskiego. Na tej podstawie wystawiono oficjalny akt zgonu i byłego kasiarza skreślono z ewidencji ludzi żywych.

- To było bardzo sprytne posunięcie.

- Jak zwykle u Norkowskiego, koronkowa robota - zgodził się porucznik.

- Przypuszczam, że rodzina była wtajemniczona.

- Prawdopodobnie. Jeżeli nie cała, to przynajmniej jej część. Reszta i znajomi byli już zasugerowani z góry, że topielcem jest Norkowski. Ciało przebywało parę miesięcy w wodzie, łatwo więc było rozpoznać w wyłowionym człowieku tego, kogo chciało się zobaczyć.

- A dalszy ciąg historii?

- Niestety, jak na razie, historia nie ma dalszego ciągu. Do nas, pana prokuratora i mnie, należy dokończenie tej pasjonującej opowieści.

- Przecież człowiek musi mieć jakieś dokumenty.

- On na pewno je ma. I to w najlepszym porządku. Jestem, przekonany, że miał je już wtedy, kiedy kładł na brzegu Wisły swoje ubranie. Z całego jego postępowania widać, że Złota Rączka planuje każdy swój krok bardzo precyzyjnie. U niego nie ma improwizacji.

- Tym bardziej dziwię się, że posunął się aż do zabójstwa.!

- Zgubił go głupi przypadek. Nieprzewidziany przyjazd-: Łucji Rosińskiej z Goleniowa do córki i przyście jej do domu z kluczami, które wzięła od Legatowej.

- A jak Legatowa dostała się do mieszkania? Przecież nie miała kluczy, bo dała je matce? To jakoś uszło mojej uwagi.

- Sprawdzaliśmy i ten szczegół. Legatowa z kolei wzięła; klucze córki, która uczy się w ten samej szkole. Nauczycielka wyjaśniła, że nie wiedziała, czy jej matka przypadkiem nie wyjdzie z domu. Dla pewności wolała mieć klucze przy sobie;

- Mógł jednak nie zabijać.

- Mógł. Ale też i rozumiał, że wtedy będzie koniec. Wydadzą się nie tylko wszystkie jego poprzednie kradzieże, ale również i upozorowanie samobójstwa. Nie wiemy, co ponadto miał na sumieniu. W razie wpadki groził mu bardzo surowy wyrok. Nie chciał wracać do więzienia. Wolał zabić.

- Gdyby ją ogłuszył, też by zdołał uciec nie rozpoznany. A różnica w odpowiedzialności bardzo duża.

- To prawda, panie prokuratorze. Widocznie stracił głowę. Nagle usłyszał odgłos klucza w zamku. Musiał decydować się błyskawicznie. Zresztą kto wie? Może i chciał tylko ogłuszyć, a uderzył za mocno? Trzeba brać pod uwagę, że pani Rosińska była kobietą dobrze po pięćdziesiątce. Być może, młodszego takie uderzenie by nie zabiło.

- Ale Hanke Wróblewską zdecydowanie chciał zabić.

- To już wynik paniki i napięcia nerwów, w jakim teraz żyje morderca. A poza tym, skoro już raz przekroczyło się granicę, nie pozostaje nic do stracenia.

- To prawda.

- Z całego życiorysu Norkowskiego można wysnuć jeszcze jeden wniosek. Ten człowiek dwa razy trafił do więzienia. Raz przed wojną, drugi raz po wojnie. Za każdym razem najpierw wpadli jego współnicy i pomocnicy, a dopiero po tych śladach dotarto do samego herszta. Złota Rączka niewątpliwie umiał wyciągnąć naukę z tych faktów. Rozstał się z kasiarstwem, które, jest rodzajem przestępstwa, wymagającym działania w grupie. Przerzucił się na okradanie mieszkań. Jestem absolutnie pewien, że „pracuje” bez żadnego współnika. Dlatego tak długo jest nieuchwytny.

- Chciałbym zobaczyć jego zdjęcie.

- Ja też.

- Przecież musiało być w Sztumie.

- To jest najbardziej zdumiewające i świadczy o wysokiej inteligencji Norkowskiego. Przygotowując samobójstwo widocznie jednocześnie zatroszczył się o zniknięcie wszystkich swoich podobizn. Zarówno w aktach więziennych, jak i w aktach sądowych nie ma najmniejszego nawet śladu po zdjęciach. Dowodu osobistego Norkowski nie wyrobił sobie. W tym czasie, kiedy wprowadzono u nas dowody osobiste, siedział w więzieniu. Po wyjściu na wolność nie kwapił się z załatwieniem formalności. W miejscu pracy również brakuje jego fotografii.

- A może rodzina posiada jakieś zdjęcie?

- Prawdopodobnie w tej chwili ustala to milicja w Warszawie. Gotów jestem trzymać jednak najgrubszy zakład, że poszukiwania te na nic się nie zdadzą. Norkowski musiał i o tym pomyśleć.

- Fantastyczny spryciarz.

- Poprosiłbym pana prokuratora - porucznik zmienił temat - o decyzję w sprawie tych rzeczy skradzionych przy. Mazurskiej. Baranowski przyznał się do kradzieży, zawartość waliz zgodza się ze spisem strat, jakie podali Iwanowscy, myślę więc, że można je im zwrócić, nie czekając na formalne zakończenie śledztwa. Jak pan uważa, prokuratorze?

- Oczywiście - zgodził się Szczerbiński - niech pan jutro odeśle im te rzeczy. Decyzję prześlę panu razem z innymi postanowieniami, wraz z całą pocztą prokuratury do komendy. Dla Iwanowskich cała sprawa szczęśliwie się skończyła. Wyobrażam sobie ich radość.

- Na pewno się ucieszą. Nie są zbyt bogaci i tę kradzież musieli odczuć bardzo dotkliwie.

- A co robi panna Hanka Wróblewska? - Prokurator zadał to pytanie tonem towarzyskiej rozmowy.

- Coraz bardziej zaczyna mi przeszkadzać w prowadzeniu śledztwa. Jeżeli tego nie zaprzestanie, będę musiał powstrzy-; mać jej zapędy. Zbyt interesuje się tymi dawnymi kradzieżami. Moi ludzie, którzy chodzili tam na wywiady, oświadczyli; mi, że nie byli pierwsi.

- Nie?

- Różni młodzi ludzie odwiedzali okradzionych i zadawały im pytania.

- Podoszywali się pod pracowników MO?

- Może nie robili tego wyraźnie, ale starali się sprawiać takie wrażenie. Toteż brano ich za wywiadowców.

- Pan sądzi, że to sprawka tej fioletowookiej ze złotymi błyskami?

- Sama mi się do tego przyznała.

- Może zdołała dowiedzieć się czegoś nowego? Jak wtedy przy Buczka?

- Wykluczone - kategorycznie zaprzeczył oficer MO. - Amatorowi może coś raz się udać, ale nie ciągle.

Rozdział XV

Wypadek czy zbrodnia?

Porucznik Roman Widerski nie umiał sobie odmówić małej przyjemności osobistego odwiezienia dwóch walizek ze skradzionymi rzeczami do mieszkania państwa Iwanowskich. Kiedy wraz z wywiadowcą Kardasiem wtaszczyli ciężkie walizy na trzecie piętro i zadzwonili do drzwi, mieli pełną satysfakcję. Otworzyła im pani Iwanowska. Na widok milicjantów i znajomych waliz kobieta najpierw zbladła, później zrobiła się czerwona i nie mogła złapać tchu. Wreszcie zdołała zawołać: „Tadek, Tadek” - i rozplakała się z radości.

To było bardzo miłe. Oboje państwo Iwanowscy cieszyli się jak dzieci. Szczerze przyznawali się, że nie mieli wielkiej nadziei na odzyskanie nawet części tego, co zostało im skradzione. Dziękowali serdecznie obu milicjantom. Tadeusz Iwanowski usiłował wcisnąć im w kieszeń jakieś pieniądze, aż porucznik musiał udawać, że się rozgniewał. Pieniądzy oczywiście nic wzięli, ale tym razem nie zdołali wymówić się od kawy. Znalazła się też odrobina jarzębiaku, którą rozlano do trzech kieliszków, bo pani Iwanowska, ze względu na jakieś komplikacje wątrobiane, nie uczestniczyła w oblewaniu radosnego dnia. A wypito za pomyślność milicji i za jej sukces.

- Niczego nie brakuje, najmniejszego drobiazgu - entuzjasmowała się pani domu - patrzę i

oczom nie wierzę.

- A mówiłaś, że milicja nie znajdzie - śmiał się pan Tadeusz.

- Prawda - zgodziła się Iwanowska - nieraz wprawdzie czyta się, że milicja złapała złodziei i odebrała im skradzione rzeczy, ale nie miałam nadziei, że panowie zechcą zajmować się taką zwyczajną kradzieżą.

- Każda kradzież jest zwyczajna i każdą staramy się wykryć. Często udaje się, czasem się i nie uda - odpowiedział porucznik.

Po upływie pół godziny i po bohaterским wymówieniu się od drugiej filiżanki kawy, a gospodarz chciał nawet „podsłodzić na róg po coś mocniejszego”, obaj milicjanci opuścili mieszkanie przy Mazurskiej. Wywiadowca Kardaś miał jeszcze tego dnia zająć się sprawą włamania do sklepu MHD, porucznik poszedł na spotkanie z Hanką Wróblewską.

Dziewczyna nie chciała słyszeć o jakiegokolwiek ochronie. Po dłuższych dyskusjach i zagrożeniu aresztem ochronnym, zgodziła się wreszcie na pewien kompromis. Oto zobowiązała się wychodzić rano z domu razem z matką, a w południe wracać w towarzystwie któregoś z milicjantów. Jako punkt' zborny tych spotkań umówiono na stałe przystanek tramwajowy przy Bramie Portowej. Zdaniem porucznika godziny południowe, kiedy w kamienicy przy Buczka panuje minimalny ruch, były najbardziej niebezpieczne. Zresztą i napadu na Hankę dokonano właśnie w tym czasie. Dlatego też oficer MO stanowczo żądał, aby Wróblewska o tej porze nie spacerowała sama ulicami miasta, a na schody wchodziła zawsze pod czyjąś opieką.

Tak się jednak dziwnie składało, że funkcjonariusze MO mieli w tym czasie najwięcej roboty i na spotkania przychodził stale tylko Widerski. Hanka, znana ze swojego ostrego języczka, jakoś na ten temat nie robiła żadnych uwag.

Tego dnia porucznik szedł z dziewczyną Aleją Niepodległości, później przez Plac Lotnika do Jagiellońskiej i dalej Jagiellońską, aby Aleją Armii Czerwonej dotrzeć do Placu Odrodzenia, gdzie narożny dom przy Buczka nosił numer dziewiętnaście. Było zimno, od Odry wiał silny, chłodny wiatr.

Kiedy znajdowali się na Jagiellońskiej i przechodzili koło jednego z domów, starej trzypiętrowej kamienicy, tuż koło nich rozległ się huk. Coś ciężkiego z impetem uderzyło o chodnik, najwyżej pół metra za nimi. Rozległ się trzask pękających szyb i odłamki szkła obsypały zarówno Hankę, jak i porucznika.

Oficer milicji chwycił dziewczynę za rękę i jednym skokiem odciągnął ją z chodnika aż na środek jezdni. W tej samej chwili znowu coś runęło na płyty trotuaru i to akurat w miejscu, gdzie przed sekundą znajdowała się para młodych. Gdyby nie błyskawiczna decyzja porucznika, nie uniknęliby tego drugiego niebezpieczeństwa.

Widerski najpierw spojrział w górę. W jednym z mieszkań na trzecim piętrze dostrzegł nagie, białe ramy futryn. Natomiast na chodniku leżały strzaskane w drobny mak dwie wielkie i ciężkie

połówki okien.

- Dzwon na milicję! Niech tu zaraz przyjedzie radiowóz - Widerski w pośpiechu zwrócił się do dziewczyny per „ty”. - Ja biegnę na górę. Może zdołam złapać tego drania.

W bramie domu oficer milicji wyjął pistolet z kabury i z bronią w rękę, przeskakując po trzy stopnie schodów, wbiegł na trzecie piętro. Tu, na podeście kończącym klatkę schodową, nie było żywej duszy. Dwie pary drzwi prowadziły do dwóch mieszkań.

- To na lewo - ocenił sytuację milicjant.

Nacisnął dzwonek. Długo nie puszczał guzika. Nikt jednak nie otwierał. Porucznik kilkakrotnie uderzył pięścią w drzwi. Później nawet je kopnął. Na alarm wyjrzano z sąsiedniego mieszkania. Ukazała się jakaś starsza kobieta. Na widok człowieka z pistoletem w rękę wydała okrzyk przerażenia.

- Kto tam mieszka?! - krzyknął porucznik.

Kobieta najpierw spostrzegła pistolet, a dopiero później zauważyła, że jego właściciel nosi mundur milicjanta. To ją nieco uspokoiło.

- Teraz nikogo tam nie ma. To jest mieszkanie inżyniera Uklewskiego. A co się stało?

- Z tego mieszkania zrzucano na ulicę dwa okna. Mogły pozabijać przechodniów.

- Ee, chyba wiatr wyrwał. Tam nikogo nie ma - powtórzyła kobieta. - Wiem na pewno. Inżynier pracuje w biurze projektowym. Jego żona z małym dzieckiem wyjechała do rodziców. Wróci najwcześniej w styczniu, bo jej matka choruje. Mieszkają jeszcze jacyś młodzi, Kowalewscy. Wynajmują pokój. Ale oni również są w pracy.

Zjawiała się Hanka.

- Zawiadomiłam milicję. Radiowóz ma tu zaraz być. Nikt nie otwiera?

- Podobno nikogo nie ma w mieszkaniu. Zobaczmy. Byłem tu tak szybko, że ten, kto zrzucił na nas okna, nie zdążył wymknąć się ze środka. Spotkałbym go na schodach, gdyby nawet usiłował schronić się do innego lokalu. Niech pani jednak zejdzie na dół i poinformuje milicjantów, gdzie jestem.

- To mógł być wypadek - zauważyła Hanka, która mniej przejęła się całą sprawą - dzisiaj jest silny wiatr.

- Zbadamy ten wypadek! No, niech pani maszeruje na dół!

Niedługo zjawily się posiłki. Porucznik postawił jednego z milicjantów na czatach przed drzwiami mieszkania. Wraz z innymi odwiedził pozostałe lokale na tej samej klatce schodowej. Spisano personalia obecnych. Byli tylko stali mieszkańcy tego domu. Nikogo obcego nie znaleziono.

Nikt również nie zauważył nieznanego im człowieka, który by kręcił się w pobliżu kamienicy lub na schodach, względnie usiłował wejść do mieszkania inżyniera Uklewskiego.

Zjawił się dozorca domu. On także nikogo nie widział i niczego nie słyszał.

- Panie poruczniku - zauważył jeden z milicjantów - te drzwi da się łatwo otworzyć. Wystarczy podważyć lewarkiem samochodowym.

- Nie - sprzeciwił się porucznik. - Radiotelefonem damy znać do komendy. Niech drugą warszawą przywiozą tu inżyniera.

Nie upłynęło i piętnaście minut, gdy zjawił się właściciel mieszkania, inżynier Franciszek Uklewski. Był przerażony. Jego obawy jeszcze bardziej wzrosły, kiedy dowiedział się, co zaszło.

- To niemożliwe, to niemożliwe - powtarzał i trzęsącymi się ze zdenerwowania rękoma dobierał klucze do zamków.

Milicja wraz z właścicielem mieszkania weszła do środka. Lokal był pusty. Tylko przez nie zabezpieczony otwór okienny wpadał zimny wiatr rozwiewając firanki.

- Niech pan uważnie się rozejrzy. Czy w czasie pańskiej nieobecności ktoś tu nie gospodarował?

- Nie widzę nic szczególnego. Wszystko jest tak, jak zostawiłem przed wyjściem do pracy.

Wyrwane okno znajdowało się w pokoju, który był sypialnią inżyniera. Poza tym mieszkanie składało się z dwóch dalszych pokoi, w tym jeden wynajmowano jakimś dalekim krewnym inżyniera. Tutaj również panował wzorowy porządek.

- Proszę sprawdzić szafy i szuflady. Czy czegoś nie brakuje? Inżynier rzucił okiem w głąb szafy. Otworzył biurko i zajrzał do kredensu.

- Nie. Nikt nic nie ruszał - stwierdził.

Przeszli do kuchni, gdzie żadna zmiana nie świadczyła o czyjejs niedawnej obecności.

- A te drzwi? - zapytał porucznik.

- To są drzwi na drugą klatkę schodową - wyjaśniał Uklewski - ale nikt ich nie używa. Schody są niewygodne, kręte i źle oświetlone. Chodzimy więc wyłącznie frontową klatką schodową.

- Drzwi są zabite?

- Nie. Tylko zamknięte.

Porucznik obejrzał zamki. Jeden zwykły. Poza tym zatrzask i na dole rygiel. Rygiel nie był zasunięty.

- Rygiel jest otwarty - oficer zwrócił uwagę właściciela; mieszkania. - Od jak dawna?

- Bo ja wiem? Nie zauważyłem tego. Zazwyczaj jest zamknięty. Może córeczka, ma pięć lat, odsunęła go bawiąc się w kuchni. Żony z córką nie ma w Szczecinie. Wyjechały do teściów.

- Gdzie są klucze do tych drzwi?

- Powinny tu gdzieś być - inżynier otworzył szufladę, kuchennego kredensu i wygrzebał spomiędzy różnych drobiazgów dwa klucze na tasimce..

- To chyba te?

Jeden z milicjantów spróbował. Większy klucz lekko otworzył zamek. Mniejszy bez trudu odmykał zatrzask.

- Kiedy ostatnio używano tych drzwi?

- Nie pamiętam, żebyśmy z nich w ogóle korzystali. Kiedy, ożeniłem się z moją obecną żoną, mieszkaliśmy tu razem z teściami. Oni zajmowali to mieszkanie chyba od piętnastu lat. Później rodzice żony przenieśli się do Poznania, bo teść; dostał tam lepszą posadę i mieszkanie, więc to nam zostawili. Za mojej pamięci nikt tych drzwi nigdy nie używał. Bo i po co?

- A sublokatorzy?

- Oni też mają klucze jedynie do drzwi frontowych.

- Jak na zamki nie używane przez piętnaście lat, są one w zbyt dobrym stanie - zauważył milicjant, który otwierał) drzwi - skobel chodzi bardzo lekko. Gdybym to rozkręcił, idę; o zakład, że w środku znajdę nie wyschnięty smar. Tyle lat by się trzymał? Niemożliwe.

Porucznik wrócił do pokoju, w którym było wy wazon okno.

- Pan zapomniał zamknąć okno?

- Ja w ogóle tego okna nie otwierałem od wyjazdu żony - kategorycznie zaprzeczył właściciel mieszkania. - Co najmniej pięć dni. Zresztą po co? Teraz jest grudzień, w mieszkaniu nie za ciepło. Okna jeszcze nie opatulone. Przynależem, że zrobię to zaraz po jej wyjeździe, ale nie zdążyłem do tego się zabrać. Szparami tak wieje, że nie potrzeba otwierać okien. Zwłaszcza że wiatr dmucha wprost na naszą ścianę.

Milicjanci zbadali dokładnie pozostałe okna. Były zamknięte i otwierały się z pewnym trudem.

- Gdyby nawet okno było nie domknięte - tłumaczył inżynier - wiatr nie mógłby go wyrwać z zawias. Nie jest aż tak silny. A poza tym wieje prostopadłe do frontowej ściany domu, więc raczej by je zamknął, niż wyłamał z zawiasów. I to obydwie połówki jednocześnie?

- Faktem jest, że okno leży na ulicy i omal nie spowodowało śmiertelnego wypadku.

- Tego nie rozumiem. Przysięgam, że kiedy wychodziłem z domu, okna były dobrze zamknięte. Szyję za to daję. - Inżynier był w strachu. Zdawał sobie sprawę z konsekwencji, jakie może ponosić.

W mieszkaniu nie było więcej czego szukać. Porucznik i jego ekipa zeszli na dół. Tutaj czekała Hanka. Porucznik zapytał:

- Kiedy wbiegłem do tego domu, nikt z niego nie wychodził?

- Nie. Telefonowałam po radiowóz ze sklepu naprzeciwko bramy. Widziałam dobrze. Nikt wtedy nie wyszedł z domu i nikt do niego nie wszedł. Trochę gapiów stało przed leżącym na chodniku połamanym oknem.

- Mógł wyjść wtedy, kiedy niepotrzebnie pani przybiegła na górę.

- Chciałam pomóc. Pan był sam.

- Niewiele by mi się ta pomoc zdała. Miałem przecież broń.

- Nie dość, że chciałam pomagać, jeszcze na mnie krzyczą - Nie krzyczę, tylko stwierdzam, że kiedy pani pobiegła na górę, przestępca mógł się spokojnie ulotnić.

- Pewnie tego nie zrobił - wyjaśnił jeden z milicjantów - bo i po co? Ta chałupa, jak prawie wszystkie po tej stronie Jagiellońskiej, jest przechodnia. Łączy się z podwórkami domów przy Jedności Narodowej. Proszę tędy...

To mówiąc milicjant zaprowadził całą grupkę na podwórze. Tutaj wszedł do oficyny, skąd otwarte drzwi prowadziły na następne podwórze. Jego brama wychodziła już na Aleję Jedności Narodowej.

- Nie ma po co dalej chodzić, tam już niczego i nikogo nie znajdziemy. Wracajcie do komendy. Ja... - porucznik zastanowił się - muszę jeszcze zapytać inżyniera o pewną rzecz. Po drodze odwieźcie panią na Buczka i niech jeden z was wejdzie z nią na schody aż do drzwi mieszkania. -

- Ależ! - Zaprotestowała Hanka.

- Żadne „ależ”. Czy trzeba, czy nie, o tym decyduje milicja. Widziała pani, co się stało, i co by było, gdyby tak pierwsza połówka okna trafiła w cel lub gdybyśmy nie odskoczyli na środek ulicy.

- To był zwykły wypadek - upierała się dziewczyna.

- Wypadki lubią chodzić parami. Żeby nie było następnego, radiowóz odwiezie panią do domu. Wolałbym, żeby pan dzisiaj w ogóle nie wychodziła na miasto. Jutro, jak zwykle, przed Bramą Portową.

- Dla pańskiej przyjemności mam siedzieć w domu jak w więzieniu.

- Przed dwoma godzinami słyszałem, jak pewna studentka medycyny opowiadała, ile to teraz ma

zajęcia i jak musi się uczyć do następnego kolokwium. Jedno popołudnie spędzone w domu może okazać się zbawienne.

Radiowóz pojechał, a porucznik udał się ponownie na górę. Inżynier Uklewski zajęty był prowizorycznym zabezpieczeniem okna jakimiś arkuszami papieru, poduszkami i drutem.

- Gdzie mi teraz, psiakrew, zrobią na poczekaniu nowe okno? - martwił się. - Z tego, co wyleciało, zostały szczątki. Jedyne okucia można wykorzystać.

- Chciałem pana zapytać, czy pańska żona gdzieś pracuje?

- Tak. W jednym z przedsiębiorstw budowlanych. Jako kreślarz. Córka chodzi do przedszkola. Ale w związku z chorobą matki żona poprosiła o urlop i pojechała do Poznania.

- Czy państwo macie jakąś pomoc domową?

- Nie. Nigdy nie mieliśmy.

- A ile jest kompletów kluczy do waszego mieszkania?

- Cztery. Żony, mój i dwa sublokatorów.

- Nikt z was nie zgubił kluczy?

- Nie. Nikomu to się nie zdarzyło. Czy pan sądzi, że ktoś wchodził do mieszkania? Po co? Przecież nic nie zginęło.

- Przypuszczałem - porucznik nie chciał wtajemniczać inżyniera w meritum sprawy - że złodziej zakradł się do pańskiego mieszkania, otworzył okno, żeby wyrzeć na ulicę i źle je zamknął... Chociaż mam wrażenie, że to pan sam, inżynierze, nie dopatrzył zaryglowania okien i stąd ten wypadek, który omal nie zakończył się tragicznie.

- Jestem absolutnie pewien, że okno było dobrze zamknięte. Nie otwierałem go od tygodnia. A przecież wczoraj i przedwczoraj wiatry były silniejsze. Wyleciałoby wtedy, a nie dzisiaj.

- Obawiam się - powiedział Widerski żegnając inżyniera - że pan dostanie wezwanie do milicji dla oficjalnego złożenia zeznań.

Nieco później prokurator Witold Szczerbiński wysłuchał opowiadania porucznika.

- Jednakże nie można wykluczyć wypadku - zauważył.

- Gdyby przedtem nie było napadu na Wróblewską i ja myślałbym, że to wypadek. Ale nie wierzę w aż taką zbieżność zdarzeń. Najpierw ktoś uderza dziewczynę łomem, a w niecałe dwa tygodnie później spada na nią okno z trzeciego piętra. I to - nie jedno. Kiedy pierwsza połówka nie trafiła, w ślad za nią poszła druga. W takie cuda, panie prokuratorze, nie wierzę.

- Dom jest stary. Okno mogło być spróchniałe. Zawiasy wyrobiły się - prokurator próbował uspokoić porucznika.

- Gdyby nawet tak było rzeczywiście, nie uwierzę, że okno musiało wypaść właśnie w momencie, kiedy przechodziliśmy koło tego domu. Ale pan prokurator się myli. Drewno w ramach okiennych jest zupełnie dobre. Oglądałem je nie tylko ja, ale i cała ekipa milicyjna, która przyjechała radiowozem. Zawiasy trzymają się doskonale. Inne okna są tak pozamykane, że z trudem można je otworzyć. Wypadnięcie tych dwóch połówek zaliczyłbym do cudów.

- Nieraz trudniej jest wytłumaczyć przypadek, niż gdyby był nim prawdziwy cud.

- Tutaj, panie prokuratorze, tych cudów mieliśmy aż kilka.

- Na przykład?

- Na przykład drzwi kuchenne. U dołu tych drzwi jest zasowa. Jak twierdzi inżynier, drzwi nie używa się przynajmniej od piętnastu lat. A mimo to zasowa była odsunięta. Uklewski przypuszczał, że to jego pięcioletnia córeczka mogła ją odsunąć. Bardzo wątpię, bo rygiel chodzi wyjątkowo ciężko. To właśnie ten drugi cud. Trzeci: zamki w drzwiach kuchennych, nie ruszane przez piętnaście lat, otwierają się leciutko i bez najmniejszego zgrzytu, jak gdyby wczoraj opuściły fabrykę. Wreszcie kolejny z cudów. Okno wypada z mieszkania znajdującego się akurat w domu przechodnim z Jagiellońskiej na Jedności Narodowej. Ładna kolekcja cudów! Zapomniałem jeszcze dodać, że dotyczą one mieszkania, które codziennie, aż do popołudnia, stoi puste.

- Jak to pan tłumaczy, poruczniku?

- Po prostu jest to jedno z wielu mieszkań, do którego nasz przestępca dorobił klucze.

- To też byłby cud. Nasz kasiarz ma klucze do wszystkich pustych mieszkań w Szczecinie? - Prokurator uśmiechnął się.

- Nie do wszystkich pustych mieszkań w Szczecinie - poprawił porucznik - tylko do pewnej ilości mieszkań w pobliżu Placu Grunwaldzkiego. Przypuszczam, że ten człowiek korzysta z każdej okazji zdobycia odcisków plastelinowych i dorabia klucze. Potem czeka na odpowiedni moment, kiedy będzie można okraść dany lokal. Nie śpieszy się, pracuje systematycznie i dlatego zawsze ma w zapasie kilka kompletów kluczy do mieszkań, które czekają swojej kolejki.

- Ciekawa teoria.

- Ale tłumacząca zarówno kradzież przy Mazurskiej, jak i rzekomy wypadek przy Jagiellońskiej.

- Cóż dalej?

- Przestępca, właśnie nasz fałszywy nieboszczyk, Antoni Norkowski, za najbardziej niebezpieczną dla siebie uważa Hankę Wróblewską. Ciągłe boi się, że dziewczyna przypomni sobie, kogo wtedy widziała na schodach.

- Już by sobie przypomniwała!

- Widocznie od dnia morderstwa nie spotkała po raz drugi tego człowieka. On zaś przypuszcza, że kiedy Hanka go zobaczy, przypomni sobie sylwetkę mijaną na schodach. Dlatego uważa, że usunięcie Wróblewskiej jest pełną gwarancją jego bezpieczeństwa. Po pierwszym nieudanym napadzie Norkowski spostrzegł, że dziewczyna zachowuje pewną ostrożność i wraca do domu zawsze w asyście milicjanta.

- Bądźmy ściśli - poprawił prokurator. - Oficera milicji. I to, jak przypuszczam, zawsze tego samego. Prawda?

Porucznik zaczerwienił się.

- Niesłuszne insynuacje, panie prokuratorze. Morderca zrozumiał, powtarzam, że drugi zamach przy ulicy Buczka jest wykluczony. Wiedział jednak, że dziewczyna wraca z akademii medycznej zazwyczaj najkrótszą drogą, to jest przez Jagiellońską. Miał na tej ulicy jedno mieszkanie przygotowane do okradzenia, więc postanowił wykorzystać lokal dla nowego zamachu. Czekał na nas na górze. Już uprzednio wyjął okno z zawiasów i przygotował je do wyrzucenia. Kiedy nas zauważył, rzucił najpierw jedną połówkę, a później drugą, z takim wyliczeniem, że jeśli nawet pierwsza chybi, druga dokończy dzieła. Gdyby nie mój błyskawiczny refleks i to, że nie traciłem czasu na spojrzenie w górę, jak robią inni, gdy coś spadnie z wysoka, lecz chwyciłem dziewczynę i odskoczyłem w bok, pan prokurator nie rozmawiałby ze mną, tylko asystował w oględzinach naszych zwłok.

- Pan tak sądzi?

- Ciężkie, masywne okno, do tego jeszcze oszklone, spuszczone na głowę człowieka z wysokości około piętnastu metrów? Skutek łatwy do przewidzenia. Stare domy budowano wysokie, teraz architekci zmieściliby tam pięć pięter. Nie mam żadnej wątpliwości, że skończyłoby się tragicznie. Za jednym zachodem Norkowski pozbyłby się nie tylko głównego świadka, ale i oficera śledczego. Piękne pociągnięcie.

- Może pan ma i rację - prokurator nie był całkowicie zdecydowany.

- Najwięcej mnie złości, że fatalnie spudłowałem. Nawet mi to do głowy nie przyszło, że mieszkanie może mieć wyjście na dwie klatki schodowe. Tę od frontu i z lewej oficyny. Zamiast «biec na górę, należało udać, że to robię, a uważnie obserwować podwórze. Złapałbym go wtedy, gdy wychodził z oficyny. Jestem pewien, że po zrzuceniu swoich „bomb”, Norkowski opuścił mieszkanie drzwiami kuchennymi i przez okno na klatce schodowej obserwował, co będzie się działo dalej. Widząc mnie wbiegającego na górę frontowymi schodami, Złota Rączka spokojnie zszedł na dół i wyostał się na Aleję Jedności Narodowej. Gdybym zaś przypadkiem skierował się na niewłaściwą klatkę schodową, tę, na której on stał, wtedy by otworzył mieszkanie i wyszedł frontem. Nic nie ryzykował. Mógł wpaść jedynie wówczas, gdybym zrobił zasadzkę na dole, a nie wbiegał na górę. Niestety, działałem zbyt szybko i nie pomyślałem, że mogą być dwie klatki schodowe. Znowu nam się wymknął.

- Zobaczmy, poruczniku, jak to się przedstawia na mapie.

Prokurator podszedł razem z oficerem milicji do wielkiego planu miasta Szczecina.

- Który to dom?

- Ten. Drugi, nie dochodząc do Alei Czerwonej Armii. Prokurator wyjął z kłapy nową szpileczkę z niebieską główką i wpiął ją we wskazane przez porucznika miejsce.

- Wszystko się zgadza - powiedział.

Niebieski punkcik tkwił wewnątrz dużego czerwonego koła zakreślonego wokół Placu Grunwaldzkiego.

Rozdział XVI

Zagadka księżek

- Pani Hanko, muszę z panią pomówić poważnie - porucznik Roman Widerski wypowiedział te słowa jak najbardziej surowym tonem.

- Oo! - roześmiała się dziewczyna. - Czyżby pan zamierzał oświadczyć się o moją rękę? Jestem mile zaskoczona.

- Przestańmy żartować! - zachnął się oficer milicji. - Pani postępowanie coraz mniej mi się podoba. Dłużej tak być nie może. W przeciwnym razie wyciągniemy bardzo surowe konsekwencje.

- Czym tak zgrzeszyłam? - Hanka Wróblewska była w doskonałym humorze.

- Niech pani nie udaje, że nie wie, o co chodzi. Nie dalej jak wczoraj jeden z moich wywiadowców, Maliniak, udał się do pewnego domu przy ulicy Niedziałkowskiego dla zebrania potrzebnych mi informacji. Tam ze zdziwieniem usłyszał, że przed dwoma godzinami inny funkcjonariusz MO przeprowadził już wywiad z mieszkańcami tej kamienicy. To sarno meldowano mi z innych punktów miasta. Ostrzegam, za podszywanie się pod milicję można posiedzieć i to nawet dobrze.

- Pan porucznik jest dzisiaj nie w humorze.

- Ja mówię poważnie, a pani się śmieje i urządza sobie jakąś zabawę. A pani koledzy, którzy udają milicjantów, mogą ponieść poważne konsekwencje.

- Nieprawda, żaden z nich nigdy nie powiedział, że jest milicjantem.

- Ale tak postępował, że ludzie brali go za pracownika MO.

- To wina ludzi, że nie żądali legitymacji służbowej.

- Jak było, tak było. Ostatni raz panią ostrzegłem. Jeżeli to się powtórzy, młodzi ludzie dobrze zapłacą za te figle.

- Boże, jak straszna jest ta milicja. Żadnego kontaktu ze społeczeństwem, które chce jej pomóc.

- Do prowadzenia śledztwa jest milicja i prokurator, a nie - młodzi ludzie. Pani oddała nam pewne usługi, wskazała fakty, których wówczas na razie jeszcze nie dostrzegaliśmy, ale na tym jej rola powinna się skończyć. A pani nadal prowadzi prywatne poszukiwania. Gdyby pani miała jakieś uwagi i propozycje, chętnie ją wysłuchamy i wszystko sprawdzimy. Właśnie ze względu na oddane nam usługi, wtajemniczyliśmy panią w pewne fragmenty naszego śledztwa. Ale to nie znaczy, że będziemy dłużej tolerowali osobę, prowadzącą dochodzenie po amatorsku. Mam nadzieję, że postawiłem sprawę dostatecznie jasno?

- Tak jest, wodzu! - Dziewczyna nie miała zamiaru zaprzestać przekomarzania się z coraz bardziej rozgniewanym milicjantem.

- Proszę więc skończyć tę zabawę.

- Rozkaz. Przyrzekam, że nikt już nie będzie nigdzie chodził i nie będzie nikomu zadawał żadnych pytań ani udawał wywiadowców MO.

- Cieszę się, że nareszcie pani zrozumiała niestosowność swojego postępowania i że w końcu dogadaliśmy się.

- Nie będą chodzili, bo zebrali już wszystkie wiadomości, które były mi potrzebne.

- Co?! - porucznik aż zerwał się ze swojego miejsca.

- Po prostu zakończyłam moje, jak pan to ładnie nazwał, „prywatne dochodzenie”.

- Szukała pani śladów Norkowskiego?

- Kogo? Kto to jest Norkowski? - Hanka nie знаła najnowszych odkryć śledztwa.

- Norkowski to nazwisko zabójcy Łucji Rosińskiej.

- Brawo - pochwaliła Hanka. - Nasza dzielna milicja, jak widzę, pracuje doskonale. Ale ja nie szukałam tego Norkowskiego. Nawet nie wiedziałam, że tak się nazywa.

- Więc kogo?

- Kobiety.

- Kobiety? - powtórzył zdziwiony porucznik.

- Tak, kobiety. Ten cały pomysł z dorabianiem kluczy i okradaniem kolejno pustych mieszkań jest zbyt inteligentny, żeby mógł się wylęgnać w głowie mężczyzny. Dlatego szukałam kobiety.

- Znalazła ją pani?

- Oczywiście.

- Może pani jeszcze powie, że wie, kto dokonał kradzieży i kto zabił Rosińską?

- Naturalnie, że wiem - Hanka powiedziała to możliwie najbardziej niedbałym tonem i nonszalanckim ruchem założyła nogę na nogę. - Nie wiedziałam tylko, że jego prawdziwe nazwisko brzmi „Norkowski”. Ale to jedynie dlatego; że pewien oficer MO jest niełojalny. Żąda, aby mu mówić o wszystkim, a sam nie uważa za stosowne, aby o odkryciach milicji poinformować swoich najlepszych współpracowników.

- No, wie pani, to już przechodzi granice...

- Ja też tak uważam. Dlatego na przyszłość będę żądała większych praw dla siebie.

- Nie będzie żadnej przyszłości.

- Tak pan sądzi? - W oczach dziewczyny znowu zapaliły się złote błyski, na które Widerski nigdy nie mógł specjalnie patrzeć.

- Skończmy tę żartę, panno Hanko. Więc powiada pani że zna już mordercę?

- Tak. A milicja?

- Ustaliliśmy, że dawniej nazywał się Antoni Norkowski i był znanym kasiarzem. Mamy bardzo poważne podejrzenia w stosunku do pewnego osobnika. Brakuje nam jeszcze kilku danych, aby wszystko powiązać w logiczną całość. A pani?

- Wiem, kto był inicjatorem kradzieży. Kto i w jaki sposób zdobywał klucze. Wiem, dlaczego mieszkanie państwa Legatów zostało tak zdemolowane. Przypomniałam sobie również, kogo wówczas w sobotę, przed napadem, spotkałam na schodach. Brakuje mi jednego dowodu. Ale czuję, że ten dowód znajduje się w mieszkaniu przy Buczka.

Kiedy pani przypomniała sobie, kto minął ją na schodach?

- Bardzo śmieszne, ale w momencie, kiedy za moimi plecami rozległ się jakiś trzask, a jednocześnie pewien oficer milicji tak brutalnie szarpnął mnie za rękę, że omal nie przewróciłam się na środku jezdni. Wtedy błyskawicznie uświadomiłam sobie, kto szedł schodami.

- Gdyby ten oficer nie był taki, jak pani mówi, „brutalny”, właśnie w tej chwili mały kondukt podążałby ulicą „Ku słońcu” w stronę cmentarza.

- Mam nadzieję, że zdobyłby się pan na jakieś kwiatki mimo grudnia.

- Kto to jest? Ciekawy jestem, czy zgadza się to z naszymi ustaleniami?

- Najtrudniej - powiedziała Hanka - zauważyć kogoś, kogo widuje się bardzo często. Na przykład pan długo będzie pamiętał jakąś panią w ekscentrycznym jaskrawozielonym kapeluszu, a nie

zauważy listonosza spotykanego codziennie.

- Listonosz ma alibi - wyjaśnił porucznik. - Źle pani trafiła.

- O listonoszu mówiłam jedynie dla przykładu. Morderca nie jest listonoszem.

- A kim?

- O tym sobie powiemy, kiedy znajdziemy ten brakujący dowód. W mieszkaniu państwa Legatów przy Buczka.

- Pani sądzi, że tam należy szukać rozwiązania zagadki?

- Tylko tam.

- Dlaczego więc nachodziliście wszystkich okradzionych?

- To nam dało pewne przesłanki, z których wysnułam wnioski.

- Pani przeczy sama sobie. Przecież twierdziła pani przed chwilą, że wie, kto wchodził po schodach.

- Tak. Ale od „wiedzieć” do „dowieść” jest nieraz bardzo daleka droga. Pan również zna mordercę, ale to wyłącznie hipoteza, niczym nie podbudowana.

- Tego bym nie powiedział.

- Więc dlaczego pan go nie aresztuje?

- Bo brakuje mi paru dowodów. Ale to tylko kwestia czasu.

- Obawiam się, że nie. W waszym rozumowaniu jest zasadniczy błąd.

- Jaki?

- Szukacie mężczyzny, tego rzekomego Norkowskiego. Nie przeczę, że on istnieje, ale przestępstwa trzeba dowieść kobiecie. Wtedy i mężczyzna od razu się znajdzie. Czy pana nie zastanowiło, że wszystkie kradzieże popełnione zostały w obrębie stosunkowo niewielkiego skrawka śródmieścia?

- Wiemy o tym. W kole, którego środkiem jest Plac Grunwaldzki.

- A dlaczego?

- Prawdopodobnie dlatego, że jest to miejsce pracy Norakowskiego. Staramy się rozwiązać zagadkę, jaką instytucja miejska, państwowa czy społeczna ma taki rejon. Kiedy to ustalimy, znalezienie Norkowskiego będzie już proste.

- Zna pan taką dziecianną grę z wyszukiwaniem przedmiotów „ciepło-zinino”? Gdybyśmy się w nią bawili, powiej działałbym „ciepło, ale jeszcze nie gorąco”.

- A pani poszukiwania?

- Gorąco, bardzo gorąco. Parzyć będzie przy ulicy Buczka.

- Mówi pani samymi zagadkami. Nie pozostaje nam ni innego, jak pomaszerować na Buczka.

- Chciałabym uzyskać odpowiedź na pewne pytanie. Mam nadzieję, że będzie pan tym razem na tyle uprzejmy i udzieli mi informacji, w jakiej książce były schowane pieniądze.

- Nie wiedziała pani tego? - zdziwił się oficer MO. - Sądziłem, że bywając w domu Legatów, słyszała pani o tym. Zresztą żadna tajemnica, mogę pani to powiedzieć. Inżynier ukrył osiemdziesiąt sześć banknotów tysiącłotowych w pierwszym tomie „Kapitału”. I ze względu na grubość i na tytuł taka „kniga” doskonale do tego się nadawała.

- Macie ją u siebie, w komendzie?

- Nawet w tym pokoju. Zabraliśmy książkę, bo mieliśmy nadzieję, że zostały na niej odciski palców mordercy. Niestety...

- Chciałabym ją zobaczyć.

- Proszę bardzo - porucznik podszedł do szafy i wyjął z niej grubą książkę w sztywnej, popielatej okładce. Podał ją dziewczynie.

Hanka obejrzała księgę ze wszystkich stron, a następnie otworzyła ją mniej więcej w środku i mocno, z hałasem zamknęła.

- Dziękuję. Już nie jest mi potrzebna.

- Dowiedziała się pani czegoś?

- Tak. Bardzo wiele. Tego zresztą, co przypuszczałam.

- Nie rozumiem.

- Bo wy, mężczyźni... No, nic. Wszystko w swoim czasie... Idziemy na Buczka.

W mieszkaniu państwa Legatów porucznik i Hanka zastali całą rodzinę. Inżynier powitał oficera milicji pytaniem, czy jest coś nowego. Widerski wyjaśnił, że śledztwo posuwa się naprzód i ma nadzieję, że zostanie pomyślnie zakończone.

- Jednakże nic nie wskrzesi życia teściowej, a co do moich pieniędzy, postawiłem na nich krzyżyk.

- Myślę, że nie będzie tak źle - wtrąciła Hanka.

- Widzę, że panna Haneczka nadal usiłuje pomagać w rozwiązaniu tej zagadki. Jestem pani bardzo wdzięczny za dobre chęci.

- Przyszliśmy właśnie w tej sprawie. Panna Wróblewska ma pewną nową teorię i w związku z tym chciałyby uzyskać od pana inżyniera kilka informacji.

- Chętnie służę.

- Może zaprosi nas pan do gabinetu? - zaproponowała dziewczyna.

Inżynier otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju i przepuścił przed sobą Hanię i porucznika. Wszedł za nimi, zamknął drzwi i wskazał gościom wygodne skórzane fotele, stojące wokół okrągłego stolika.

Kiedy zajęli miejsca, Hanka zapytała:

- Kto, panie inżynierze, wiedział, że pan sprzedał samochód?

- Wcale nie robiłem z tego tajemnicy. Wiedzieli oczywiście wszyscy domownicy: żona, dzieci, pani Popiela, którą traktujemy jak członka rodziny. Tyle lat u nas pracuje. Poza tym dozorczyń, która była świadkiem, jak nowy właściciel zabierał wóz z garażu. Rozmawiałem o tym i z piekarzem oraz z naszym sąsiadem z przeciwka, panem Deublem. Chyba jeszcze z innymi osobami. Naturalnie każdy, kto dowiedział się o sprzedaży wartburga, zaraz pytał, jaką cenę udało mi się uzyskać. U siebie, w biurze, również nie ukrywałem tego faktu.

- Tak też przypuszczałam - powiedziała studentka. - A kto wiedział, że pieniądze schował pan w książkach?

- Nikt. Nawet żony w to nie wtajemniczałem.

- Dziękuję. To byłoby wszystko.

- Tylko tyle? Na te same pytania, stawiane mi przez milicję, odpowiadałem już kilka razy - inżynier był nieco rozczarowany.

Hanka wstała i podeszła do ściany, przy której znajdowały się regały z książkami.

- Kocham książki. Zazdroszczę panu inżynierowi takie; biblioteki.

To mówiąc dziewczyna wyciągnęła jedną książkę ze środkowej półki. Przejrzała ją i wstawiła na swoje miejsce. Potem sięgnęła niżej. Obejrzała też jakąś pozycję z najwyższej półki. Musiała przy tym wspinać „się na palce.

- Jednakże posiadanie takiej masy książek sprawia kłopot - zauważyła. - Trzeba je wycierać z kurzu. Książki są bardzo pyłochłonne.

- To prawda - przyznał inżynier - z tym jest najgorzej. Zabiera wiele czasu. Teraz, po tej tragedii, wstawiłem książki na półki, nawet ich nie segregując. Zabiorę się do tego przed Bożym Narodzeniem. Przy ogólnych domowych porządkach. Przy okazji odkurzę je. Dawno tego nie robiłem. Ostatnio chyba w maju.

- Ma pan wszechstronną bibliotekę, jak widzę - dziewczyna podeszła do drugiego regału - nie tylko fachową i beletrystykę, ale dużo pamiętników i pozycji dokumentarnych - znowu wyjęła i przejrzała kilka książek.

- Lubię czytać pamiętniki - przyznał się inżynier - nawet takie, które są apokryfem, jak na przykład „Stenogramy Anny Jambor”. Miała je pani przed chwilą w ręku.

- Bardzo przepraszam, inżynierze, że zabrałam panu tyle czasu. Idziemy, panie poruczniku - dziewczyna skierowała się do wyjścia.

Inżynier pożegnał ich uprzejmie i jeszcze raz wyraził nadzieję, że „miła sąsiadeczka dokona znowu jakiegoś cennego odkrycia”. Oficer milicji podązał za dziewczyną, nadal nie mogąc zrozumieć, dlaczego Wróblewska przyszła do tego mieszkania i postawiła dwa banalne pytania, które milicja stawiała inżynierowi przynajmniej dziesięciokrotnie. Gdy oboje znaleźli się na schodach, Hanka oświadczyła:

- Pójdziemy do mnie. Tam będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Mamy nie ma w domu. Prosto z pracy miała pojechać do Szczecina-Dąbie, w odwiedziny do swojej starej przyjaciółki.

Porucznik w milczeniu wchodził po schodach.

- Wprawdzie - mówiła dalej studentka medycyny - szanująca się panna z porządnego domu nie zaprasza nieznanym mężczyzną do mieszkania, w którym poza nią nikogo nie ma, ale pan porucznik i tak zebrał o mnie wiele kompromitujących informacji. O wiele więcej, niż to jest prawdą. W pańskich oczach już nic nie może mi zaszkodzić. Nie mam racji?

Zaskoczony Widerski wymamrotał w odpowiedzi coś niezrozumiałego. Ta Hanka miała zagrania!

Spory pokój na czwartym piętrze urządzone był skromnie, ale przyjemnie. Dwa tapczany, pod jednym oknem staroświeckie biurko zavalone książkami. Wszystkie z dziedziny medycyny. Półka pełna różnych wydawnictw. W drugim kącie pokoju stolik i wygodne fotele. Obok nich stojąca lampa z dużym abażurem. Na ścianach kolorowe reprodukcje. Przez otwarte drzwi widać było wnętrze kuchni. Świeciła czystością i porządkiem.

- Niech pan siada i zaczeka. Za chwilę będzie kawa - dziewczyna zostawiła go samego i zaczęła się krzątać przy kuchence. Zapach mocnej kawy rozszedł się wkrótce po całym mieszkaniu.

- A więc słucham panią - porucznik upił mały łyk i odstawił filiżankę.

- Przede wszystkim nieustannie zastanawiałam się nad tym, dlaczego przestępca na mnie napadł. Mówię o tym uderzeniu na schodach. Wydawało mi się dziwne, że zrobił to dopiero po upływie

pewnego czasu. Zaczęłam sobie przypominać, co robiłam i mówiłam przedtem. Tak powstały moje pierwsze, niejasne jeszcze i niesprecyzowane podejrzenia. Teraz już dobrze wiem, że o próbie zamordowania mnie zadecydowała pewna rozmowa. Niepotrzebnie wygadałam się przed pewną osobą, ale i ta druga strona nieopacznie wyrwała się z dwoma twierdzeniami. Jednym prawdziwym, drugim, które było niezręcznym kłamstwem. Właśnie to kłamstwo stało się podstawą i punktem wyjścia do mojego dalszego, jak pan to nazwał, „prywatnego śledztwa”.

- Na razie niewiele rozumiem - przyznał porucznik - ale proszę,” niech pani mówi dalej.

- Otóż mój rozmówca niepotrzebnie skłamał, że nie wiedział o sprzedaży przez Józefa Legata samochodu ani też nie słyszał o cenie, jaką osiągnął czerwony wartburg. A poza tym w napadzie gadatliwości wymknęło mu się, że pewien hydraulik pracuje w dwóch rejonach Administracji Domów. Rejony te, jak się o tym przekonałam, obejmują Plac Grunwaldzki i wszystkie przyległe do niego ulice.

- Teraz jasne! - zawołał porucznik. - A myśmy szukali jednej instytucji!

- Mówiłam „ciepło, ciepło, ale jeszcze nie gorąco”.

- Słusznie.

- A ja, głupia, do mojego rozmówcy powiedziałam, że widziałam mordercę na schodach, lecz nie mogę sobie przypomnieć, kto to był; Wtedy los mój został przypieczętowany. Że żyję, to czysty przypadek.

- Więc znała pani mordercę? Pod tym względem nie myliliśmy się.

- Znałam go doskonale. Od wielu lat. On mnie zresztą także zna. Mówiłam panu kiedyś, że najtrudniej zauważyć kogoś, kogo się stale spotyka. Oboje, ja i przestępca, nie zwróciliśmy na siebie uwagi. Nie zauważyliśmy się wzajemnie na schodach. Gdyby on mnie spostrzegł, a choćby jedynie uświadomił sobie moją obecność, pani Rosińska żyłaby do dziś. Mieszkanie byłoby okradzione innego dnia. I odwrotnie, gdybym ja przypomniawszy sobie tego człowieka, prawdopodobnie zdołałabym mu dowieść, że jest współnikiem zbrodni. I to dowieść jeszcze przedtem, zanim podniósł na mnie rękę uzbrojoną w klucz.

- Klucz? - zdziwił się porucznik.

- Tak. Duży klucz do odkręcania śrub. Nazywa się „żabka”.

- Ale dlaczego pani mówi „wspólnikiem zbrodni”?

- Może nawet nie tyle współnikiem, ile ścisłym wykonawcą. Przestępstwa były zbyt mądrze pomyślane i zbyt bezbłędnie realizowane, aby ich autorem mógł być mężczyzna. Hersztem i inicjatorem planu musiała być kobieta. Byłam o tym od początku przeświadczona. Teraz mam już pewność. Tylko raz mężczyzna znalazł się w takiej sytuacji, że musiał błyskawicznie zadecydować, jak postąpić, i z miejsca narobił całą masę głupstw. Zabił panią Rosińską, kiedy wystarczyło ją

ogłuszyć. Zostawił jej śniegowce na nogach, a kostkę masła położył w kuchni na stole. Przedtem i potem spełniał już ściśle rozkazy swojej przełożonej i dlatego tak trudno było go wykryć.

- Przełożonej?

- Jak pan woli, może pan ją nazwać żoną. To właściwie nieistotna różnica. W każdym dobrym małżeństwie żona jest przełożoną swojego męża.

- No, wie pani! - oburzył się porucznik.

- Poznać, że pan jest kawalerem i pewnych spraw zupełnie nie rozumie. Znajdzie się jednak taka, która je panu wytłumaczy... Plan był bardzo prosty. Genialny w swojej prostocie. Oto kobieta wynajmuje się do różnych robót domowych. Najczęściej do sprzątanía. Pracując w jakiejś kamienicy nawiązuje cały szereg znajomości. Choćby przy trzepaniu dywanów na podwórzu. Sama mówi niewiele, ale za to umie słuchać, szybko też dowiaduje się, kto w tym domu jest zamożniejszy, a komu gorzej się powodzi. Czyje mieszkanie w pewnych godzinach stoi puste, a w którym zawsze kogoś można zastać. Ta kobieta wyświadcza ludziom różne grzecznościowe przysługi. Ot, choćby idąc po zakupy, przyniesie ładny kawałek mięsa. A kiedy jest uważana za dobrą znajomą, korzysta z nadarzającej się okazji i przykłada klucz dc kawałka plasteliny, który przezornie zawsze przy sobie nosi. Jej mąż, z zawodu ślusarz, zamienia te odciski na doskonale dopasowane klucze.

- Nie tylko ślusarz, raczej z zawodu kasiarz. Właśnie specjalista od najbardziej skomplikowanych zamków.

- I milicja na coś się przydaje - złośliwie zauważyła Hanka. - Kiedy klucze były już gotowe, kobieta znajdowała jakiś powód, aby zrezygnować z pracy w tej kamienicy. I potem długo, długo nic w tym domu się nie działo.

- Aż pewnego razu kogoś okradziono - odpowiedział oficer MO.

- Właśnie. Regułą jednak było, że nigdy nie okradziono tych ludzi, u których pracowała nasza sprzątaczką. Nigdy też złodziej nie gospodarował w pustym mieszkaniu w czasie, kiedy sprzątaczką przychodziła do tej kamienicy. A widok hydraulika kręcącego się w swoim poplamionym kombinezonie w żadnym z tych domów nie budził najmniejszych podejrzeń. Ten hydraulik dziesiątki razy bywał w każdym z mieszkań i nic nie zginęło. Najmniejszy nawet drobiazg. Nie, ten człowiek był poza wszystkimi zastrzeżeniami. Przypuszczam, że w ogóle jego nazwisko nigdy nie wypłynęło na karty przesłuchań milicyjnych. Był zawsze i wszędzie, a więc nie było go wcale.

- Ma pani rację.

- W jednym tylko miejscu sprzątaczką pracowała od wielu lat. To był jej stały punkt oparcia. Szukając nowej pracy w innej kamienicy, przy innej ulicy, ta kobieta mogła się powołać na nieskazitelną opinię, jaką miała u pani Legatowej, i na to, że od wielu lat cieszy się jej pełnym zaufaniem. Była to, można powiedzieć, jej baza operacyjna. Dlatego w domu przy Buczka nigdy nie zdarzyła się kradzież, chociaż jest tu sporo mieszkań, które godzinami stoją puste, i jest sporo rodzin, którym powodzi się względnie dobrze.

- Dobry złodziej nie kradnie we własnym domu. Mamy nawet takie przysłowie.

- Tak to trwało latami i trwałoby nadal, gdyby pan Legat nie sprzedał samochodu i nie pochwalił się, że uzyskał za niego aż osiemdziesiąt sześć tysięcy złotych. Dotychczas wszystkie kradzieże dawały sprytniej parze najwyżej czwartą część tej sumy. I to nie zawsze w gotówce. Teraz otworzyła się przed nimi perspektywa zdobycia poważnej kwoty. Nie wiadomo, kto pierwszy uległ pokusie, mężczyzna czy kobieta?

- Chyba kobieta. Są bardziej chciwe na pieniądze. Hanka spojrzała przeciągle na porucznika, ale nie podjęła zaczepki.

- Postanowiono więc odstąpić od zasady i okraść ludzi, u których sprzątaczką pracowała. Żeby nie padło na nią żadne podejrzenie, kradzież musiała mieć inny, nietypowy przebieg. Złodziej miał rzekomo szukać pieniędzy we wszystkich zakamarkach mieszkania. Gdyby bowiem ta suma zniknęła niepostrzeżenie z książki stojącej na regale, przede wszystkim posądzono by sprzątaczkę. Dlatego mieszkanie tak gruntownie zostało przetrząśnięte, w możliwie najbardziej widoczny sposób. Mężczyzna w swojej gorliwości posunął się za daleko. Zbił lustro, powyrywał książki z okładek i zniszczył obraz Masłowskiego. No, ale trudno, sam pan to przyzna, poruczniku, nie można zbyt wiele od mężczyzn wymagać.

Porucznik uśmiechnął się. Hanka szybko zrewanżowała się za przytyk, odnoszący się do chciwości kobiet.

- Kradzież zaplanowano na sobotę, bo sprzątaczką, pani Popiela, miała na ten dzień murowane alibi. Była zatrudniona od rana aż do późnego popołudnia. Nie przewidziała tylko, że pani Rosińska przyjedzie tak wcześnie. Zazwyczaj zjawiała się dopiero gdzieś koło pierwszej, drugiej po południu - albo, i później. Przypadek lub mały błąd w obliczeniach. Złodziej wszedł do mieszkania zaraz po godzinie dziewiątej. Wtedy, kiedy go właśnie spotkałam na schodach. Szybko sięgnął po właściwą książkę, wyjął pieniądze, schował do kieszeni i zaczął demolować wewnątrz. Tak zapalił się do tej roboty, że zajęła mu ona sporo czasu. Około pół do dwunastej usłyszał, że ktoś usiłuje wejść do mieszkania. Niewiele się zastanawiając, rozgrzany jeszcze rozbijaniem lustra i obrazów, stanął z boku drzwi i ile sił rąbnął swoją żabką wchodzącą kobietę. Wtedy to przyszedł mu do głowy pomysł ze zdjęciem płaszcza i zanieśieniem produktów żywnościowych do kuchni..

Wybieg ten miał uchronić jego i jego żonę przed posądzeniem ich o zbrodnię. Natychmiast po morderstwie uiotnił się.

- Tak - przyznał porucznik - stwierdziliśmy, że Bolesław Popiela pracował w tym dniu przy Mazurskiej. Od rana zmieniał tam w piwnicy pękniętą rurę.

- Doskonały pomysł. Przyszedł rano, wszedł do piwnicy, pokręcił się trochę po podwórzu, aby go każdy widział, a następnie wymknął się na dwie godziny do sąsiedniego domu. Po morderstwie wrócił do pracy i postarał się o to, żeby go dostatecznie wiele osób widziało. Dzięki temu zacna para miała niepodważalne alibi.

- Przypuszczam jednak, że było nieco inaczej, niż to pani przedstawiła. Zgadzam się, że

Bolesław Popiela dostał się rano do domu Legatów, ale spustoszenie, jakiego tam dokonał, było wynikiem poszukiwań pieniędzy. Oczywiście, zgodnie z uprzednio ustalonym planem, nie krył on swych poszukiwań, jak to robił przedtem w siedmiu okradzionych przez siebie mieszkaniach, tylko działał zupełnie jawnie. Niszczył książki, wyrwał z ram obraz i potłukł lustro. Czas upływał, a on nie mógł odkryć schowka z gotówką. Mam jednak zastrzeżenie co do pani oskarżenia.

- Jakie?

- Bolesław Popiela nie uszedł i naszej uwadze. Najlepszy dowód, że sprawdzaliśmy jego alibi. Przyznaję, że wiedzieliśmy, że pracuje aż w dwóch rejonach Administracji Domów, niemniej ten człowiek jest jednym z tych, których mamy na liście podejrzanych, lecz brakuje nam konkretnych dowodów. Pani ich także nie ma. To wszystko, co pani powiedziała, to jedynie hipotezy. Bardzo interesujące, prawie na pewno prawdziwe, ale prawo jest prawem. Według prawa każdy człowiek jest tak długo niewinny, dopóki mu się tej winy nie dowiedzie. A dowodu ciągle nie mamy. Pani opowiadanie nie wystarczy prokuratorowi ani do napisania aktu oskarżenia, ani nawet do wydania nakazu aresztowania. Stwierdzenie, że w każdym z okradzionych domów pracowała przedtem Maria Popiela, i że w tych domach urządzenia wodociągowe konserwował jej mąż, jest tylko poszlaką, a nie dowodem winy. Powiem więcej. Pani zeznania, że o godzinie dziewiątej widziała Bolesława Popielę, jak wchodził na schody, również nie są wystarczające. On to może potwierdzić i całkowicie usprawiedliwić swoją obecność w domu przy Buczka.

- Zastanowiła mnie sprawa palta. Nieraz je widziałam. Pani Rosińska miała nową, bardzo elegancką jesionkę. Kupiła ją na wiosnę. Miała też i stary płaszcz, który służył jej przedtem całymi latami. Nosiła go tylko w czasie deszczu i niepogody. Wtedy właśnie padał deszcz ze śniegiem. Dlatego nauczycielka przyjechała z Goleniowa do Szczecina nie w nowej jesionce, tylko w zniszczonej. A tu raptem Popiela chce odkupić od pani Legatowej nie nowe palto, lecz ten stary, niewielką wartość przedstawiający łach. To jeszcze jeden fakt, który jest jasny i zrozumiały jedynie wówczas, kiedy przyjmie się, że sprzątaczką miała swój udział w zbrodni przy Buczka. Usiłowała zdobyć rzecz, mogącą stanowić dowód przeciwko niej i jej mężowi. Popiela doskonale orientowała się, że plamki na kołnierzu są śladami krwi. Musiała zdobyć jesionkę, aby ją zniszczyć.

- To też - zauważył porucznik - tylko poszlaka. Jedna więcej, ale poszlaka, nie dowód.

- Doskonale to rozumiałam i dlatego prosiłam pana, żebyśmy poszli do mieszkania państwa Legatów. Tam zdobyłam potrzebne mi dowody.

- Przecież pani zadała Legatowi dwa pytania, na które odpowiadał już wielokrotnie.

- Tak. Ale jeszcze raz potwierdził, że Maria Popiela wiedziała o sprzedaży samochodu i o sumie, jaką uzyskał za swój wóz. A mnie sprzątaczką przekonywała, że o niczym nie wiedziała.

- To nie może być traktowane jako koronny dowód, chociaż, nie przeczę, mocno ją obciąża.

- Jest i drugi, znacznie ważniejszy. Pan go nieraz miał w ręku ale...

- Jaki?

- Książka, w której były pieniądze.

- Żadnych odcisków na niej nie ma.

- Tak. Nie ma również na niej kurzu i śladu brudu, podobnie zresztą jak i na innych książkach w całej bibliotece inżyniera. Dlatego wyjmowałam je z regałów i sprawdzałam. Pamięta pan, jak gwałtownie zamknęłam „Kapitał”? Zupełnie nie był zakurzony.

- Cóż z tego?

- Inżynier wyjaśnił nam, że książki od dawna nie były odkurzone. Od maja. Powiedział, że do tego ma się zabrać przy okazji generalnego sprzątnięcia przed świętami. A mimo to na tych książkach nie ma najmniejszego pyłku. A to dlatego, że Maria Popiela zamiast sprzątać w piątek mieszkanie, szukała tam ukrytej gotówki. Pod pozorem odkurzania rewidowała kolejno każdą półkę regałów. Kiedy odkryła, gdzie ukryto gotówkę, nazajutrz posłała po nią męża. A wycierając kurze, starła też i ślady swoich palców. Dlatego daktyloskopia okazała się w tym przypadku bezużyteczna. Maria Popiela, według słów inżyniera, nie wiedziała, gdzie są schowane pieniądze. Nie wiedziała, czy w ogóle znajdują się w mieszkaniu. Dlatego najpierw musiała je znaleźć. To chyba wystarczy panu prokuratorowi?

Porucznik tylko skłonił głowę.

Rozdział XVII

Zawsze w niedzielę

Pierwszy przyszedł Zygmunt. Zresztą jak zwykle. Po drodze kupił w kiosku wszystkie gazety, które tam były. Teraz, czekając na resztę „paczki”, rozkładał je i czytał, chociaż treść interesującej go informacji była wszędzie jednakowa. Komunikat komendy milicji donosił o ujęciu groźnej pary bandytów, Marii Popiela i jej męża Bolesława. A właściwie nie jej męża Bolesława, bo człowiek ten umarł przed jedenastu laty, tylko występującego w tej roli znanego jeszcze sprzed wojny kasiarza,” Antoniego Norkowskiego.

Zbrodnicza para okradła osiem mieszkań. Ich łupem padło ponad trzysta tysięcy złotych. Znaczną część tej gotówki i biżuterii milicja odnalazła w różnych przemyślnie skonstruowanych schowkach. Znalaziono też kilkanaście kompletów kluczy do różnych szczecińskich mieszkań, które miały być okradzione w następnym rzucie. Przesłuchani przez milicję i prokuratora Maria Popiela i Antoni Norkowski przyznał: się do zarzucanych im czynów, a w szczególności do zabójstwa Łucji Rosińskiej, oraz dwukrotnych, nieudanych na szczęście, prób zamordowania studentki medycyny, Anny Wróblewskiej.

Komunikat MO podkreślał jednocześnie, że do wykrycia bandyckiej pary przyczyniła się w dużej mierze młoda mieszkanka Szczecina, studentka czwartego roku Akademii Medycznej, Anna Wróblewska. Komenda milicji w Szczecinie wystąpiła z wnioskiem o przyznanie dzielnej medycze nagrody specjalnej Komendanta Głównego MO.

Natomiast tytuły w gazetach różniły się od siebie, zależnie od charakteru pisma, inwencji i temperamentu dziennikarzy. Jednakże w każdym z tych tytułów słowa „Hanka Wróblewska” wybite były największym drukiem. W komentarzach do komunikatu nie szczędzono dziewczynie pochwał i podkreślano, iż rzadko się zdarza, aby jakiś „detektyw-amator” odniósł tak wspaniałą sukces.

Do pięknej sali kawiarnianej Zamku Szczecińskiego ściągali i inni członkowie „paczki”. Każdy z gazetą w ręku. Chłopcy przyprowadzili swoje sympatie, dziewczęta przyszły z chłopakami, z którymi „chodziły”. Do stolika w rogu dostawiono trzy następne i jeszcze było ciasno.

- Ciekawa jestem, czy Hanka przyjdzie? - powiedziała Krysia.

- Wątpię. Dla takiej sławnej osoby nie jesteśmy już dobrym towarzystwem - zakpił Zygmunt.

- Głupi jesteś - ofuknęła go Danka, która stoczyła z mężem prawdziwą batalię o to, kto ma pilnować dziecka. Inżynier Borzęcki również miał ogromną ochotę odwiedzić dzisiaj kawiarnię zamkową. Niestety, dziecko było trochę przeziębione i nie można go było zabrać ze sobą.

- Dzisiaj Hanka stawia wino - zawyrokował Jaś, którego reszta „paki” naciągała zazwyczaj na kolejkę „Egri burgundi”. - Mowy nie ma, żebym ja płacił.

- Ciekawa jestem, ile też ona dostanie tej nagrody? - interesowała się Elżbieta, flama Jasia.

- Miałem nosa - chwalił się Mietek. - Przecież to ja wpadłem na pomysł, aby Hanka zajęła się tym morderstwem. Gdyby nie ja, nie zainteresowałyby się całą sprawą i zbrodniarze chodziliby do tej chwili na wolności.

- Może jeszcze powiesz, samochwało, że i nagroda ci się należy?

- Wcale bym się nie obraził, gdyby i mnie coś tam kapnęło od generała.

- Kapnie ci, ale z nosa; kiedy będziesz miał katar.

- Teraz będę się wstydziła - zauważyła Krysia - iść do matki Hanki i’ prosić o uszycie tej garsonki.

- Więc jednak zdecydowałaś się na garsonkę?

- Co? Jeszcze nie uszyłaś?

- A bo sama nie wiem... Może by starczyło materiału i na małą kamizeleczkę?

- Ja na twoim miejscu uszyłabym sukienkę, rozszerzaną u dołu. Linia „trapez” jest najmodniejsza - zauważyła Elżbieta.

- Oszaleć można z tymi babami. Takie ważne sprawy, a one pytlują o ciuchach.

- A co mamy robić, kiedy wy nie bawicie nas rozmową?

- Jeszcze je bawić! Niech ja skonam..
- Jak ta Hanka doszła do tego wszystkiego? - zastana-; wiał się Zygmunt.
- Będzie musiała dokładnie nam opowiedzieć. Już się nie wykręci.
- Pewnie teraz przeprowadzą z nią wywiady. A może nawet w telewizji wystąpi?
- Uwaga! Przyszła! - Ewa jak zwykle pierwsza spostrzegła Hankę.
- Gdzie? Nie widzę - Jaś, krótkowidz, śmiesznie mrużył oczy.
- Widziałam, weszła do sieni i jest już w szatni.

Wszyscy zerwali się z miejsc i urządzili dziewczynie burzliwą owację. Jakieś starsze panie z niesmakiem patrzyły na hałasującą młodzież.

Hanka uśmiechała się i z daleka machała im ręką.

Za nią, trochę zmieszany, szedł młody, przystojny, wysoki mężczyzna. Miał jasnoniebieskie oczy, cienki, prosty nos. Włosy gładko zaczesane do góry. Mimo zimy twarz zachowała jeszcze ślady opalenizny. Ubrany był w ciemny garnitur. Widać było, że jest to człowiek silny i wysportowany.

- Pozwólcie, że przedstawię wam porucznika Romana Widerskiego - powiedziała Hanka podchodząc do stolika. I dodała zwracając się do swojego towarzysza:

- Nareszcie, Romku, poznasz moich przyjaciół.